

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



TEODOR TOMASZ JEŻ

**NARZECZONA HARAM-
BASZY**

**POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SŁOWIAŃSZCZYZNY POŁUDNIO-
WEJ**

Tekst wg wydania z 1882 r. przygotował do druku Adam Lewak

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NOCLEG

Potężny talent piewcy Zamku Kaniowskiego, cuda by stworzył, gdyby tym samym piórem, którym skreślił widzenia Nebaby z wierzchołka dębu puszczy śmillańskiej, odmalował krajobraz; rozwijający się ze szczytu góry, wystrzelającej najwyżej spośród Gór Peckich. Cudnyż bo to rzeczywiście krajobraz!... Pod stopami, w prawo, w lewo, jak okiem sięgnąć, rozrzuciły się zielone garby okrytych lasami wzgórz. Od pierwszego oka rzutu widać nie co innego, tylko wzgórze. Wpatrującemu się w nie jednak pilnie odkrywają się w niespodziankowy sposób: tu bezdenne otchłań wąwozu głębokiego, czarna, dzika, ponura, tam grzebień skał sinych, wyglądający zalotnie spoza zielonych warkoczy, owdzie osada jakaś od niechcienia na spadku góry rzucona, gdzie wdziej jakaś ruina malowniczo w mchy i bluszcze ubrana, a w dali, w dali tuman mgły sinawej, przewijający się węzowym skretem, połyskujący od spodu tu i owdzie odbłaskiem zwierciadlanym. Tuman ten mimowolnie zatrzymuje na sobie uwagę, i zmusza niejako zapytać:

– Co to?

Zadaj to pytanie Serbowi, a odpowie ci z pewnym w głosie przyciskiem, zdradzającym coś, niby dumę:

– To...Dunaj...

Dunaj, mgłą spowity, przewija się w stronie północnej – i trzeba być człowiekiem miejscowym, trzeba wiedzieć, że on tam, ażeby domyśleć się od razu znaczenia tumanów, co się oparem z jego podnoszą łona i obłoczystą gazą dalszą zasłaniają okolicę. Bliżej zaś widać same tylko garby i lasy... lasy i garby, przedstawiające pozór okiem nieobejrzanego pola, pokrytego kopcami i mogiłami, na których ręka Przedwiecznego, równocześnie ze Stworzeniem świata, nieprzebyte zasiała bory.

Śród kopców tych jeden, ten właśnie, co najwyżej w górę wyskakiwał, nie miał drzewami porośniętego ciemienia. Drzewa okrywały jeno boki jego, ustępując na wierzchołku miejsca trawie, która formowała rodzaj kobierca strzyżonego, zajmującego przestrzeń dość znaczną. Jedną przestrzeni tej stronę przerywała droga, a raczej ścieżka szeroka, która się z lasu wynurzała i w las się chowała i nad którą rosło w nierównych odstępach kilka grusz rozłożystych, nie mających nic wspólnego z drzewami lasu, składającego się z buków, jesionów, jaworów i innych drzew, właściwych strefie i rodzajowi gruntu. Konary grusz tworzyły szalasy cieniste i w tym też snadź celu użytkowane były, grunt bowiem pod nimi, udeptany i z trawy ogołocony, na obwodzie brzegów, równych rozłożystości sklepienia gałęzistego, naznaczony był popiołami ognisk zgasłych. Mimo przechodziła droga, gładka i ubita, ale jak rzekliśmy, bardziej do ścieżki aniżeli do gościńca podobna – bardziej do ścieżki, bo nie szeroka i nie pokazująca śladów kół. Wozy nie przejeżdżały i przejeżdżać tamtędy nie mogły nigdy, nie mogłyby bowiem żadną miarą na tę leśną dostać się drogę, którą drogą nazywamy, której by jednak i ścieżką nawet nazwać nie można. Wyobraźmy sobie bowiem próg za progiem, ułożone równoległe i utworzone z ziemi ubitej. Taka była droga, wijąca się zygzakiem pomiędzy bukami odwiecznymi. Urobiły ją konie, wygniółszy kopytami jamy, które z upływem lat, wydepty-

wane coraz to głębiej i głębiej, przybrały kształt rowków poprzecznych, dzielących progi jeden od drugiego. Droga przeto składała się z progów dość wysokich i z rowków głębokości dwóch piędzi, po których wóz żaden nie mógłby ujechać kroków dziesięciu, pomijając to, że na każdym dziesięciu krokach musiałby parę razy osią o pnie buków i jesionów zawadzić.

Droga ta istniała jedynie dla koni i to objuczonych. Rowki służyły im za punkty oparcia przy wspinaniu się na górę i spuszczeniu się z góry. Ludzie piesi trzymali się onej, lecz po niej nie szli. Ludzie udeptali dla siebie po obu drogi stronach ścieżki, które towarzyszyły jej w lesie aż na wierzchołek góry i tam zlewały się z nią w jedno na kilkudziesięcio-sążniowej długości, ażeby znów się od niej oddzielić przy wejściu do lasu na przeciwległej pochyłości.

Na drodze tej spotykamy ludzi, mających wystąpić w niniejszej powieści w charakterze osób działających.

Było ich sześciu. Co za jedni? – Nikt by ich nie wziął za co innego, tylko za trgowców¹, o czym świadczyły konie, w liczbie trzydziestu kilku, osiodłane w samary², obarczone solą kamienną. Sól w dużych bryłach, przytroczona sznurami do samarów, ciążyła małym konikom. Uginały się pod nią i stękały, wyciągały szyje i kroczyły zwolna pod górę, przestępując krzyżowanym chodem próg po progu z ostrożnością świadczącą, iż po raz to nie pierwszy i nie dziesiąty tę podróż odbywają. Szły długim, rzędem, jeden za drugim, każdy powrozem od uzdy uwiązany do ogona swego poprzednika. Uwiązany nie był tylko ten, co postępował na czele, lecz był to koń pewny i tak drogi świadomy, że bezpiecznie samego puszczać go można było. Każdy dźwigał na grzbiecie ciężar, z wyjątkiem ostatniego, który miał wprawdzie na sobie samar, na samarze jednak nie sól była przytroczona, ale siedział człowiek.

Siedział wszakże nie ciągle. Snadź nudziła mu się jazda powolna. Zeskakiwał od czasu do czasu z samara i albo szedł samotnie jak towarzysze jego, którzy w odstępach postępowali obok koni jeden za drugim, albo też przyłączał się do jednego z nich i zaczynał go zapytaniem, takim na przykład:

- Czy w tej stronie drogi takie tylko ?
- A takie... – odpowiadał zapytany.
- Innych nie ma?
- Są i inne, ale daleko, za górami.
- Toć to droga nie do jeżdżenia!
- Dla nas ona dobra... Raja na niej bezpieczny.

Ten, co z konia zsiadł, uśmiechnął się na słowa te gorzkim uśmiechem.

Był to człowiek młody, nie tą jednak pierwszą młodością, co z młodocianym graniczy wiekiem, ale tą, co stanowi przejście do lat dojrzałych. Ubraniem nie różnił się od towarzyszków podróży. Miał na sobie samodziałową kurtę z burego sukna z szerokimi rękawami, także szarawary szerokie, u spodu zwężone i na haftki zapinane, spod kurty wyglądała koszula na piersiach otwarta, biodra otaczał szeroki, wełniany, czerwony pas, głowę przykrywał fez czerwony bez kutasa, na nogach miał płytkie trzewiki, krojem i szyciem świadczące o niskim stanie szewskiej sztuki. Towarzysze jego ubrani byli tak samo. Nic go więc od nich nie różniło. Jeżeli oni byli trgowcy, to i jego należało do tej klasy społeczeństwa serbskiego zaliczać; jeżeli zaś byli to sielacy³, to i on nie mógł być czym innym. A przecież widzieć się w nim dawało coś, co różnicę stanowiło.

Naprzód latami młodszy był od nich – od każdego z pięciu, pomiędzy którymi trzech siwina już okrywała, a dwom niewiele do sędziwych brakowało lat.

Po wtóre: dlaczego, kiedy młodszy, jechał konno, podczas gdy starsi podróż pieszo odbywali?... Nie działo się to bez przyczyny jak niemniej i to, że go towarzysze otaczali osobliwego rodzaju względnością, dochodzącą niemal rozmiarów uszanowania.

¹ Trgowiec – handlarz

² Samar – siodło juczne

³ Sielak – wieśniak

Oni szli, on jechał. Lecz się mu nudziło; a przy tym siedzenie na samarze nie należy do najwygodniejszych, na takiej zwłaszcza drodze jak ta, którąśmy opisali. Więc podróżny nasz zsiadł u stóp góry i już więcej nie wsiadał. Koń jego szedł sobie luzem, on zaś, przyspieszając nieco kroku, wymijał przewodników jednego po drugim i po chwili znalazł się obok tego. co się znajdował na przedzie.

– A!... – rzekł ten ostatni tonem półzartobliwym – nie podobało ci się na samarze.

– Jazda zanadto powolna... – odrzekł zagabnięty.

– Tobie snadź chciałoby się lotem sokoła oblecieć Serbię wzdłuż i wszerz... Tobie potrzeba szaraca, na którym jeździł królewicz Marko... O! minęły te czasy... Minęły i Bóg wie, czy powrócą kiedy!... – dodał z westchnieniem.

– Powrócą może... – odparł młody podróżny. Stary – był to bowiem z drużyny najstarszy, wąsacz siwy, nieco przygarbiony, ale krzepki – powtórnie westchnął i machnąwszy kijem, tak dalej ciągnął:

– Dużo w moim życiu widziałem, dużo pamiętam i dużo od ojców naszych, co się już od dawna w grobach położyli, słyszałem... Było źle i jest źle... ot!... Ale oni się pocieszali i my się pocieszamy. że będzie lepiej... Czyż będzie?

– Gdyby być nie miało, to byśmy się nie pocieszali... – odrzekł młody tonem pewnym i wyrokującym.

Starego ton ten zdziwił snadź i może nawet rozgniewał nieco. Spojrzał na towarzysza z ukosa, rzucił ku niemu wzrokiem surowym spod brwi siwych, co mu niby dwa ostrzeszki nad oczami wisiały. Ten jednak spokojnie w rodzaju komentarza do słów poprzednich dodał:

– Spodziewamy się, bo mamy prawo... prawo od Boga, które nam Turczyn przemocą wydarł... Prawo nam pozostaje wciąż jednakie, a przemoc się zużywa... Więc przyjść musi kiedyś czas, w którym pierwsze weźmie nad drugą górę... chyba iżbyśmy się sami prawa naszego zrzekli.

– A... – krzyknął starzec, dłoń do góry podnosząc jakby na wezwanie świadectwa nieba, widnego przez liściaste odwiecznych buków sklepienia. – To by ziemia wyrzuciła kości nasze!

Po wykrzykniku tym długo ze sobą nic nie mówili. Wreszcie młody zapytał starego:

– Dokąd droga ta prowadzi?

– W dolinę Mławy... – odrzekł zapytany.

– Jedna?

– O, nie... za górą dzieli się.

– Ale na górę jedna? – podchwycił młody.

– Jedna... – odparł stary, odwracając się od towarzysza swego ku koniom, z których jeden w chwili tej utknął na progu.

– O he!... – krzyknął gromkim, w rodzaju napomnienia, głosem.

Odwrócił się w stronę towarzysza młodego. Lecz już go obok niego nie było. Dojrzał tylko na przedzie postać jego, migającą się pomiędzy drzewami. To go ani zdziwiło, ani zastanowiło.

Młody podróżny kroku przyspieszył. Nie znaczyło to, ażeby śpieszyć się miał. Bynajmniej. Koniki serbskie, solą obarczone, szły tak powolnie, że zwyczajny ludzki chód był dwa razy przynajmniej szybszym w porównaniu z ich chodem. Podróżny więc nasz puścił się krokiem zwyczajnym i wkrótce znalazł się daleko na przedzie. Karawana solna niebawem z oczu mu znikła. Słyszał ją jednak za sobą. Koń przodowy uwiązane miał na szyi brzękadło, którego odgłos rozlegał się po lesie całym. Lecz i to, głuchło, głuchło i znikło, i podróżny po niejakiś czasie otoczony został poważną ciszą leśną, pełną tajemniczych szmerów i szeptów, nabrzmiałych uroczystą jakąś zagadkowością. Szedł trzymając się drogi, która prowadziła pod górę ukośnie, załamywała się, znów szła ukośnie, aż nagle las się skończył i pokazała się łąka, panująca na wyżynie. Podróżny stanął, pot z czoła otarł i dokoła się obejrzał.

Patrzył, oglądał się. W miarę rozpatrywania się, twarz jego jaśniała, a oczy napępniały się wyrazem zachwytu niemego. Błądził wzrokiem po zielonej, bezmiernej przestrzeni, oświetlonej ukośnymi promieniami chylącego się ku zachodowi słońca i zatrzymywał je dłużej na pewnych punktach, które uwagę jego bardziej na siebie ściągały. W jednym miejscu, pośrodku bukietu drzew, wysuwał się do góry białawy dym i tworzył niby wspaniałą pióropusz; w innym orzeł krążył nad zrębem skał; na widnokregu daleko rysowały się kształty gór w postaci obłoków znizonych. A niebo było bez chmurki; a słońce toczyło się wspaniale; a w powietrzu szumił jakiś hymn cichy i uroczysty, zgodnym z łona bezmiaru bijący chórem, wznoszący się powoli i rozplywający się w górze.

– Boże! – westchnął podróżny.

Westchnienie to wydarło mu się z głębi duszy, przepępnionej zachwytem.

Po chwili rzekł głośno:

– Jakżeby tu mieszkać nie miała Wila!... O! nie jest ona wymysłem... jak utrzymują niektórzy...

I rozpatrywał się, i dość napatrzeć się nie mógł. Przechodził z końca w koniec łąki; stawał i wędrował wzrokiem po rozwijającej się szeroko pod nogami jego panoramie. Niekiedy w zadumę wpadał.

Odgłos brzękadła przerwał jego rozpatrywanie się w okolicy. Niebawem z lasu wysunął się koń przedni, parsknął głośno i uszedłszy kroków kilkadziesiąt zwrócił z drogi pod gruszę, pod którą się zatrzymał prowadząc za sobą szereg cały koni objuczonych. Serbowie ze zwykłą sobie flegmą przystąpili do odwiązywania soli i rozsiodływania koni z samarów.

– Cóż to? czy tu nocować mamy?... – zapytał młody podróżny nie biorąc w pracy towarzyszy udziału.

– A tak... – odrzekł jeden.

– Do zachodu słońca godzina przynajmniej jeszcze. Ten, do którego się wyrazy te odnosiły, na słońce spojrzął i odpowiedział:

– Tak... ale do przybycia tam trzech godzin potrzeba najmniej... A i koniom, co takie pod górę dźwigały ciężary, należy się odpoczynek wcześniejszy...

Racja była dobra. Więc też młody podróżny nic nie odpowiedział, tylko się z boku przypatrywał, z jaką wprawą ludzie ciężary na ziemię składali i z jaką radością uwolnione od nich konie naprzód na drodze się tarzały, a następnie na trawnik odchodziły.

– No... – odezwał się po robocie tej skończonej najstarszy z drużyny – teraz i nam spocząć pora.

Rozsiodływanie zabrało czasu tyle, że słońce za widnokrag nie zapadło jeszcze wprawdzie, lecz się już za góry spuściło.

Grusze długie rzucały cienie. Pochyłości wschodnie tonęły w mroku wieczornym, który co chwila coraz to szerzył się dalej.

Serbowie do odpoczywania zebrali się nie od razu. Opatrzyli pierwiej juki i odłożyli osobno kilka baryłek niewielkich, których na koniach widać nie było. Baryłki te musiały snadź coś w sobie zawierać drogiego, sądząc po staranności, z jaką je okryli. Stary miejsce dla nich wybrał, a wybierając i miał na uwadze, skąd wiatr ciągnie.

– Z zachodu... – rzekł rzuciwszy do góry piórko, które się ku wschodowi uniosło.

Obszedł gruszę dokoła, odstąpił od niej kroków kilkanaście i zdecydował:

– Tu... Dym i skry pójdą tam.

Była to strona zachodnia. Na wskazany punkt zaniesiono baryłki i okryto je opończami starannie.

Po dopełnieniu czynności tej stary przeszedł na stronę przeciwną i na rozłożenie ogniska punkt wybrał i wyznaczył.

Szarzec już poczynało. Zmrok gęstniał. Jedni znosili suche drewna, drudzy rozkładali na ziemi kilimki, inni układali sakwy i cutry. Stary wykrzesał ogień, który, rozdmuchany w pęku suchych badyli, buchnął płomieniem i posłużył do podpalenia drewnienek. Zajęły się suche

słomy. Płomień strzelił do góry. Serbowie obsiedli ognisko dokoła, a pomiędzy nimi, obok starca, zajął miejsce młody podróżny, który był biernym wszystkiego, co się robiło, widzem.

– No... – rzekł uprzejmie stary do młodego – teraz chyba nie pozostaje nam już, jak posilić się, czym Bóg dał i...

– Spać... – dokończył młody. Stary cmoknął, na znak przeczenia.

– Spać, to by można, gdyby nie hajducy... Młody zdziwionym w oczy mu popatrzał wzrokiem.

– Czyż lękasz się, ażeby nie napadli? Stary ramionami ścisnął.

– Kto by się tam lękał tego!... Hajducy nie napadają nas. Na wyrazie „nas” zabrzmiał nacisk znaczący.

– Czemu więc z powodu ich spać nie można?... – podchwycił młody.

– Hm... – mruknął starzec – mamy dla nich gościniec, po który oni się zgłoszą: w czutrach wino kraińskie, w baryłce czarny mak... Oni bo – dodał żartobliwie – taki naród, że bez maku wyżyć nie mogą...

Podróżny z kolei ramionami ścisnął robiąc gest oznaczający, iż domyśla się zagadki jakiejś, lecz się takowej dochodzenia zrzeka.

Podczas rozmowy tej inni, udziału w niej nie biorąc, krzątali się około przyrządzenia wieczerzy. Przed ogniskiem pojawił się obrus na trawie rozścielony, a na obrusie puszek drewniane, zawierające w sobie owczy ser, przetopione masło, miód, czerwoną paprykę i sól. Nakrywy do puszek zastępowały miejsce talerzy. Na jednej z takowych jeden z młodych nakręcał w talarki obranych ze zwierzchniej łupiny główek kilka cebuli; na drugiej inny układał pieczone na węglach zielone strąki papryki, które papryką czerwoną posypywał, inny znów łamał placki. Przyrządzenia te, świadczące, jako Serbowie lubią swego rodzaju komfort, czasu nie zabrały dużo. Wieczerza, składająca się z sera, miodu, surowej cebuli i pieczonej papryki, prędko gotowa była. Starzec przysunął się do zastawy, skinął na młodego towarzysza głową i odezwał się wesoło:

– Da pijemo, da jediemo, da se weselimo (pijmy, jedzmy, weselmy się)...

Spółbiedniacy ani trochę prosić się nie dali. Niewyszukane wprawdzie, niewykwintne były potrawy, brak ten atoli wynagradzał sownicie apetyt potężny. Łamali placki i nabierając na takowe raz sera, znów miodu lub też zagryzając na przemian to cebulą, to papryką, zmiatali z puszek i z pokryw wszystko, co do zmiatania było. Papryka, od której człowiekowi nieprzyzwyczajonemu świeczki w oczach stają, dzielnie do pobudzenia apetytu służyła. Jedli, aż za uszami trzeszczało i odwilżali od czasu do czasu gardło z podawanej z rąk do rąk czutry, która, do ust nachylana, bełkot wydawała. Wino wywierało wpływ silny na apetyt, zdrowie i humor. Żarty przeplatały akcję spożywania darów Bożych i tryskały żywiej pod koniec wieczerzy, kiedy przechylona do ust czutra bełkotać przestała.

– Ot tobie i koniec... – rzekł stary poprawiając się na siedzeniu. – Z próżnego nie nalejesz, to darmo... a kraińskiego tykać nie można, aż przyjdą tamci.

Przedmuchnął cybuch, wyjął zza pasa kapciuch, fajkę nałożył i zapalił.

To samo uczynili i inni. Na chwilę zapanowało milczenie poważne, wypełnione wciąganiem w piersi i wypuszczaniem przez nosy i usta kłębow wonnego dymu, który szedł ku ognisku, łączył się z płomieniem i unosił wraz z dymem w górne sfery.

Nie masz nic poważniejszego nad człowieka palącego fajkę z długiego cybucha. Nic tak nie nadaje człowiekowi tego, co się nazywa „kontenansem”. Cygara i papierosy oznaczają upadek powagi.

Podróżni nasi wyglądali wielce poważnie z cybuchami przy ognisku. Rzekłbyś, że to mężowie dumający nad losami świata, zakopconego niesprawiedliwością i nieprawością. Czy, w samej rzeczy, dumali i o czym? – nie wiemy. Wiemy tylko, że dymili wszyscy bez wyjątku, że mieli oczy wlepione w ognisko i że odsapywali głęboko. Młodemu podróżnemu oczy się kleiły. Byłby może zasnął, gdyby go nie wstrzymywała ciekawość, która też wkrótce zaspokojona została.

Przy ognisku, niby duch, pojawił się nagle człowiek, zupełnie inaczej aniżeli podróżni nasi wyglądający. Za nim z cieniów nocy wynurzył się drugi i trzeci. Oznajmił się pozdrowieniem:

– Dobro wiecz (dobry wieczór)... – pozdrowieniem, na które starzec, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział:

– Dobro doszli...⁴

Na nich odzież paradna, złotem i srebrem wyszywana. Zza pasów sterczały im głównie kindżałów i pistoletów perlami nabijanych. Na ramionach nieśli długie rusznice, o krótkich a mocno wygiętych łożach, suto inkrustowanych.

Przyszli, rusznice z ramion zrzucili, przed sobą je postawili i na nich się poopierali. Wyglądali jak trzy posągi rycerzy wschodnich.

– Dobro doszli... – powtórzył starzec po chwili.

– Fała Bogu...⁵ – odrzekł jeden z przybyłych powolnie.

– Jeśli wola, zasiądźcie obok nas... Mamy tam dla was ładne winco⁶ – w czutrze i czarny mak w baryłce...

– Fała...

Podróżni się rozsunęli. Nowoprzybyli zajęli wśród nich miejsca.

Jeden z przybyłych, jak się zdaje starszy pomiędzy swoimi, usiadłszy zrobił przegląd podróżnych naszych, patrząc każdemu w oblicze.

– To stary Hadzi-Petar... – mówił – a to Gica, a to Dymitr, a to Michaj, a to Żoka... A toż kto? – zapytał zatrzymując na młodym podróżnym wzrok.

– Ciekawys... – odrzekł stary.

– Toć to prawo moje ciekawym być... Na tym hajducka sztuka cała, ażeby wszystkich znać i o wszystkim wiedzieć.

– Niech ci on powie sam, kto on taki...

– Nazywam się Marko... – rzekł młody.

– Nasz czy nie nasz?

– Popa Dżura za niego ręczy – wtrącił Hadzi-Petar niby od niechcienia.

– A... – była cała hajduka odpowiedź, oznaczająca, że wiadomość ta wystarcza dla niego jak najzupełniej.

– Wiezicie zza Dunaju sól... Cóż tam za Dunajem słyhać?

– Ot ludzie bają, że będzie kauga⁷. Ale ludzie, zwyczajnie jak ludzie... Czy to im wierzyć?... No, a u was co nowego?

– U nas?... stare dzieje... jak zwykle w hajduckim rzemiośle... raz na górze, drugi raz na dole... Ot, Mita w starych szalwarach chodzi; chciałby zdobyć nowe, ta nie może... Już Turków zabił czterech.

– Dla szalwarów?... – wtrącił Marko tonem nieco zdziwionym.

– A no!.. Ostatniego szkoda!... Takie miał liepe⁸, czerwone, złotem szyte i nowiutkie...

– Cóż, chyba go odbili mu? czasu nie miał zdjąć?

– Gdzie tam!... zdjął, ale Turczyn, majka niegowa⁹ w szalwary...

– Tfu... – splunął stary i zaklął oburzając się z powodu krzywdy, jaka się Micie stała.

– Takie to rzemiosło nasze!... – rzekł hajduk z westchnieniem. – Trudów dużo, niebezpieczeństwa więcej jeszcze, a gdy człowiek po nagrodę rękę wyciąga... patrz!... na drodze ją rzucić musisz!

– Zdrawie!... – odezwał się Hadzi-Petar przykładając czutrę z kraińskim winem do ust.

⁴ Dobro doszli – dobrze, żeście przyszli

⁵ Fała Bogu – Dzięki Bogu

⁶ Ładne winco – chłodne wino

⁷ Kauga – wojna

⁸ Liepy – piękny

⁹ Klątwa serbska

– Zdrawie!.. – odparł hajduk. Czutra poszła wkoło z rąk do rąk podawana. Przerwana rozmowa znów się zawiązała, wywołana przez Marka, który z wyrazem mocno natężonej ciekawości przypatrywał się i przysłuchiwał hajdukowi.

– Czy was dużo? – zapytał.

– Kogo... was? – odparł hajduk...

– Zapytuję o hajduków.

– Kto by ich tam policzył!... raz jak liści na drzewie; znów zejdziesz wszystkie serbskie płaniny¹⁰ i szumy¹¹, nie znajdziesz ani jednego... My schodzimy jak gwiazdy na niebie i jak gwiazdy znikamy.

– Hm... – mruknął Marko. – Odpowiadasz mi, bracie, jakbyś się mnie lękał, a ja po to przybywam tu właśnie, ażeby się dowiedzieć, czego chrześcijanom nie dostaje, ażeby Turczyna tuc mogli, jak należy.

Hajduk spojrział na Hadzi-Petara. Starzec głową na znak potwierdzenia kiwnął:

– Toż ty, bracie, W dobrym przybywasz celu!... Kiedy tak, pytaj... będę ci po ludzku odpowiadał, człowiecze.

– Pytam: czy dużo was hajduków?...

– Jak kiedy... Zimą mało, na wiosnę dużo, a latem i w jesieni... ot... tyle, ile potrzeba. Każda góra ma harambaszę swego, którego zna okolica cała... Spytaj no o hajduka Milenka w Pożarewcu – rzekł z akcentem dumy – albo w Jagodynie...

– Dziwo, że go w Jagodynie znają – wtrącił stary – gdzie stoi kutia¹², w której się urodził...

– I gdzie rośnie dziewczyna, do której serce jego Ignie... – dodał hajduk wesoło.

– Oj... wam w płaninach dziewczynki tylko w głowie...

– Takie zwłaszcza jak wnuczka twoja, babo¹³ Petarze... Aby jej ino Turczyn nie zoczył... Stary ręką machnął.

– Nie kłopotz się o to... Pilnujemy jej jak oka w głowie... Hajduk, się zamyślił, jakby coś sobie przypomniał.

– Toć już lat sześć, jak jej nie widziałem... Musiała się z niej zrobić liepotica¹⁴... a!...

– Przyjdź kiedy i zobacz... – odparł Hadzi-Petar półzartem.

– Boga mi, posłucham, babo, twojej rady.

I jakby na dodanie sobie ochoty pociągnął z czutry haust duży i podając naczynie z winem swemu pobocznikowi, rzekł z przyciskiem:

– Prawdziwe negotyńskie!... chłodne, a w krew ogień wlewa... – i dodał:

– Ale to już późno... Czas pospać trochę... Bądźcie zdrowi, zobaczymy się w Jagodynie.

Wstał. Wstał i Marko, poszedł za hajdukiem i długo coś ze sobą we dwóch na stronie rozmawiali.

¹⁰ Płaniny – góry

¹¹ Szum – las

¹² Kutia – chata

¹³ Baba – dziadek

¹⁴ Liepotica – piękność

ROZDZIAŁ DRUGI

SERBSKA RODZINA

W pełnym malowniczości nieładzie spędzili podróżni nasi noc przy ognisku. Każdy na miejscu, na którym siedział, tylko się przechylił, zwierchnię odzież na głowę naciągnął, nogi na ogień wystawił i zasnął. Pogoda była cicha. Ognisko paliło się równym płomieniem posyłając pod wyiskrzzone gwiazdami niebo kitę czarnego dymu. Lasy pogrążone były w głuchej ciszy, wśród której zabrzmiało niekiedy ozwanie się puchacza lub syknął pisk sarny. Serbowie spali jak zabici.

Lecz zaledwie natura ze snu się budzić zaczęła, zaledwie słyszeć się dał ten szmer, co to w lasach oznacza ruszanie się ptaków na gałęziach, aliści Serbowie już na nogach byli. Szybko, chociaż bez zewnętrznych pośpiechu oznak, odbywało się siodłanie i j uczenie koni. Miejsce pośpiechu zastępowała wprawa. Koniki, acz z niechęcią, poddawały się swemu losowi i jeden po drugim, obarczone ciężarem, stawały w szeregu. Zauważymy szczególnie jeden pod względem juczenia, ten, mianowicie, że baryłki, o których wspominaliśmy, a z których parę hajducy ze sobą zabrali, tak były zręcznie ukryte, że ich wcale widać nie było. Niby to wszystko znajdowało się na wierzchu. Bryły soli wisiały przytroczone sznurami. A przecież tymi bryłami zamaskowano baryłki, które, od pierwszego zwłaszcza rzutu oka, dostrzec się nie dawały.

Hadzi-Petar cmoknął. Karawana ruszyła.

– Z Bogiem... w dobar put¹⁵ – rzekł starzec głośno.

Pierwszy brzask dzienny powitał ich, kiedy się zanurzali w las i wkrótce brząkadło konika przewodniego budziło echa, drzemiące w pasmach i ostępach.

Nie będziemy krok w krok śledzili podróżnych w ich powolnej wędrówce, odbywającej się w sposób bardzo zwyczajny. Nie będziemy zatrzymywali się z nimi na popasach i noclegach ani też opisywali pobytu ich we wsiach, przez które przeciągali. Musimy jednak szczególnie parę podnieść, a raczej zanotować, ażeby nie powiedziano, żeśmy lekceważyli ciekawość ludzi, co niniejszą powieść czytać będą.

Jednym ze szczegółów, na uwagę zasługujących, było to, w. tak Hadzi-Petar jako też towarzysze jego byli znani doskonale przez wszystkich sielaków, z którymi się spotykali. Wszędzie witano ich po imieniu i z tą uprzejmością, która jest zażyłości wynikiem. Wszędzie rozpytywano ich z osobliwym zajęciem: co tam na tamtej stronie słyhać? Jeden tylko Marko był dla wszystkich obcy i okazywano względem osoby jego pewien rodzaj niedowierzania, które rozpraszał Hadzi-Petar za pomocą wymówienia nazwiska „Popa Dżuro”.

– Popa Dżuro? a!... – powtarzał każdy.

I niedowierzanie... niby ręką odjął.

Drugim szczegółem było, że w każdej wsi Hadzi-Petar zostawiał po jednej albo po dwie z owych baryłek, które w sposób tajemniczy brano i chowano jakby skarb jaki.

A ponieważ dotknęliśmy materii szczegółów ciekawych, więc wymieńmy jeszcze jeden, tyczący się wyłącznie Marka.

¹⁵ Dobar put – dobrej drogi

Marko posiadał w zanadrzu mapę geograficzną, która niezmierny w towarzyszach jego wzbudzała podziw. Była ona podklejona płótnem i w kilkoro złożona, a obejmowała tę część porzeczca Dunaju, w którą wpadają Timok, Mława, Morawa i Sawa, posuniętą do źródeł trzech pierwszych z wymienionych rzek. Stanowiła ona widocznie część mapy ogólnej, zrobionej na wielką skalę. Marko wydobywał ją od czasu do czasu i robił na niej ołówkiem znaki, poprzedzając zazwyczaj to zajęcie pytaniami, zadawanymi szczególnie Hadzi-Petarowi a odnoszącymi się do rodzaju i kierunku dróg i ścieżek, pokrywających siecią swoją tę część kraju, przez którą przeciągała karawana dostarczycieli soli. Hadzi-Petar powiadał, że w życiu swoim widział wiele rzeczy, ale podobnego dziwu nie widział jeszcze.

– Ta i co to to?... – spytał spoglądając na dziwo to z ukosa.

– Obraz kraju... – odpowiedział Marko chcąc za pomocą zdefiniowania rzeczy wytłumaczyć znaczenie jej.

– Obraz kraju?... Hm... Gdyby to był obraz, to ja bym go poznać powinien.

Marko objaśniać musiał znaki konwencjonalne, używane do oznaczenia gór, rzek, lasów, granic, miast i dróg.

– Bre... bre... – mówił Hadzi-Petar i głową kręcił. – Wszystko to wymysły szwabskie. No... to niby tam droga naznaczona, a którądyż byś poszedł, żeby do Jagodyny zejść? Marko spojrział na mapę i wymienił wsi kilka. Hadzi-Petar cmoknął razy parę na znak zdziwienia.

– A do Zajczaru? –

Odpowiedź na pytanie to zdziwiła go bardziej jeszcze. – Otca mu!¹⁶ – zawołał. – No, ale obraz przecie ten nie powie ci jednej rzeczy jak daleko z Jagodyny na przykład do Zajczaru?...

Marko rozłożył mapę, wydobył cyrkiel i zaczął:

– Z Jagodyny do Cziuprii sahatów¹⁷ dwa i pół... Hadzi-Petar szeroko oczy otworzył.

– Z Cziuprii do Paratina sahatów dwa. Dwa i pół a dwa, to cztery i pół... Dalej...

Tu przerwał sobie zapytując:

– Któż mierzyć mam drogę: czy tę, co idzie brdami¹⁸ na Jablawicę, czy tę, co się Wielkiego Timoka trzyma?... czy tę, co przechodzi przez Banią i przez Gurgusowac?...

– Dosyć... – dosyć... – odpowiedział Hadzi-Petar ręką machając. – Dosyć...

– Chciałeś, babo, wiedzieć...

– Chciałem tylko wiedzieć, czy to prawda, co na obrazie tym napisano stoi... No!... – zamyslił się na chwilę. – Ale to wypadłoby jeszcze sprawdzić – rzekł powoli, akcentując mocno wyrazy – czy ty, synku, w stronach tych po raz pierwszy?...

– Boga mi... – odparł Marko z uśmiechem – w życiu noga moja nie postąpiła tu nigdy...

Starzec głową z niedowierzaniem kiwał.

– Chybaż Popa Dżuro opowiadał ci wszystko.

– Nigdy nie mówił z nim o tym...

– To jakże? to niby to z tych dwóch igieł rozkraczonych – rzekł, palcem na cyrkiel ukazując – które stawiasz raz tak... drugi raz tak... dowiadujesz się, ile sahatów stąd dotąd?... Ej... synku... za młodyś na to, aby oszukiwać starego...

Że snadź Markowi nie bardzo chodziło o to, ażeby wiarę pod względem tym zdobyć, więc tylko ramionami ścisnął.

Z wypadków podróży nie mamy ani jednego, który by zasługiwał na wzmiankę szczególną. Nic nie przytrafiło się osobliwszego. Szli – przechodzili przez góry i lasy; mijali wsie i mimochodem zatrzymali się w monasterze Manassja, w którym się pokłonili pięknym obrazom, zostawili kaługierom upominek na utrzymanie klasztoru i wysłuchali legendy o budowaniu cerkwi manassyjskiej, opowiedzianej przez gęślarza ślepego:

¹⁶ Kłątwa w ojca

¹⁷ Sahat – godzina

¹⁸ Brda – godzina

*Crkwu gradi serbski car Stepane,
Crkwu gradi Džuro neimare.*

Legendę tę naszymi opowiemy słowami. Car Stefan nakazał budowniczemu Džurowi, ażeby nie żałując złota ni marmuru, pobudował cerkiew największą i najpiękniejszą. Džuro buduje przez lat dziesięć. Kiedy skończył i pięknie się z carem obrachował car rzecze do niego:

– O, na Boga, Džuro, kiedy ty po białym pójdziesz świecie, białe monastery budować będziesz, powiedz, czy pobudujesz cerkiew piękniejszą?

Džuro się namyślił i tak carowi odpowiada:

– Boga mi, serbski carze Stefanie, piękniejszych cerkwi nie widziałem, ale mógłbym zbudować, gdybym miał więcej złota i marmuru.

Za odpowiedź tę wylupił car budowniczemu oczy i tak do niego przemówił:

– Idź-że teraz, Džuro budowniczy, bez oczów po białym świecie, kiedyś mnie posłuchać nie chciał.

Gniewliwie Džuro klnie cerkwi manassyjskiej:

– Manassjo, bodajbyś ty ogniem zgorzała! bodaj Turczyn bożnicę swoją na miejscu ołtarza przeze mnie postawionego założył! kiedym przez ciebie oczy postradał...

Poszedł Džuro w świat bez oczów, trzy jeszcze cerkwie piękniejsze pobudował, a czwartej fundamenta założył, bez oczów. Jakby z oczami był. A wciąż kłął cerkiew Manassją i co rzekł, to się jej stało.

Słuchał tej pieśni uważnie Hadzi-Petar i Marko, i wszyscy znajomi nasi, i wielu jeszcze Innych ludzi, co się do monasteru zeszli na pokłon. Kiedy podróżni nasi Spuszczali się z gór w dolinę Ressayu, Hadzi-Petar w następujące do Marka odezwał się słowa:

– Czyś zapamiętał ty, co gęślarz w pieśni opowiedział?...

– Zapamiętałem... – odparł Marko.

– Otóż widzisz... ten Džuro neimare, toć on podobny do serbskiego narodu, a ten car Stefan do Turczyna. I budowaniu cerkwi można by podobieństwo znaleźć... Turczyn wylupił naszemu narodowi oczy.

Marko pełnym zdziwienia wzrokiem zmierzył starca od stóp do głowy.

– Czyż nie tak?... – rzekł Hadzi-Petar spokojnie. – Wylupił nam oczy... My ciemni.

– I po ciemku widzicie... – podchwycił Marko.

– E! – I cmoknął starzec na znak zapytania.

– Tak, babo, widzicie... Oto dopatrzyliście w pieśni tego, czegom w niej ani się domyślał.

– Boga mi!... Widzę, co jest... Wylupił nam Turczyn oczy jak car Stefan Džurowi, ażebyśmy piękniejszych i lepszych od tej, co on nakazał, cerkwi nie budowali, a my... z wylupionymi oczami...

– Pobudujecie!... pobudujecie! – zawołał Marko w uniesieniu, którego powściągnąć nie umiał.

Uniesienie to zdziwiło trochę starego Serba. Ścisnął ramionami i wąsy palcami pogładził. Marko tymczasem zimną krew odzyskał.

Szli dalej. Z doliny Ressayu, posuwając się powoli; dostali się w dolinę Morawy, przeszli przez żyzne, zaodłogowane łąki, przepawili się przez rzekę i na drugi dzień po wyjściu z monasteru, na godzinę przed słońca zachodem, u kresu podróży swojej stanęli.

W Jagodynie dostawiciele soli rozdzielili się. Gica konia jednego odwiązał, za uzdę go wziął i poprowadził w swoją stronę; to samo uczynili Dymitr i Michał, i Žoka. Przy starcu pozostał koń przewodni z pięciu tymi, co szły za nim i z dodatkiem tego ostatniego, co dla Marka przeznaczony był. Ten w sakwach niósł jakieś osobliwego kształtu instrumenta, którymi się Marko w czasie podróży posługiwał niekiedy, wzbudzając za każdym razem podziw w towarzyszach swoich. Hadzi-Petar kiwnął na niego głową.

– Tyś mój gość... Popa Dżuro polecił mi, ażebym cię pilnował jak oka w głowie... Ty się nazywasz Marko i przybywasz z tamtej strony, dowiadując się, czy nie ma w tych stronach na sprzedaż wołów i owiec i po jakiej cenie... Rozumiesz? Ostatni wyraz wymówiony był z gestem znaczącym. Marko skinieniem głowy odpowiedział potwierdzająco.

– Będiesz się rozpytywał o woły i owce, a jak zechcesz, to i o świnię: bo choć to Turczyn świnek nie lubi i za nie chrześcijanom dokucza, ale gdzie o nowce¹⁹ idzie, tam się przez palce patrzy... Przy tym ty się będziesz rozpytywał tylko... Rozumiesz?

– Ale będę ja potrzebował posłańca pewnego do wysyłania listów na tamtą stronę...

– O to się nie kłopotaj... Napisz tylko list drobnym pismem, a ja znajdę już posłańca, co ci go odniesie, choćby do Becza²⁰ samego.

Ostatnie wyrazy wymówił we wrotach mieszkania swego, do których na spotkanie i powitanie starca wybiegła kupa ludzi Powiadam „ludzi” w znaczeniu ogólnikowym, obejmując tym wyrazem dzieci i kobiety. Te ostatnie jednak, ujrawszy człowieka obcego, pierzchyłły niby spłoszone stado ptactwa i ukryły się w głębi domu. Pozostały tylko dzieci, które wesołym kółkiem starca otoczyły, i paru dojrzałych mężczyzn, którzy się zajęli końmi.

Dom Hadzi-Petara leżał na przedmieściu, na którym Jagodyna nie wyglądała bynajmniej na miasto. Była to już wieś, tym jedynie od wsi prawdziwych różna, że chaty miały pozór nieco okazańszy, lecz nie na zewnątrz. Dom na przykład Hadzi-Petara, bokiem do ulicy postawiony, wyglądał na szopę. Ściana zewnętrzna zbudowana z drzewa i szarą oblepiona gliną, nie miała okien ani drzwi i stanowiła jeden ciąg z płotem wysokim, także gliną oblepionym, który otaczał podwórze i ogród, łącząc się z podobnymi płotami sąsiednich podwórz i ogrodów. Nad ścianą wznosiła się strzecha, nad płotem sterczał ostrzeszek – oto co pierwszą od drugiego różniło. Wielkie wrota otwierały się na małe podwórze, wypełnione budynkami różnego rodzaju. Jedną stronę zajmowała chata, niska i ubogo wyglądająca, naprzeciw chaty szopa podłużna, od ulicy druga szopa, w głębi, piec z kominem i z wmurowanym kotłem do pędzenia gorzalki, obok pieca lamus, obok lamusa chlew – a wszystko to skupione, ścięśnione; jedno na drugie niemal wsadzone. Zdawałoby się, że właściciel, mając zbyt mało miejsca, starał się zużytkować każdą piędź gruntu. Było to jednak złudzenie, albowiem zabudowania podwórzowe maskowały sobą drugie podwórze, na które się wchodziło ciasnym przejściem pomiędzy lamusem a piecem. Przejście to zamykała furka, zawieszona nad schodkami. Drugie podwórze, obszerniejsze od pierwszego, miało pozór jakiś jaśniejszy, co zapewne stąd pochodziło, iż chata niska i uboga zmieniała się tu w domek, ozdobiony z frontu w krużganek, zwany czerdakiem, i że w głębi rozlegał się obszerny ogród, odgradzony niskim płotem, który nie zasłaniał widoku rosochatych jabłoni i czereśni, wyciągających konary ponad podwórze. Domek znajdował się pod jednym z chatą dachem i miał z nią nawet wewnętrzną, tajemną komunikację, był jednak od niej nieco wyższy i nierównie okazańszy. Czerdak na słupkach rzeźbionych, z balustradą drewnianą i dywanami, okna największe pęczkami zaklejone i dach staranniej posyty czyniły go prawie pięknym pod względem architektonicznym. Pierwotność sztuki przedstawiała się tu z pewnym wdziękiem, zdolnym zadowolić gust niezbyt wybredny. Co do wewnętrznego rozkładu, chata tym się od domku różniła, że w pierwszej znajdowała się sień obszerna i dwie izby po dwóch stronach, w drugim zaś sień ciasna i kilka izdek, pomiędzy którymi jedna najobszerniejsza wychodziła oknami na czerdak i służyła za miejsce zgromadzeń dla licznej rodziny. Z opisu tego zmierzać łatwo, iż pomieszczenie Hadzi-Petara budowane było z uwzględnieniem panowania tureckiego. Chata – było to mieszkanie na pokaz; domek był mieszkaniem prawdziwym albo raczej schronem przed nieprzyjacielem, którego najścia oczekiwano nieustannie. Jeżeli najście ograniczało się odwiedzinami, przyjmowano niemiłych gości w izbie frontowej – rodzina pozostawała spokojna; jeżeli zaś zdradzało zamiary napastnicze, część niewieścia i słabsza

¹⁹ Nowce – pieniądze

²⁰ Becz – Wiedeń

miała możliwość i czas zniknąć w zaroślach ogrodu, wynieść się do ogrodów sąsiednich lub szukać ratunku w polu. Tureckie zwyczaje uczyły raję ostrożności i czujności. Umeblowanie, w znaczeniu jakie nawykliśmy do wyrazu tego przywiązywać, nie istniało w pomieszkaniu Hadzi-Petara. Nie było w nim ani stołów, ani stołków, ani łóżek. Sprzęty te, uważane gdzie indziej za niezbędne, zastępowały kilimki domowego wyrobu i podłużne, wełną wypchane poduszki, które rozkładano na podłodze. Na podłodze siadano i sypiano: w dnie chłodne około komina, którego duży okap, naczyniami kuchennymi obwieszony, zajmował czwartą część izby; w dnie pogodne i ciepłe gdziekolwiek, najczęściej na dworze, na czerdaku lub w ogrodzie. W ogrodzie było najwygodniej. Liczna rodzina miejsca potrzebowała dużo.

A liczną była rodzina. Hadzi-Petar miał synów pożenionych i córki za mąż powydawane. Córki poszły za mężami; lecz synowie sprowadzili żony do chaty ojcowskiej i napelnili ją gromadką wnucząt, wynoszącą półtora tuzina młodzieży, w której liczbie część była dorosła, część dorastająca, a część przy ziemi się jeszcze trzymająca.

Do pierwszej części należała Anka, której ojcem był Żiwko, najstarszy z synów Hadzi-Petara, ożeniony przed dwudziestu paru laty ze Staną, córką najzamożniejszego w Jagodynie kozucharza.

Wspominamy o niej w tym miejscu mimochodem, zastrzegając sobie prawo rozpisania się o wnuczce Hadzi-Petara później. Wspominamy zaś o niej dlatego tylko, ażeby istnienie jej zaznaczyć wyróżniając je wśród tej gromady dzieci, której obecność pod jednym dachem tłumaczy się przyjętym i zachowanym przez południowych Słowian zwyczajem trzymania się całymi rodzinami w kupie – w zadrudze. Zwyczaj to czysto patriarchalny. Zadruga znaczy spółkę naturalną pomiędzy ojcem a dziećmi, spółkę w zasadzie nieustanną, idącą z pokolenia w pokolenie, zostającą pod zarządem głowy rodziny, a po jej śmierci pod zarządem przewodnika wybranego. Jest to, jak się zdaje zabytek pierwotnego kształtowania się Słowian w społeczeństwo. Zabytek ten przechował się w Serbii do dziś, za czasów panowania tureckiego trwał w całej swojej sile i bodaj czy nie jemu to głównie zawdzięcza pozbawiony politycznego bytu naród zachowanie o bycie tym tradycji. Nie będziemy się jednak nad tą dziejową zastanawiali kwestią. Przyjmujemy nagi fakt, wspominając o nim dlatego jedynie, ażeby wytłumaczyć, dlaczego rodzina Hadzi-Petara tak liczna była.

Rodzina ta cała wysypała się na powitanie starca, wracającego z podróży; lecz ujrzawszy człowieka obcego, cofnęła się w żeńskiej swojej części i ukryła w głębi schronu drugiego podwórza. Ukryła się... w taki atoli sposób, ażeby móc widzieć nie będąc widzianą. Gdyby Marko posiadał wzrok bystry i przenikliwy, mógłby był w szczelinach i szparach dopatrzeć tu oko, tam oko, ówdzie oko, wpatrujące się w niego ze szczególnym natężeniem i oglądające go od stóp do głowy. Kilka par oczu przypatrywało się mu ciekawie, lecz niedługo. Hadzi-Petar, zdjawszy z jednego konia biesagi i zarzuciwszy je sobie na ramię, skinął na gościa i poprowadził go na drugie podwórze. Kobiety cofnęły się natychmiast dalej. Marko zachwyił okiem kilka postaci, znikających jedne w domku, drugie wśród drzew ogrodu. Tylko jedna zatrzymała się we drzwiach. Była to niewiasta sędziwa, stara majka, małżonka Hadzi-Petara, a babka młodego pokolenia. Zatrzymała się we drzwiach, złożyła dłonie na piersiach i głębokim pokłonem pozdrowiła męża i gościa.

Starzec powitał ją w imię Boże; ona mu w imię Boże odpowiedziała i w rękę go pocałowała.

- Cóż tu słyhać, Milewo?...
- Wszystko dobrze, Bogu niech będą dzięki...
- Nowego nic?
- Nic, Bogu najwyższemu i miłosiernemu chwała...
- No, to i dobrze... – rzekł starzec wesoło. – Przyprowadzam gościa, którego uczcić potrzeba.

To mówiąc ukazał Markowi dywan na czerdaku i zaprosił go, ażeby miejsce zajął, sam pierwszy zasiadając i po turecku nogi pod siebie podginając. Marko na drugim usiadł końcu. Krużganek zapełniła dziatwa, z wyrazem ciekawej chciwości spoglądając na biesagi, które starzec obok położył.

– Hm, wy się tam domyślacie czegoś... – rzekł ten ostatni po chwili.

Dzieci wzrok na obcego przeniosły człowieka, spoglądając na niego spode łba, jakby się go wstydziły. Wnet jednak uwagę od niego odwróciły, jak tylko spostrzegły, że starzec ręką do biesagów sięgnął i wydobyl z takowych naprzód... piernik.

– Ot, to tobie...

Pogarnęło się kilkoro. Piernik atoli dostał się jednemu chłopakowi, który pilniejszego nie miał nic, jak do ust go podnieść.

Pss... – syknął starzec. – Poczekaj!... Będiesz jadł, gdy obdzielę wszystkich... zjadłbyś bowiem najpierwszy i potem zazdrościł innym.

Chłopak dziadka posłuchał, ale ujął piernik obydwoma rękami i oczy w takowy wlepił.

Starzec ręką do biesagów sięgnął i wydobyl obarzanek, który dał jednej z dziewczynek. W sposób ten obdzielił wszystką dziatwę; gdy zaś gościńce rozdał, zawołał:

– Hajda! – i ręką skinął.

Dziatwa hurmem z czerdaka na podwórze ruszyła. Dwoje się na schodach wywróciło. Jedno w płacz uderzyło. A każde niosło w rękach gościńce, przez dziadka znad Dunaju przyniesione. Wydawało się im, że pierniki te, obarzanki i wykrętańce, którym podobne i Jagodyna produkowała, smaczniejsze były dlatego, że pochodziły z daleka.

Gdy dziatwa znikła, jeden z Hadzi-Petara synów przyniósł dużą miednicę pobielaną, przykrytą nakrywa wyrzynaną, z kawałkiem białego na nakrywie mydła i z nią do gościa podszedł. Marko znał snadź zwyczaj miejscowe. Nachylił się i ręce wyciągnął. Syn gospodarski wodą mu zlewał. I odbyła się ablucja, która się rozpoczęła od twarzy, a skończyła na nogach. Podobną ceremonię i Hadzi-Petar odbył.

Syna gospodarskiego zastąpiła wnet z synowych jedna. Ta wniosła niewielką tacę mosiężną, połyskująca jak zwierciadło, a na niej dwie buteleczki malutkie, z kształtu podobne do tych, w których wędrowni z Węgier przekupnie ambre u nas sprzedają: Buteleczki te napełnione były płynem żółtawym. – Zanim dadzą nam posiłek jaki, napijmy się śliwownicy... – rzekł gospodarz.

Marko jedną z buteleczek do ust przechylił, płyn bulgocząc wlał mu się w gardło, a kiedy wypił, kobieta cmoknęła przeciągle, jak się u nas cmoka na dzieci w pieluchach, i rzekła:

– Na zdrowie.

Hadzi-Petar wychylił buteleczkę drugą, chrząknął i dłonią się po żołądku pogładził.

– Teraz spoczywajmy... Nic lepszego do czynienia nie mamy.

Poprawił się i łokciem się o poręcz dywana oparł. Nie był to spoczynek sybaryty. Dywanem nazywała się deska twarda, kilimkiem pokryta – na niej się siedziało, do oparcia służyły materace wełniane. Na tym polegał komfort cały, który by niejednemu z ludzi Zachodu, przywykłemu do puchów i jedwabów, ciężki ból kości sprawił. Nasi znajomi jednak nie byli wymyślni. Usadowieni na deskach i oparci o materace wełniane, odpoczywali wyśmienicie, przypatrując się krzątaniu rodziny około przygotowań do wieczery – przygotowań, odbywających się zupełnie tak, jak się odbywały przyjęcia gości wedle opisów biblijnych. Zarznięto koźlę młode; rozpalono ognisko na środku podwórza i pieczono je przy płomieniu na różnie drewnianym. Tym się zajmowali mężczyźni. Przy drugim zaś ognisku, które w izbie na kominie gorzało, kobiety zawieszały kociołki i przystawiały garnuszki, w których różne potrawy i przyprawy gotowały. Wszystko to szło prędko i zgodnie. Ta z kociołkiem się porała, owa garnków doglądała, inna ciasto miesiła. Niebawem woń dopiekającego się koźlęcia mieszać się poczęła na podwórzu z wonią ziół i kwiatów ogrodowych. Kobieta, co ciasto miesiła, przerabiała z niego placki, które w kominie na oczyszczonej z rozpalonego węgla płycie ka-

miennej upiekła; a w tymże czasie inne nakryły i zastawiły stół – stół, to jest duży krążek drewniany, z przybitą pod spodem, na pięćdziesiąt centymetrów wysoką, podstawką. Stół ten – stał, w niektórych okolicach Serbii zwany z grecka trapezą – przykryty białym obrusem, zastawiany był potrawami takimi samymi jak te, które czasu onego wedle biblijnego świadectwa jadał Abraham, Izaak i Jakub. Nie wiemy tylko, czy znali oni paprykę, nadającą polewce kolor czerwony i smak piekący; ale znali i spożywali: ser świeży, śmietanę, owoce, miód w plastrach i pieczywo z koźlęcia.

Do wieczerzy zasiedli mężczyźni sami: Hadzi-Petar, gość i synowie gospodarza. Kobiety usługiwały. Działwy ani śladu nie było.

Jak się podróżnym, jak się domownikom jadło – kwestia ta w takim tylko razie należeć by mogła do powieści naszej, gdyby pomiędzy biesiadnikami znalazł się który pozbawiony apetytu albo też obdarzony apetytem nadzwyczajnym, z powodów należących do tego rodzaju budulcowego materiału, z którego architekci powieściowi klecą fantastyczne wyobraźni własnej lepianki. Takiego atoli biesiadnika pomiędzy tymi, co przy blasku świeczki łojowej wieczerzali na czerdaku Hadzi-Petara, w rzeczywistości nie było. A zatem jedzenie milczeniem pomijam. Natomiast podniosę okoliczność jedną, która, kto wie, czy nie wywrze jakiego wpływu, na dalszy los osób. występujących w opowiadaniu naszym.

Okoliczność ta jest następująca.

Kiedy Marko, siedząc na czerdaku, odpoczywał, pogrążony w dumaniu, nagle jakby się ze snu ocknął. Dumanie pierzchnęło. Wzrok Marka się wytężył i szedł przez chwilę, niby cień za mknącą po niebie chmurką, za postacią dziewczycą, co się przez podwórze przesunęła, przy ognisku, przy którym się koźlę piekło, trochę powstała i znikła. Markowi w piersiach zrobiło się jakoś... nijako; westchnął lekko i... ślinę połknął.

I dumał dalej.

Znów postać taż sama z dumania go przebudziła. Ujrzał ją we drzwiach, wprost naprzeciw siebie. Wydało mu się, że wzrok jej na nim spoczywał. Chciał się temu zjawisku przypatrzeć lepiej. Dłonią oczy przetarł – spojrział... już jej nie było. Przy wieczerzy nie pojawiła się i dlatego snadź Marko, nie mając dystrakcji najmniejszej, jadł z apetytem śmiertelnika zwyczajnego, co z dalekiej przybywa podróży.

ROZDZIAŁ TRZECI

TURCY W SERBII

Powieść nasza początkiem swoim odnosi się do roku Pańskiego 1787.

Dawne to czasy! Takich, co by je pamiętali, nie ma już pono pod słońcem; takich zaś, co się w owej epoce rodzili, jeżeli znajdują się gdzie jeszcze, to na palcach ich policzyć. Jedni wyginęli, drudzy wymarli; nowe pokolenia przyszły i świeżym warstwami pokryły z wierzchu te, co w owych żyły czasach.

A czasyż to były – jakże od dzisiejszych odmienne!...

Naród serbski nie rozwijał się, lecz zaledwie wegetował... pod dzwonem pneumatycznym, na który składała się cała, pełna w swoim rodzaju i w swoim czasie doskonała maszyna panowania tureckiego.

Panowanie to miało własność tej choroby, która polipem zowią. W narodzie, który był nim dotknięty, puszczało gałęzie, trzymające się silnie węzła środkowego. Funkcja tych gałęzi było ssanie soków żywotnych.

Węzeł polipa, co Serbie trapił, przebywał w Białogrodzie. Stamtąd rozchodziły się gałęzie na cały kraj pod postacią administratorów, sędziów, poborców, spahiów, janczarów i wladyków. Każdy z urzędników tych, urzędniczków i nieurzędników posiadał *carte blanche* na wszelkiego rodzaju nadużycia pod warunkiem, ażeby władza główna nie ponosiła uszczerbku pod względem powagi i dochodów. To była rzecz główna i pod nią podporządkowywało się wszystko.

Jagodyna, miasteczko małe, ale położone na drodze, którą przechodził trakt główny, prowadzący z Białogrodu do Niszu, Adrianopola i Konstantynopola, posiadała kajmakana, kade-go i mezlisz. Kajmakan rządził, kady sądził, mezlisz radził. Ten ostatni rekrutował się z populacji muzułmańskiej, zamieszkującej główną część miasteczka, zwaną mahalą turecką, a złożoną z urzędników, rzemieślników, handlarzy i spahiów, jednych przebywających czasowo, drugich osiedlonych stale. Urzędników mianowała władza centralna, rzemieślnicy i handlarze powstawali z ludności napływowej, spahie byli to swego rodzaju panowie feudalni, stworzeni z dawniejszych włastelinów, którzy za pomocą przyjęcia islamizmu zachowali prerogatywy społeczne pod warunkiem stawiania zbrojne na każde Wysokiej Porty zawołanie; Cały przeto, jak powiedzieliśmy, aparat władzy znajdował się w miasteczku. Duch i pięść kojarzyły się w przymierzu, opartym na wzajemności interesów. Ludność chrześcijańska była bezbronna.

Najważniejszą figurą był kajmakan, Ali-aga, starzec, poważny milczący, surowy, Turek prawdziwy, rodem z Anatolii.

Lecz ileż to razy się zdarza, że najważniejszą figurą jest nie ta, co za taką uchodzi! Najwyższa hierarchia nadaje prawo. Nie zawsze jednak z prawem w parze idzie istota rzeczy, zwłaszcza w położeniu takim, w jakim się kajmakani w Jagodynie znajdowali. Przybywali z firmanem wydawanym w imię padyszacha i nadającym im władzę, lecz firman, nie był w stanie usunąć sprzed nich trudności pewnych, nieodłącznych, od pobytu w świecie zupełnie dla nich obcym. Przybywali przeto i znajdowali się jak wędrowcy, rzućni na bruk miasta nieznanego. Nie mogli obejść się bez przewodników – bez tych ciceronów, którzy pokazują, objaśniają i kierują.

Ciceroni tego rodzaju stanowili żywy inwentarz każdego tureckiego paszali, każdego sandżaku i każdej nahii – inwentarz, bez którego wyżsi i niżsi urzędnicy obejść się nie mogli, a który w rozmaitym występował charakterze: tu pod postacią golibrody, tam jako sais-basza, ówdzie w charakterze dragomana. Ta ostatnia czynność służyła najczęściej i najzwyczajniej ludziom zręcznym a bezsumiennym za sposób do zagarnięcia władzy rzeczywistej, pod imieniem urzędnika zamianowanego przez padyszacha. Wypadek podobny miał w Jagodynie miejsce.

Kajmakanem był Ali-aga, mąż poważny i surowy.

Dragomanem był kir-Kosta, przybłąda pochodzenia greckiego, człowiek mieniący się jak kameleon, zręczny, podstępny i układny.

W rękę tego kir-Kosty, który żadnego właściwie oficjalnego nie zajmował stanowiska, koncentrowała się władza administracyjna, sądownicza i fiskalna, przedstawiana urzędownie przez kajmakana, kadego i mezlisz.

Kariera jego dużo w sobie zagadkowości miała. Przybył przed półtora dziesiątkiem lat do Jagodyny nie wiedzieć skąd i pierwszym polem jego wystąpienia była łaźnia. Mył i szorował wyznawców proroka, a po kąpieli podawał im kawę i nargile. Z łaźni od razu przeniósł się do konaku²¹ w charakterze powiernika kajmakana, co lat temu dwanaście nahią jagodyńską zawiadywał i od czasu onego w konaku pozostał. Kajmakani się zmieniali; on się trzymał stanowiska, na którym mu było dobrze. Znajdował się niby pomiędzy młotem i kowadłem, lecz umiał sobie radzić: umiał raję strzyc i golić, wmawiając w nią, iż to dla największego jej dobra czyni; umiał przełożonym swoim dogadzać czyniąc się dla nich potrzebnym. Posiadał też tajemnice jednej i drugiej strony. Ali-aga kroku bez niego nie zrobił.

Na kilka dni przed przyjazdem Marka przejeżdżał przez Jagodynę czausz od paszy z Białogrodu i zajechawszy do konaku wprost, miał z kajmakanem krótką na osobności rozmowę.

– Jakiś chaber!...²² – gruchnęło natychmiast wśród ludności muzułmańskiej.

– Coś w tym jest!... – powiedzieli sobie ciekawsi i na tym poprzestali.

Ciekawość turecka najmniejszego z naszą nie ma podobieństwa. Nie idzie do głębi rzeczy, nie puszcza się na pole domysłów, nie bawi się rozwiązywaniem zagadek. Skonstatowała zagadkę – to dosyć. To ją zadowoliło zupełnie.

Czausz przejechał i zostawił po sobie taki w umysłach muzułmańskich spokój, jaki przed jego panował przyjazdem. Nikt ani pomyślał o zgłębieniu tajemnicy rozmowy jego z kajmakanem.

A kajmakan milczał. Milczał dzień jeden, drugi, trzeci. Milczał i myślał, aż przywołał przed siebie kir-Kostę i w następujące przemówił do niego słowa:

– Czy ty wiesz, kir-Kosto?

Kir-Kosta, stojący przed kajmakanem boso, złożył dłonie na piersiach, pochylił pokornie głowę i odpowiedział:

– Ja, effendim²³, nie wiem o niczym... Ty wiesz wszystko...

– Pamiętasz tego czausza od paszy z Białogrodu?...

– Ewet²⁴, effendim.

– Ten czausz przyniósł od paszy, któremu oby Ałłach dni najdłuższych użyczył, rozkaz...

– Ewet, effendim.

– Przyniósł rozkaz, ażeby mieć oko na raję...

– Ewet, effendim...

– Baczyć, co robi... śledzić za krzątaniem się giaurów...

²¹ Konak – dom urzędowy

²² Chaber – wiadomość

²³ Effendim – pan

²⁴ Ewet – tak

Kir-Kosta powtarzał wciąż jedną i tę samą odpowiedź, oznaczającą potakiwanie wyrazom, które kajmakan cedzonym wymawiał sposobem, jakby chciał, ażeby się one w umyśle słuchacza gruntowały.

– Dozorować obcych przybłądów...

Zamilkł, spuścił głowę pod ciężarem myśli czy też turbana wielkiego, który mu na czoło i oczy spadał i po chwili zapytał:

– Czy jagodyńska raja wszystka w domu?

– Nie wszystka, effendim...

Kajmakan skinął lekko głową z dołu do góry, co według mimiki tureckiej oznacza zapytanie.

– Nie ma Hadži-Petara...

– E?...

– Nie ma Gicy...

– Dalej?...

– Żoki, Michaja...

– Dokądże ich szejtan poniósł?

– Udzieliliś im, effendim, teskere²⁵ do Milanowca... po sól...

Turek nie odrzekł nic.

– Upłynęło tygodni dwa od czasu, jak pojechali... Mogli już byli wrócić... Jeżeli ich w drodze trzyma co tak długo, to z pewnością nie sól.

Kajmakan podniósł na niego wzrok spokojny i na pozór obojętny; lecz znający swoich ludzi Grek we wzroku tym wyczytał chęć dowiedzenia się czegoś więcej. Więc mówił dalej:

– Ty wiesz, effendim, że w płaninach Omolje harambaszuje hajduk Milenko, a płaniny Omolje sięgają Krainy i Kliucza, gdzie.. bodajby go zła dola pobija!... głosi się wojewodą hajduk Welko... Nasza raja przechodzić musi przez płaniny Omolje... Hajduk Milenko jest z Jagodyny rodem...

Turek głową lekko pokiwał.

– Ty, effendim, wiesz o tym.

– Trzebaż ich, gdy powrócą, na oku mieć...

– Ewet, effendim... Rozkaz twój spełniony będzie.

Rozmowa ta krótkiego wymaga objaśnienia.

Z daty, postawionej na czele rozdziału, domyśla się czytelnik, iż moment, w którym się powieść nasza rozpoczyna, była to wigilia ważnych dla ottomańskiego państwa wypadków. Dramat dziejowy rozwijał się i dochodził do aktu przedostatniego. Potęga państwowa doszła była w przeszłości do punktu kulminacyjnego i punkt ten daleko już pozostał poza nią. Na schyłku wieku zeszłego znajdowała się ona na pochyłości, wyciągnięta na takową tym głównie, iż nie posiadając w swojej naturze słusznej racji bytu, była wciąż podkopywana wewnątrz i szarpana zewnątrz. Można by przyrównać ją do stanu, w jakim by się znalazł atleta, co sił nadużył. Ten sam wzrost, ta sama grubość kości i szerokość bark, groźność oblicza, lecz – dotknij się mięśni... zmiękły: coś się rozstroiło wewnątrz. Dawniejsi współzawodnicy jego, których on niegdyś jednym rzutem ramienia wywracał, zaczynają mu w żywe uragać oczy.

Na schyłku wieku XVIII rozstrój wewnętrzny ottomańskiego państwa czuć się dawał wszędzie, a szczególnie i mianowicie w prowincjach pogranicznych. Skąd on pochodził? Historycy przyczyny rozstroju tego w rozmaitych upatrują faktach, których wyliczanie i motywowanie nie może mieć miejsca w powieści. My więc poprzestaniemy na zogólnikowaniu powodu, co wyrażamy w sposób następujący: potęga ottomańska nie miała racji bytu, więc się wysilała i słabła; prowincja zaś, a raczej narody ujarzmione miały rację bytu, więc odzyskiwały prawa swoje zaprzeczone.

²⁵ Teskere – paszport

Narody ujarzmione przyjęły przed laty panowanie tureckie. Tak się wyraził fakt dziejowy. Ale jak orzeł nie może się zmienić w sepa, jak wilk nie może zostać tygrysem, tak Serbia nie mogła się stać Turcją. W niektórych wprawdzie, przychodzących jedno po drugim pokoleniach Serbowie z upływem wieków niewoli, przygnieceni przemocą oręża, uginali się i wołali:

- Jesteśmy rają pokorną i wierną i chcemy nią na wiek wieków pozostać.
- Lecz ilekroć wołanie to słyszeć się dawało, zawsze echo mu odpowiadało:
- Nieprawda!...

Na próżno Turcja przygniatała raję coraz to mocniej i przydeptywała, na próżno ją obuchem z siły całej po głowie waliła: dziejowa racja działała nieustannie, echa brzmiały wciąż, w przygniecionych i przydeptanych duch podnosząc i nawołując na słabnącą coraz to bardziej potęgę ottomańska wojny zewnętrzne – wojny, w których raja służyła za kałauza²⁶ wojskom cesarzów niemieckich. Ta Serbii funkcja rozpoczęła się na początku wieku XVII. W każdej pomiędzy cesarstwem tureckim a cesarstwem niemieckim wojnie Serbowie brali udział po stronie tego ostatniego; po każdej powracali pod panowanie tureckie, ale z każdej wynosili zdobycz moralną, tłumaczącą się materialnie przez zwiększanie się rozstroju, w organizmie tureckim. Zawiedziona sto razy nadzieja odradzała się na nowo jak feniks z popiołów, przy sposobności każdej i za powodem każdym. Echa, o których wspomnieliśmy wyżej, bijąc z gór Zety, z wybrzeży Morza Adriatyckiego, z brzegów Sawy, Drawy i Dunaju, z puszt Baczki i Banatu – nie dawały jej zamrzeć.

Turcy daliby wiele, ażeby echa te zniszczyć mogli. Nie dokazali tego jednak w czasach największej potęgi swojej. Echa utrzymywały raję w tym stanie, jaki zalecał uczniom swoim Chrystus, gdy odchodził na samotną w ogrójcu oliwnym modlitwę:

– „Czuwajcie i módlcie się, albowiem zbliża się godzina...” Raja czuwała i modliła się. Bywały chwile, w których duch w niej zamierał. Zdarzało się to po każdym upadku nadziei, kiedy się wydawało wszystkim rozsądnym:

– Ot, co teraz, to już koniec.

Koniec ów jednakże bywał momentalny, jakby na przekór rozsądnym.

I tak na przykład:

Wojna, w której książę Eugenusz Sabaudzki laurami się okrył i która zakończyła się pokojem pożarewackim, przyniosła Serbii ulgi niejaki: lecz w 1739 r. dostaje się Serbia na powrót pod panowanie tureckie i Turcja, doświadczeniem nauczona; bierze swoją raję krótko w ręce, tak ażeby się już nigdy ruszyć nie mogła. Odjęto Serbom prawo posiadania broni, zabroniono im jeździć konno, nakazano im głębokim pokłonem witać każdego muzułmanina na drodze spotkanego; przepisano dla nich strój odrębny, pasterstwo dusz w Serbii powierzono Grekom. Pokój, który trwał pół wieku bez mała (1739-1788), powinien był – tak się wydawało – panowanie tureckie utrwalić, ugruntować, odejmując rai na wieki wieków ochotę wyłamywania się z jarzma, nałożonego z zachowaniem wszystkich reguł ostrożności, praktykowanych w razach podobnych. I Turcy mogli powiedzieć:

– Ot, co teraz, to już koniec.

Mogli to sobie powiedzieć widząc pokorę nadzwyczajną narodu, który na widok Turka pochylał się do ziemi, jak kłosa na polu pochylają się do wiatru.

A jednakże pokora ta rai nie była dostateczną na przyszłość rękojmią.

Uważaliśmy za potrzebne wypowiedzieć powyższych okresów kilka dla ułatwienia czytelnikowi zrozumienia pobudek, kierujących krokami osób, występujących w powieści niniejszej. Nie chcemy czytelnika w zagadkowej trzymać sferze. Niech wie od razu, o co chodzi. W epoce, w której Ali-aga miał przytoczoną powyżej z kir-Kostą rozmowę, Rosja wydała była Turcji wojnę i świat dyplomatyczny zajęty był ważnym nader pytaniem: czy, jak i kiedy mia-

²⁶ Kałauz – przewodnik

nowicie weźmie w tej wojnie udział cesarstwo niemieckie, którego ster znajdował się podówczas w rękach cesarza Józefa II... Wobec pytania tego Serbia znalazła się w położeniu nader delikatnym. Tradycje wojen dawniejszych czyniły ją placem zapasów wojennych. Nie dziw przeto, że władze tureckie zwróciły na raję serbską baczną uwagę większą niż zwykle.

Kir-Kosta po rozmówieniu się z kajmakanem wyszedł na miasto bez wytkniętego, jak się zdaje, celu. Szedł sobie przez rynek mimo szeregu sklepików, w których poważni kupcy tureccy sprzedawali towary łokciowe – szedł powoli, wymachując z lekka ręką, jakby takt znacząc i zatrzymując się co chwila, jakby na coś lub na kogoś czekając. Usta jego ruszały się. Snadź wiódł sam z sobą cichą rozmowę – może myślał, może plany jakie układał.

– Kir-Kosta!... – odezwał się nagle głos kobiecy. Grek wzdrygnął się, obejrzał i jak wryty stanął. Ten sam głos następujące mu w ucho włożył wyrazy:

– Będę u Ormianina pachnidła kupowała.

– Kiedy?... – zapytał kir-Kosta tonem mowy tak zmienionym, iż nikt by nie poznał, że wyraz ten z ust jego wypłynął.

– Natychmiast... – była odpowiedź.

Greki odchrząknął i dalej poszedł.

Dodać potrzeba, że jak dwusylabowe zapytanie kir-Kosty nie wydawało się, ażeby od niego wyjść miało, tak wszystkie głosem kobiecym wymówione wyrazy wzięły się nie wiedzieć skąd. Czy z powietrza spłynęły? Żaden z siedzących po sklepikach kupców nie słyszał nic; dwie zaś Turczynki, które w dużych, kolorowych płaszczach, szłapiąc żółtymi papuczkami z kir-Kostą się przed sklepikami rozminęły, tak dokładnie zakwefione były i tak pilnie wystawom materij jedwabnych i muślinów złotem dzierganych się przypatrywały, że wyrazy te od nich pochodzić nie mogły. Kir-Kosta jednak z kimś się rozmówił. Zamiana słów odbyła się w biały dzień na rynku, głośno, w obecności świadków licznych – i tego nie słyszał nikt.

Zaprawdę! niewola cuda tworzy.

Nie będziemy się nad eksplikacją cudu tego zatrzymywali. Zajrzyjmy raczej do Ormianina, co pachnidła sprzedawał. Za pachnidłami kobiety Wschodu szaleją. Kroplą olejku różanego serce podbić można. Prawda jednak wyznać nakazuje, iż kropla ta jest niesłychanie droga i że się sprzedaje, w prześlicznych, ze rżniętego kryształu buteleczkach, co także niemały na tkliwe niewieście serca wywiera wpływ.

Ormianin w sklepiku swoim olejki różne, maście i wody pachnące miał: miał także i klejnoty wartości wysokiej – i z powodu zapewne towarów tych sklepik jego różnił się od innych tym mianowicie, że otwarty nie był. Dwa okna stanowiły witryny, w których wystawa oczy zrywała. Pomiędzy oknami drzwi wąskie prowadziły do wnętrza, do którego schodziło się po trzech schodach kamiennych. Izdebkę dzieliło w poprzek przepierzenie, rozdzielone samo na dwie połowy, połączone drzwiami z tylnymi izdebkami, które wychodziły na dziedzińczyk, otoczony wysokim płotem i zabudowany w labirynt. A z dziedzińczyka tego wychodziło się na ogród, pełen krzewów i zarośli, a z ogrodu wydostać się było można na jedną z trzech głuchych uliczek, wijących się pomiędzy domami tureckiej mahały. Całe to urządzenie było labiryntowe, napełnione kryjówkami, poplątanymi w sposób wielce tajemny, pomimo że się tajemniczość owa w oczy bynajmniej nie rzucała. Sklepik, napełniony flaszkami, flakonikami i słoikami, pudełeczkami i szkatuleczkami, wyglądał niewinnie i ponętnie.

Do sklepiku tego w chwil kilka po rozmowie zagadkowej kir-Kosty weszły dwie Turczynki zakwefione. Drzwi zewnętrzne otworzyły się cicho i dawszy im przejście, zamknęły się za nimi. W głębi izby, na stole, zastępującym miejsce dywana, siedział w czarnym ubraniu i w czarnym na głowie turbanie człowiek niemłody, pochylony nad robotą jakąś złotniczą. Człowiek ten podniósł głowę, spojrzął na kobiety i niemym ruchem dał im znak zapytania, na który także na migi otrzymał odpowiedź. To była rozmowa cała. Człowiek znów się nad robotą pochylił; kobiety znikły za przepierzeniem.

Turcy, zamykając żony swoje i stawiając przy nich warty rzezańców, tego są przekonania, iż się zabezpieczają przeciwko wszelkim przypadkom, zdarzającym się niekiedy w małżeństwach, w których dla kobiet zastrzeżona jest wolność względna. Przekonanie to nie zgadza się ściśle z istotą rzeczy. I w tureckich małżeństwach przypadki się zdarzają.

Wracajmy jednak do opowiadania.

Dwie Turczynki wsunęły się za przepierzenie, otworzyły jedne z drzwi za nimi się znajdujących i weszły do jednej z tylnych izdebek, w której znalazły dywan, całą długość ścian dokoła zajmujący. Jedna z nich zrzuciła jaszmak²⁷ i rezolutnie na dywanie zasiadła; druga zajęła miejsce obok, lecz zakwefiona pozostała.

Ta, co jaszmak zrzuciła, była to kobieta – jak się mówi – nie pierwszej młodości, nie nader piękna, nie stara jednak ani brzydka. Lat mogła liczyć trzydzieści mniej więcej, cerę miała zdrową, oczy czarne, usta mięsiste i czerwone, brwi duże, czoło niskie, warkocz gruby, kształty ciała wydatne, dobrze zaokrąglone i jędrne. Ubrawszy ją w zapaskę, komełę i namitkę, byłaby „mołodycia choć kudy!” i w tureckim o piękności niewieściej pojęciu, szukającym dla niej porównania w armacie, mogła uchodzić za piękną. Według naszego jednak pojęcia była tylko zdrową, hożą i ognistą.

Na dywanie zasiadła, odsunęła palcami znad czoła włosów czarnych kosmyk, który jej się na oczy zsuwał i dłonie od niechcenia na kolana rzuciła zabierając się do czekania.

Niedługo atoli czekała. Pchnięte lekko drzwi boczne cicho się otworzyły. Ukazał się w nich kir-Kosta.

Kir-Kosta kilka kroków postąpił i przed damą bez zapłony stanął przybrawszy postawę pokorną i uniżoną.

Ta wręcz w słuch mu zapytanie rzuciła:

– Co dziś z tobą Ali-aga na osobności mówił?

– Hanem...²⁸ – odrzekł zapytany, odstępując, jakby w przerażeniu krok w tył.

– Powiedz mi natychmiast i nie szukaj w słowach wykrętów żadnych, bo... ty wiesz...

– Wiem ja, hanem, że pan twój zostaje pod panowaniem wdzięków twoich, będących świeżymi jak jutrzienka a palącymi jak słońce... Któż by się im oparł?

Na pochlebstwo to uśmiech zadowolenia rozjaśnił oblicze kobiety i igrał przez chwilę na jej ustach, spoza których pokazały się dwa szeregi równych, białych, zdrowych zębów, godnych być opiewanymi przez autora „Pieśni nad pieśniami”. Lecz wnet uśmiech znikł z oblicza, usta zadrżały, jakby do płaczu się układając, kobieta podniosła dłonie do góry i zawołała:

– A przecie... ja nieszczęśliwa!

Wtrącimy tu mimochodem uwagę, że towarzyszka jej milczała siedząc nieruchomie, niby statua, w płaszcz pomarańczowy ubrana i białym kwefem obwinięta. Tylko oczy z ukosa przenosiła z kobiety odsłoniętej na Greka i z Greka na kobietę odsłoniętą.

– Ja nieszczęśliwa!... – powtórzyła ta ostatnia. – Ali taki stary!... Świat mnie młodej zawiązał!...

Kir-Kosta nic na te osobliwszego rodzaju zwierzenia nie odpowiedział. Snadź jednak nie po raz pierwszy ta skarga o uszy się mu objęła.

– Ali-aga taki stary! a ja, taka młoda!...

– Hanem, twoja piękność jest jak...

– Milcz!..... – przerwała mu kobieta. – Cóż mi po tej piękności!... Gadasz mi o niej tylko ty i ty, a ty oczy masz zielone i zęby ci powypadały... Tfu... Giaur niewierny!

– Ty jesteś panią... – rzekł Grek pokornie.

– Powiedz mi, co ci Ali-aga mówił?

– Powtórzę ci, hanem, dosłownie.

– Ale tylko nie waż się kłamać, bo ja prawdy dojdę. A w razie takim wiesz, co cię czeka.

²⁷ Jaszmak – welon

²⁸ Hanem – pani

- Wiem, hanem, nie myśl, ażebyś się odważyć miał prawdę przed tobą przekreślać.
- No?... – rzekła niewiasta udobruchana.

Kir-Kosta rzeczywiście od słowa do słowa powtórzył rozmowę całą, jaką nie dawniej jak przed godziną miał z kajmakanem na osobności. Dodał tylko prośbę następującą, którą ze złożonymi wygłosił rękami:

– Tylko, hanem, nie powtórz tego przed Ali-agą, który, z wyjątkiem mnie, tajemnicy tej nie powierzył nikomu innemu...

– Ty się nie lękaj o to... Wiem ja, jak z Ali-agą gadać... Po chwili zapytała:

– Kiedy Hadzi-Petar powróci?

– Nie wiem, hanem.

– Gdy powróci, a mnie z tamtej strony podarku nie przywiezie żadnego, powiedz jemu, żeby wnuków swoich liczył dobrze, bo się ich nie doliczy... Rozumiesz?

Kir-Kosta na to odpowiedział na migi.

Kobieta wstała, zawinęła około głowy welon, zapięła go szpilką z boku, poprawiła płaszcz na ramionach i wyszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

REWIZJA TURECKA

W takich jak Jagodyna miasteczkach ludzie pędzą żywot wielce do wiejskiego podobny: wraz z kurami wstają. Zaledwie przeto poranek zaświtał, a już w domu Hadzi-Petara wszyscy na nogach byli – wszyscy, nie wyjmując gościa, który spędził noc rozkosznie, na rogozinie rozesłanej na podłodze i przykrytej kobiercem, mając pod głową poduszkę, do przykrycia koldrę watowaną, a do wzbudzania przedsennych rojeń płomień ogniska w kominie, rozpalonego drzewem, które lekką wydawało woń. Dziwna rzecz! gdy się położył i w płomień wzrok wlepił, zrazu widział tylko zwyczajny płomień i więcej nic; lecz później poczęło mu się w nim pokazywać coś. Płomień służył niby za płaszcz szeroki jakiejś postaci – postaci dziewiczej, lekkiej, lotnej, powiewnej, która się podnosiła, zniżala, słaniała, długimi warkoczami wstrząsała i łagodnie ku młodzieńcowi spoglądała. To się działo z wieczora, wkrótce po wieczery. Płomienne widowisko nie przeszkodziło jednak Markowi spędzić nocy w objęciach snu i zbudzić się razem z rodziną starego Petara.

Zbudził się, wstał, ubrał się, wyszedł na czerdak i znalazł tam Hadzi-Petara, zawiniętego w ogertasz, siedzącego na dywanie, palącego fajkę i popijającego czarną kawę.

Pozdrowili się wzajemnie, stary zapytał gościa, jak mu się spało i zaprosił go uprzejmie do zajęcia na dywanie miejsca.

– Siadaj i wypij jedną kafu... Wszak nie masz nic pilnego?

– O, mam robotę pilną... – odparł Marko.

– No?... Cóż przecie?...

– Mam do pisania dużo...

– A!... – podchwycił stary robiąc gest oznaczający, iż coś przypomniał sobie.

W dłoń klasnął i krzyknął:

– Żiwko!..

Plaśnięcie w dłoń i wołanie sprowadziły na czerdak najstarszego z synów Hadzi-Petara, którego starzec zapytał:

– A na kogo to tam kolej? Żiwko wymówił imię jakieś.

– Trzebaż, żeby się w drogę wybrał natychmiast... Pójdzie z pismem... Hm!... – zamyślił się na chwilę. – Rozmyślałam nad tym, co lepiej: czy żeby poszedł aż do Milanowca?... czy żeby poniośł pismo do Omolje-płaniny i tam je harambaszy powierzył?

– A cóż z nim harambasza zrobi? – zagadnął Marko z akcentem lekkiego w głosie zdziwienia.

– Pośle je dalej przez jednego ze swoich momków... – odpowiedział Hadzi-Petar tonem zwyczajnym.

– Pewnie?

– O! pewnie... Czego się podejmie hajduk, tego dokona, choćby ziemia pęknąć miała.

– Macie zatem pocztę własną? – pytał Marko dalej tonem zdziwienia coraz większego.

– Czemuż byśmy mieć nie mogli? Jak potrzeba, to potrzeba... Kolej wyznaczona i na kogo wypadnie, powiedzą: idź... zbiera się i idzie...

– A jeżeliby Turczyn posłańca złapał? – wtrącił Marko.

– Cha, cha!... – zaśmiał się stary. – Turczyn łapie tego, co mu w ręce lezie... A w polu... na drodze, w płaninach... tam się on sam pilnować musi, a żeby złapani nie zostali...

Zwracając się zaś do Żiwka dodał:

– To pismo będzie takie, że za nie trzeba się dać posiekać, a Turkowi go do rąk nie dać...

Żiwko odszedł. Hadzi-Petar, wypaliwszy fajkę, wytrząsłszy z niej popiół i przedmuchiawszy cybuch, także wkrótce czerdak opuścił. Marko do pisania się zabrał.

Wybierając się do kraju, w którym piśmienność stała na stopniu nader niskim, bo kwitnęła jedynie po monasterach i to bardzo skromnie – albowiem nie każdy kalugier umiejętność czytania łączył z umiejętnością pisania – nasz Marko zaopatrzył się w przyrządy pisemne. Posiadał w torbie podróżnej papier, pióra i kałamarz. Nie posiadał atoli jednej, bardzo potrzebnej do pisania na sposób europejski rzeczy, mianowicie stołu. Nie mógł sprzętu tego z sobą w torbie nosić. Wydobył więc z torby papier, pióra i kałamarz i musiał stół urządzić sobie z desek dna od beczki, ułożonych na poduszkach. Wyszukanie desek tych i urządzenie z nich biurka zabrało czasu trochę. Na koniec Marko ustawił przyrządy kancelaryjne, rozłożył papier, usadowił się i pisać zaczął.

Pisał. Działwa, której była mnogość taka, dostała snadź rozkaz nieprzeszkadzania piszącemu, bo nie było przy nim ducha żywego. Z głębi domu słyszeć się dawało krzątanie; z ogrodu dochodziły odgłosy jakiegoś niewyraźnego; lecz na podwórzu, a szczególnie na czerdaku, panowała cisza i Marko z całą swobodą umysłu to puszczał pióro po papierze i znać nim czarne ślady, to znów przerywał sobie pisanie, podnosił do góry oczy, myślał, jakiegoś wspomnienia w pamięci zbierał, to znów mapę rozkładał i pilnie się w niej rozpatrywał.

Nie przeszkadzał mu nikt. Oddawał się zajęciu swemu z całą, jak rzekliśmy wyżej, swobodą, z której by może część jakąś utracił, gdyby wiedział, że był pilnych oględzin przedmiotem ze strony kilku par oczu kobiecych.

Kobiety serbskie są ciekawe jak wszystkie zresztą córki Ewy. Nie dziwny się im i nie bierzmy im tego za złe. I my, Ewy synowie, podzielamy z nadobną rodzaju ludzkiego połową tę brzydką wadę; tylko że u nas jest ona mniejsza trochę z powodu, iż w zaspokojeniu onej mamy łatwości więcej. Gdybyśmy tak jak one, trzymani byli w oddaleniu od różnych tajemnic, kto wie, czy wada owa nie objawiłaby się w nas silniej aniżeli w kobietach.

A tu jak na toż przedmiot ciekawości tak był pociągający nadzwyczajnie!

Człowiek obcy!... człowiek młody?... człowiek niepospolicie piękny!... i człowiek piszący!...

Każdy z przymiotów tych, przez naszego Marka posiadanych czyniłby osobistość jego zasługującą na szczególną ze strony jagodynianek uwagę; cóż dopiero, gdy przymioty owe wszystkie razem osobistość tę zdołały!... Można się było oprzeć pociągowi przypatrywania się onej przez wszystkie szczeliny i dziurki wszystkich drzwi i okien? Nawet majka stara pociągowi temu się nie oparła. I ona szła do okna, oko przykładając i nie bez podziwu patrząc na Marka, jak piórem po papierze wodził.

Widok mapy o mało że głośniejszy z piersi kobiecych okrzyków nie wywołał.

– Bre... bre... – po cichu sobie powtarzały stara majka, dojrzałe i młode mężatki, dorosłe i dorastające dziewczęta.

– Dziwoż bo to, dziwo!...

Pomiędzy nimi jednak była jedna, którą zajmowała nie tyle mapa, nie tyle akcja pisania, co sama piszącego osobistość – osobistość rzeczywiście zdolna żywe rozbudzić zajęcie, naznaczona bowiem tym piętnem tajemniczym, co to pojedynczego człowieka wśród tłumów wyróżnia. Marka matka przyroda piętnem tym naznaczyła. Był on piękności męskiej typem. W miarę słuszny, szykownie i silnie zbudowany, nosa orlego, czoła wyniosłego i marsowatego, oczu czarnych, bystrych, pojętnością i odwagą tryskających, mocny brunet, z wąsem sumiastym w dół spadającym, był jakby stworzony na to umyślnie, ażeby dziewczynom głowy zawracać. Toż nie dziwny się dziewczęce w pełnym rozkwicie, ślicznej jak rojenie poetyczne, że gdy go nad pisaniem schylonego widziała, okiem go pożerała, gdy zaś czoło do góry wzniosł i obłokiem myśli je otoczył, czuła, jakby ją coś podnosiło, od ziemi odrywało, w niebo niosło.

Tego wszystkiego Marko ani się domyślał. W przekonaniu, że jest sam, pisał i myślał, myślał i pisał nie zwracając uwagi na ten ruch, krzątanie się wewnątrz domu ani na te odgłosy z

ogrodu, o których wspomnieliśmy powyżej. Aż przyszła chwila, w której nie mógł na to uwagi nie zwrócić. Krzątanie się bowiem przybrało charakter jakiś niezwykły. Nagle słyszeć się dały jakieś biegania, suwania i stukania. Marko pisać zaprzestał i z zawieszonym nad papierem piórem ucho nastawił.

– Co to znaczy? – zapytał sam siebie.

I nadśluchował. Po chwilce w słuch mu przytłumione wpadło wołanie.

– Człowiecze!...

Zwrócił głowę w stronę, z której głos przychodził, i ujrzał we drzwiach kobietę, która mu, ku ogrodowi ukazując, znaki jakieś głową i rękami zagestykuowała i zniknęła.

Marko nie zrozumiał nic, niczego się nie domyślił, tylko się zadziwił bardzo.

Przez chwilę pomyślał, do siebie się uśmiechnął, ramionami lekko ścisnął i nad swoim zaimprovizowanym nachylił się stołem, chcąc pisać dalej; lecz zaledwie piórem papieru dotknął, aliści znów usłyszał wołanie:

– Człowiecze!

Tym razem wyraz ten wymówiony był z większym aniżeli poprzednio przyciskiem. Obejrzał się. Stojąca we drzwiach kobieta, nie ta, co poprzednio, stała w postawie takiej, jakby się w biegu zatrzymała – dała mu jakieś znaki rękami, na ogród palcem ukazała i zniknęła.

– A to co? – pomyślał sobie. – W tym jednak coś być musi...

Potarł dłonią czoło i pióro położył. Po chwili atoli wziął je na powrót i w głowę się podrapał, jak zwykli czynić ludzie niektórzy, gdy zgubionego wątku myśli szukają.

Chciał pisać dalej. Nad papierem się nachylił i czytał, co napisane już było, żeby móc do tego ciąg dalszy zastosować, gdy usłyszał na czerdaku stapanie szybkie i ujrzał przed sobą... cudo.

Istne cudo!... pod postacią dziewczyny.

Ujrzał przed sobą dziewczynę, której pojawienie się niby jasność na czerdak wniosło. Gdyby nie stapanie to, od którego deski na czerdaku skrzypiały, pomyśleć by można, że z obłoku spłynęła. Marko widział ją już, lecz w mglistych, ogólnych zarysach: w pomroku wieczornym przesunęła się parę razy przez podwórze i w płomieniu ogniska ślaniała się na kształt salamandry. Teraz ujrzał ją przed sobą – tę samą. Płowy warkocz zdobił jej czoło, a w splotach warkocza przebijał się kolor czerwony, podobny do odbicia płomiennego; gładkie czoło jaśniało pogodą; z ciemnoszafirowych oczu płynęła słodycz niesłychana, koralowe usta dyszały rozkoszą; pierś podnosiła się oddechem przyśpieszonym; w całej postaci jej widać było jakieś niby pomieszanie, mające za przyczynę coś nadzwyczajnego.

Wbiegła, przed Markiem stanęła i... coś przemówić chciała.

Do mówienia się nastawiła. Usta już otworzyła; już pierwszy dźwięk głosu jej zabrzmieć miał w uszach Marka i Marko szyję wyciągnął, jakby na to, ażeby słuch swój do ust jej przybliżyć; lecz... wymówić słowa nie mogła. Oblała się jeno szkarłatem rumieńca. Zrobiła krok w tył i byłaby pierzchła, gdyby jej siła jakaś nie zatrzymała i znów do mówienia nie ponagliła.

Siła ta jednak nagliła ją nadaremnie.

Widocznie przemówić chciała, ale nie mogła. Zapłonienie lic rumieńcem dziewiczej wstydlivosti dostatecznie świadczyło, jaką usta jej kępowała przyczyna. Marko patrzył jej w oczy wzrokiem uprzejmie zdziwionym, słuchał, czekał. To ją mieszało. Spuściła na oczy firanki rzęs długich i piękniejsza jeszcze się stała.

I nagle ciałem całym taki zrobiła rzut, jakby gwałtowna potrzeba jakaś natchnęła ją postanowieniem, nakazującym nie zważać na nic. Z lic ustąpił rumieniec; oczy podniosła, z błagalnym wyrazem w oczy Marka spojrzała, naprzód postąpiła, za rękę go ujęła i do siebie pociągnęła. Marko wstał.

Z ust dziewczyny cichy i głuchy, ale zarazem silny wypłynął wyraz:

– Chodź...

Wyraz ten na organizm Marka wywarł wpływ pociągu magnetycznego. Wywarł także wpływ pociągający.

„Chodź” zagrało mu w duszy harmonią orkiestry anielskiej, stało się dla niego śpiewem syreny. – Zapomniał o wszystkim.

Nieznana jakaś dziewczyna, nieznana, a urocza, wezwała go i pociągnęła. Wezwała i pociągnęła – poszedł.

Zwróciła się ku wschodkom – on za nią.

Zeszła z czerdaku – on za nią.

Przebiegła przez podwórze – on za nią.

Wpadła do ogrodu – on za nią.

Ona biegła, on ją ścigał... ścigał – i byłby ją tak ścigał... aż w czeluście piekła.

Bodaj to... młoda krew!...

„Młodości, ty nad poziomy wylatuj”... – powiada poeta.

Marko wyleciał za piękną dziewczyną na ogród, wpadł w krzaki, w zarośla, skrył za gęstwiną drzew i... zapomniał nie tylko o świecie, ale jeszcze i o tym, że zostawił na czerdaku swoje sakwy podróżne oraz kałamarz, pióra i rozpoczęte na zaimprovizowanym przez siebie stole pisanie.

A taką miał robotę „pilną”!

Może jednak wkrótce do niej powróci i dokładając staranności, dokończy onej w czasie, w którym dokończyć był powinien.

Trudno... – bo oto, co się stało. Podczas kiedy Marko pisał, na pierwszym podwórzu pojawił się kir-Kosta. Hadzi-Petar spotkał go z obliczem w wesele i uprzejmość przystrojonym, zmienił z nim salamaleke i do gościnnej izby prosił. Tam powitanie się powtórzyło, kir-Kosta i Hadzi Petar na dywanie zasiedli; po chwili stara Milewa podała gościowi sładko i kawę i przyniosła węgiel do czubuka. Wonny dym tureckiego tytoniu począł sinawymi obłoczkami po izbie się wałęsać. Kir-Kosta siedział przez czas jakiś w milczeniu, które przerwał zadając Hadzi-Petarowi pytania, odnoszące się częścią do podróży, z której powrócił, częścią do tego, co tam w mieście słyhać. Pytania te, wymawiane powoli i poważnie, jak przystało urzędnikowi piastującemu godność wysoką, były bardzo naturalne i właściwe. Hadzi-Petar odpowiadał spokojnie, w sposobie ogólnikowym. Rozwodził się szeroko nad błotem na drodze, gdy deszcz ziemię namoczy i nad zimnem w nocy, gdy ognisko zgaśnie; ani słówkiem nie wspominał o spotkaniu z harambaszą i o baryłkach z prochem, krótko mówił o bytności w monasterze Manassja, co się zaś wiadomości tyczy, zaręczał uroczyście, że:

– Co będzie, to będzie, a będzie, co Bóg da...

– A pamiętałeś ty, Hadzi-Petar – rzekł kir-Kosta – żeby co tam dla hanem przywieźć?...

– A jakże! – odparł stary. – O!... przywiozłem dla niej sztukę materii zielonej...

Po chwili dodał:

– Przywiozłem upominek i dla Ali-agi, i dla ciebie.

– Ewała...²⁹ – rzekł Grek półgłosem. – Cóż to za obcy przybył z wami człowiek?.

Hadzi-Petar z cybucha się zaciągnął, z głębi piersi duży kłąb dymu, wyrzucił i od niechcenia odpowiedział:

– I!... pyta o bydło i owce...

Kir-Kosta głową z lekko nacięniowanym akcentem niedowierzania pokiwał.

– I o świnki... – dodał Hadzi-Petar z miną półtajemniczą, czyniąc niby denuncjację przeciwko człowiekowi obcemu.

– Skądże on?

Hadzi-Petar ramionami ścisnął.

– Powiadają, że zza Dunaju. Znalazł nas w Milanowcu... no... i prosił, Czy nie mógłby z nami dostać się do Jagodyny, ażeby stąd pójść do Kragujewca, do Kruszewca... Ta i czemuż by nie mógł? Ot i przybył.

Kir-Kosta z cybucha tak pociągnął mocno, aż w fajce zaskwierczało. Po chwili rzekł z miną wielce tajemniczą:

²⁹ Ewała – dziękuję

– Słuchaj no mnie, Hadzi-Petar... ja tobie źle nie życzę... ty wiesz...

Hadzi-Petar głową na znak potwierdzenia skinął.

– Owóż, powiadam ci, trzeba, żebyś pomógł kawasom przybysza tego pojmać i do apsu³⁰ wsadzić. Tobie się to nie godzi, wiem o tym... Raja plułaby na twoje włosy siwe... Toż zrobimy to tak, żeby raja o tym nie wiedziała... Powiedz mi tylko, gdzie on, i dosyć.

Starzec propozycji tej wysłuchał uważnie i poważnie, i na obliczu nie okazał ani zdziwienia, ani oburzenia. Podniósł tylko powoli rękę do głowy i poprawił sobie na takowej fez, a poprawiając zrobił z tyłu głowy palcami ruch, jakby nagle doznał w nich drgania konwulsyjnego. Jeszcze i cybuchem wykonał manewr jakiś, nic z paleniem fajki wspólnego nie mający, a przy tym kapciuchem wstrząsnął. W chwili tej za ścianą dzielącą izbę gościnną od przyległej, słyszeć się dało ciche, przytłumione chrząknięcie i głuche puknięcie. Wszystko to mniej czasu zabrało, aniżeli nam było potrzeba do opowiedzenia znaków tych tajemniczych. Usłyszawszy puknięcie, starzec głośno odchrząknął i fajkę w usta włożył.

– Powiedz mi tylko i dosyć... – mówił kir-Kosta. – Gdzie on jest?

– Gdzieś zapewne na mieście... – odpowiedział zapytany obojętnie.

Kir-Kosta cmoknął na znak przeczenia.

– On jest musafir³¹ twoim...

– Tak jest... – odrzekł Hadzi-Petar, głowę pochylając.

– Spodziewałem się w musafirlyku³² go zastać.

– Hm... Wyszedł. Człowiek, co o świnki pyta, nie może siedzieć i watry³³ pilnować...

– Na czarszji³⁴ go nie ma... – rzekł kir-Kosta.

Hadzi-Petar ramionami ścisnął.

Nastąpiła chwila milczenia. Gospodarz i gość siedzieli nieruchomie, powoli fajki paląc. Twarz starca była spokojna i obojętna.

Spokój i obojętność nie ustąpiły z niej wówczas nawet, gdy przybyli trzej nowi goście, daleko bardziej aniżeli kir-Kosta niepożądani. Byli to trzej Turcy. Jeden z nich miał na sobie futro, niżej kolan spadające i z przodu otwarte. Szeroki turban głowę mu nakrywał. W rękę niósł dość długą, cienką laskę leszczynową. Spod futra wyglądały mu pistolety i kindżał za pasem sterczące. Dwaj drudzy podobnie byli ubrani i uzbrojeni, tylko nie mieli lasek w rękę ani futer na grzbiecie. Miny ich były poważne i uroczyste.

Weszli do izby gościnniej. Hadzi-Petar powstał na powitanie ich i przyjęcie, na które Turek w futrze, zatrzymawszy się na progu i opatrzywszy izbę dokoła, odpowiedział zapytaniem:

– Nerede sizin musafir?... (Gdzie twój gość).

– Bilmem, effendim... (Nie wiem, panie) – była odpowiedź Hadzi-Petara.

– Powiada, że na miasto wyszedł... – dodał kir-Kosta. Turek głową z dołu do góry rzucił i rzekł:

– Jok... (Nie). On tu być musi...

Zatrzymał się przez chwilę, patrząc pytająco na kir-Kostę; lecz ten ruchem głowy i ramion wytłumaczył mu, że żadnego udzielić nie może objaśnienia. Wówczas Turek na miejscu się zwrócił i wyszedłszy na pierwsze podwórze, zaglądać począł pod szopy i do zabudowań, które się tam znajdowały. Rewizja ta odbywała się poważnie, powolnie i w milczeniu. Zajrzał tu, zajrzał tam, zajrzał owdzie, poprzedzając dwóch towarzyszków swoich, którzy za nim postępowali, i nastawiając ucha kir-Kości, który, idąc obok, robił mu od czasu do czasu jakąś po cichu uwagę. Hadzi-Petar przypatrywał się temu z daleka, stojąc na progu domu swego.

³⁰ Aps – więzienie

³¹ Musafir – gość

³² Musafirlyk – izba gościnną

³³ Watra – ogień

³⁴ Czarszja – rynek

Rewizja na pierwszym podwórzu trwała niedługo.

– Otwórz no do twego dari saadet...³⁵ – rzekł tonem przekąsu Turek w futrze, zatrzymując się przed Hadzi-Petarem.

– Effendim... – odrzekł ten ostatni, nadając intonacji głosu znaczenie, które by się w następujący sposób wyrazić dało: opamiętaj się! co czynisz?

– Zazar jok³⁶, otwórz – była odpowiedź Turka.

Hadzi-Petar otworzył drzwi, służące do wewnętrznej komunikacji pomiędzy jedną połową domu a drugą i ustąpił z progu. Turek w futrze wkroczył poważnie, za nim kir-Kosta, za nimi dwaj Turcy bez futer, na końcu gospodarz domu. Oglądali naprzód izby. Przechodzili z jednej do drugiej, zawsze z jednakową powagą i zawsze powolnie; zaglądali tu i owdzie i szli dalej. W izbach nie było żywego ducha. Turków to bynajmniej nie dziwiło ani gniewało: według ich bowiem wyobrażeń było to jak najzupełniej w porządku, że się kobiety przed mężczyznami pochowały, że zabrały ze sobą dzieci i nie przypuszczali zapewne, ażeby zabrać miały z dziećmi i dorosłego, obcego człowieka. Dlatego snadź prowadzili dalej oględziny z flegmą i spokojnie.

Przeszedłszy przez izby i przekonawszy się, że nie ma nikogo, z kolei wyszli do sieni, a z sieni na czerdak.

Na czerdaku Turkowi w futrze od razu wpadł w oczy stół, przez Marka urządzony i porzucone na stole tym papiery. Nic nie mówiąc zbliżył się, stanął i począł się przypatrywać z daleka. Z miny widać było, iż sprawy z tego, co to jest, zdać sobie nie umiał. Stół? Stół dla Turka jest sprzętem, bez którego on się zgoła obchodzi i który znany jest tylko tym, co bliższe z Frenkami stosunki mają; a takich osiem dziesiątków lat temu dałoby się nieledwie na palcach policzyć. Więc zastanowił go naprzód stół, a potem pióro gęsie. Pióro gęsie? Patrzył na narzędzie to z daleka, nie domyślając się wcale, do jakiego by służyć mogło użytku. Turcy piszą na kolanie, piórami trzcinowymi. Stół przeto i pióro przedstawiły się jako przedmioty nieznanne i nieznanymi, zagadkowymi pozostałyby były, gdyby użytku onych nie tłumaczyły w części kałamarz i papier. Kałamarz napełniony inkaustem? – tego i Turcy używają; a chociaż atrament ich różni się od naszego, zawsze atoli jest czarny i trzymają takowy we flaszkach, podobnych z kształtu do tych, jakich w chrześcijaństwie używają. Kałamarz przeto stał się niejako kluczem do rozwiązania zagadki, tłumaczącej się ostatecznie ćwiartką papieru, w połowie zapisaną. Turek w futrze poznał, że to pisanie, ale pisanie nietureckie. Na kir-Kostę więc skinął.

– Weź to...

Kir-Kosta papier do ręki wziął, począł nań patrzeć, patrzył, głowę pochylił naprzód na prawo, następnie na lewo, potem znów na prawo i – jak się zdaje – nie dowiedział się niczego. Turek go o nic też nie pytał. Zwrócił uwagę na rozłożoną na boku mapę. Zmarszczył brwi. Przekrzywił nieco usta nadając im wyraz pogardy. Westchnął westchnieniem politowania i brwi podniósł, jak się czyni na widok bądź czynu, bądź przedmiotu, pozbawionego wartości wszelkiej, a przecie zaprzatającego ludziom umysł.

Kir-Kosta, niewiele pono od Turka mądrzejszy, mimo że umiał trochę po grecku czytać i pisać, i był w stanie na kirylicy sylabizować, nie miał jednak o mapach pojęcia. Ta atoli, którą rozłożoną widział, zafrapowała go. Nie rozumiał jej; wrodzonym jednak sprytem czegoś się w niej domyślał, i z tego zapewne powodu zachowując ton obojętny, tak się odezwał:

– Może by ten kitab³⁷ wziąć?

Kir-Kosta wziął mapę za róg jeden i podniósł: rozłożyła się w wielkości całej; przytrzymał ją więc jeszcze i ręką drugą i trzymając przed sobą nogami do góry, wodził po niej oczami od dołu do wierzchu i od strony prawej w lewą. Wszyscy trzej Turcy uczynili toż samo, ale z tak

³⁵ Daari sadet – przybytek szczęśliwości

³⁶ Zazar jok – nic to nie szkodzi

³⁷ Kitab – papier, książka

wielką powagą i z takim wzgardy na obliczach, turbanami ocienionych, wyrazem, że patrząc na nich, wydawać by się mogło, iż oglądany przez się w tej chwili przedmiot mają za igraszkę dziecinną, na którą zważać nie warto. Grek jednak inne miał o przedmiocie tym wyobrażenie. Potrzymawszy jednak mapę przez chwilę i nie dowiedziawszy się z niej niczego, począł ją składać.

Złożona mapa odsłoniła przedmioty, które pod nią leżały. Były to instrumenta niektóre geometryczne: cyrkiel, ekierka, linijka z podziałami, kompas itd. Że niektóre z instrumentów tych błyszcząły, więc większą na siebie aniżeli inne przedmioty uwagę Turków zwróciły. Kir-Kosta także do błyszczących rzeczy pociąg miał kruczy. Jak skoro przeto je zoczył, natychmiast nie czekając na rozkaz, ręką sięgnął i kompas pochwycił. Byłby go może w zanadrze schował, ale tego uczynić nie mógł, świadków miał za wielu. Podniósł go więc pod oczy Turkowi w futrze.

Turek cmoknął językiem. Wziął z rąk Greka kompas, położył takowy sobie wypadkiem na dłoni i ze zdziwieniem niejaki ujrzał igłę magnesową drżącą i obracającą się.

– Sahat... (zegarek) – bąknął jeden z Turków bez futer. Turek w futrze oddał Grekowi kompas i rzekł wzgardliwie:

– Zły to zegarek... Nie wiadomo jaki, zamiast pokazywać godzinę po godzinie, kręci się na tył i na przód od razu po wszystkich...

Ręką machnął i cyrkiel podać sobie kazał.

Cyrkiel zastanowił go bardziej niż wszystko inne. Spróbował palcem – ostry. Złożył i oglądał go dokoła. Rozłożył zupełnie i ujawszy w garść pośrodku, miał z dwóch stron dwa końce ostre. Podniósł rękę do góry próbując uderzenia w powietrzu.

– Hm... – mruknął pod nosem.

Znów oglądał. Głową kręcił. Przedmiot ten tak go zafrapował, że nie wahając się przyznać przed giaurami i podwładnymi swymi do niewiadomości, zapytał:

– Do czego to?

Kir-Kosta, do którego się to pytanie stosowało, odpowiedzieć na nie nie umiał. Udał więc na razie, że nie słyszy i odwołał się następnie do będącego niemym całej tej sceny świadkiem Hadzi-Petara powtarzając mu zadane przez Turka zapytanie po serbsku.

– To na świnki... – odrzekł zapytany tonem naturalnym.

W chwili tej Turek ponownie zapytał:

– Do czego?

– To się tym, effendim, domus (świnia) zabija... – odpalił Grek.

– Giaur pezewenk!... – krzyknął Turek, ciskając nagle cyrkiel, jakby nim sobie palce poparzył.

– Tfu!... tfu!... tfu!... – splunął raz, drugi i trzeci. Odwrócił się, czerdak opuścił i dalej powoli, poważnie i w milczeniu na drugim podwórzu i w ogrodzie rewizję odbywał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

NA MEZLISZU

Takich to Serbia miała panów!... Nie przesadzamy nic; nie nakładamy na obraz kolorów zbyt jaskrawych, malując ciemnotę turecką, jaka była lat temu osiemdziesiąt cztery: dziś bowiem jeszcze, r. 1871, kiedy postępowi niby to zajrzał do głów tych szczęśliwych niegdyś zdobywców, można by pomiędzy nimi tysiącami znaleźć dostojników takich, w których by się wzmówić dało, że cyrkiel służy do zabijania świnek. Nie dawniej jak w 1854 roku pewien pasha ganił inżyniera, który mu przedstawił plany bitwy morskiej, iż nie narysował, jak przewraca się na statku parowym trafiony kulą komin. Telegraf elektryczny jest dla nich zagadką nie do rozwiązania. Gubernatorowie prowincyj biorą za społeczne wypadki zdarzone lat temu na przykład czterysta. Są to rzeczy zwyczajne – jest to przyprawa do chleba powszedniego, którą pożywać muszą poddani Wysokiej Porty.

Turków odznacza ta właściwość, iż wielką ciemnotę łączyć umieją z wielką powagą. Ciemnota i powaga harmonizują się w nich i idą w parze.

Hadzi-Petar był także ciemny. Mogłoby być inaczej? Skąd oświata miała się w nim wziąć? O mapie i narzędziach geometrycznych dowiedział się dopiero, gdy je ujrzał w rękach Marka i gdy ten wytłumaczył mu użytek takowych. Gdyby nie okoliczność ta, czysto przypadkowa, wiedziałby ów nieszczęśliwy, co Turek w futrze i kir-Kosta. Niemniej przeto udało mu się Turka w pole wyprowadzić i uratować część instrumentów od konfiskaty, jakiej uległy: list, mapa i kompas – list i mapa na rzecz władzy, do zrobienia użytku, jaki za stosowny uzna, kompas na rzecz kir-Kosty, który korzystając z chwili oburzenia Turka w futrze, zdążył instrument ten osobliwy w zanadrze sobie wsunąć. Wykonał to tak zręcznie, że reprezentanci władzy ani się spostrzegli. Widział to tylko Hadzi-Petar; lecz ten, nie mając snadź interesu w wydawaniu tego roztargnienia, uśmiechnął się tylko.

Trzej Turcy po dopełnieniu rewizji udali się na konak; kirKosta pozostał.

Hadzi-Petar zachowywał się, jakby nie zaszło nic. Na twarzy obojętność i spokój, w ręku cybuch – odprowadził gości odchodzących do wrót, a pozostającego zaprosił do izby gościny. Znow usiedli i fajki zakurzyli. Znow sinawe obłoczki poczęły się wałęsać pod niskim sufitem wymykając się do sieni przez drzwi otwarte.

Na podwórzu kogut w skrzydła uderzył i głośno zapiał.

– Hm... – odezwał się Hadzi-Petar – chyba to na zmianę pogody... Przydałoby się deszczu trochę...

– Hm... – odmruknął kir-Kosta. Pomilczał jeszcze przez chwilę i zaczął:

– Posłuchaj no ty mnie, Hadzi-Petar... Czy ty chcesz na głowę sobie nawołać biedę?

– Jaką? – zapytał zagadnięty.

– A że bronisz tego jakiegoś przybłądy...

– Ja bronie?!...

W tej starca odpowiedzi brzmiało doskonale udane zdumienie.

Lecz kir-Kosta nie w, ciemię był bity.

– Cóż ci to tam zaszkodzi albo pomoże, że on w apsie posiedzi... Posiedzi, parę dukatów zapłaci i puszcza go... Ty wiesz, że o świnki więcej zawsze krzyku jak czego...

– Tak!... – rzekł starzec popierając wykrzyknik ten znaczącym ruchem.

– Otóż tak... Powiedz mi tylko, gdzie on, a w tym już ja, że tobie włos z głowy nie spadnie. Starzec się uśmiechnął.

– Cóż?

– Nic... – była odpowiedź. – Ja tylko to sobie myślę, że moje włosy Pan Bóg policzył i bez Jego woli żaden nie spadnie.

Greki był przeargumentowany. Zrobił więc głową i ramionami gest, oznaczający, że misję swoją uważa za skończoną wkrótce też potem pożegnał Hadzi-Petara.

I udał się na konak.

Konak był to budynek drewniany, przeznaczony na użytek podwójny: na pomieszkowanie dla kajmakana i na przybytek władzy administracyjnej. Stosownie do tego dzielił się na dwie połowy: frontową i tylną. We frontowej, zwróconej na rynek, znajdowała się izba obszerna, z galerią dokoła. Galeria, na parę piędzi nad podłogę wzniesiona, miała z przodu balustradę drewnianą, a popod ścianami szeroką ławę, na której zasiadali członkowie rady, zwanej mezlisz. W rogu na tej ławie rozesłana skóra barania oznaczała miejsce przewodniczącego, którym z prawa był kajmakan. Obok przewodniczącego, zasiadał kitabdži (pisarz) ze szkatułką na papiery. Dalej rzędem mężowie rady. W jednym rogu tej izby znajdował się komin; na kominie tym utrzymywano ogień w zimie i w lecie – ogień, przy którym kawedži gotował kawę, tak dla mężów rady jak również i dla delikwentów, i interesantów. Ci ostatni stali lub w kuczki siedzieli w części izby niższej. Mężowie rady spoglądali na nich z góry. Dodać tu jeszcze potrzeba, że członkowie mezliszu zrzucali papucze w izbie, przed schodkami, które na galerię prowadziły, inni zaś w sieni przed progiem, przez który się do tego przybytku porządku publicznego i sprawiedliwości wkraczało. Jednym i drugim wolno było fajkę palić i jeść.

Kir-Kosta zastał mezlisz w komplecie. Kajmakan zajmował miejsce swoje. Ów Turek w futrze, który rewizję robił, siedział pomiędzy radcami. Ci dwaj, co mu towarzyszyli, stali przy drzwiach, wśród czterech innych agentów władzy wykonawczej. Turek w futrze odpowiadał właśnie kajmakanowi na zapytanie. Źle się wyrażam, zdawał sprawę z powierzonej mu czynności, inaczej składał raport.

Ali-aga spojrział na niego, skinął lekko głową i wyrzucił z gardła dźwięk krótki:

– E?...

Turek w futrze oczy otworzył szeroko, usta ścisnął, głowę nieco przekrzywił i ramionami ruszył.

Oto był raport cały. Odznaczała go krótkość i dokładność. Bez wyrzeczenia jednego wyrazu powiedziane było wszystko, a chociaż nie wszyscy, o co chodziło, zrozumieli, to jednak rzecz została załatwiona. Kajmakan zrozumiał, że wyprawa w celu ujęcia jakiegoś tam przybysza nie powiodła się. Nie wiedział jednak, że wyprawa ta doprowadziła do odkryć, z których coś wnioskować należało.

Po zdaniu raportu przez Turka w futrze, kir-Kosta złożył obok Ali-agi list i mapę.

Ali-aga rzucił na to okiem z ukosa i zwracając wzrok na Greka, popatrzył na niego z wyrazem zapytania.

– Jakiś kitab... – rzekł Grek ramionami z lekka ruszając. Ali-aga wyciągnął rękę powoli i wziął naprzód list. Patrzył, obracał go na wszystkie strony i położył. Wziął następnie mapę. Gdy ją ujął za koniec, rozwinęła się. Patrzył, obracał... obracał, w końcu wręczył ją kitabdżemu, dawszy mu znak, ażeby podał dalej.. Mapa poszła z rąk do rąk. W milczeniu radca radcy ją wręczał. Aż dostała się do rąk ostatniego i ten podał ją kawedżemu.

Kawedži, choć Turek, niekiedy jednak głośno myśli swoje wypowiadał.

– To coś od czarów... – rzekł. – Kiedyś przez Jagodynę przebiegał fakir i miał papier ze znakami. Za pomocą znaków tych sprowadzał deszcz, grad, pioruny, choroby...

Na te słowa przytłumiony, głuchy pomruk zgromy wydarł się z piersi wszystkich członków mezliszu.

– Ała! – mruknęli razem.

Kir-Kosta wziął z rąk kawedżego mapę, złożył takową i położył znów na ławie obok kajmakana.

Kajmakan pogrążył się w milczeniu. Członkowie mezliszu poszli za przykładem przewodnika swego. Jaki taki powieki spuścił, że wydawać się mogło, iż zasnął. Nie zasnął żaden. Milczeli i myśleli. Patrząc na szereg ten mężów siwobrodych, poważnych, siedzących nieruchomie z podgiętymi nogami, ubranych w wielkie turbany i w futra, które się na ich postaciach malowniczo w draperie układały, pochylonych nieco naprzód i pogrążonych w milczeniu, rzekłbyś, że to szereg mędrców, skąpych na słowa, lecz bogatych w rozum.

Milczeli i myśleli.

Na myśleniu spędzili godzinę całą.

I nie wymyślili jeszcze nic, gdy się rozległo wołanie muezzina z pobliskiego minaretu i zabrzmiało w powietrzu wezwanie wiernych do modlitwy.

– La illach il Ałłach, en Mohamed ressul ułłach... (nie masz Boga nad Boga, a Mahomet jest prorokiem jego) – zabrzmiało drżąco, przeciągle, wyraźnie, każdym wyrazem z osobna, każdą sylabą, każdą niemal literą wnikając w dusze muzulmańskie i budząc w onych skruczę nabożną. Poczul się każdy maluczkiem wobec Boga, tronującego na niebiosach, maluczkiem z całą potęgą swoją i z całym rozumem.

On jeden, on wielki! on rozumny!

Mahometanie, odnosząc wszystko do Boga, ten z tego osiągają rezultat, że stają się wielce nabożni, ale przy tym i bardzo ograniczeni. Zaprawdę! na cóż człowiekowi rozum, kiedy wszystko Bóg robi! Bez jego woli nie ma nic. On wydelegował padyszacha w charakterze namiestnika swego i obdarzył go rozumem, odpowiednim zajmowanemu przezeń stanowisku. Inaczej być nie może: gdyby bowiem być miało inaczej, to Ałłach popełniłby niedorzeczność. Ałłach popełnić by miał niedorzeczność?!... Padyszacha przeto rozum jest z Ałłacha i przewyższa sumę rozumów wszystkich poddanych jego.

Padyszach deleguje wszystkich wyższych i niższych urzędników. Wszystko to się dzieje za wolą Ałłacha. A zatem każdy delegowany dla tego samego, że naznaczony został, dostaje w udziale część mądrości, odpowiedniej funkcji, którą pełni.

Staranie się o rozum, nabycie jego jest rzeczą jak najzupełniej niepotrzebną. Dość modlić się.

„Chwała niech będzie Bogu, panu najwyższemu wszelkiego stworzenia, najmiłosierniejszemu, królowi dnia sprawiedliwości! Czcimy cię, o panie, i wzywamy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, dla których tyś miłosierny, ale nie tych, co na gniew twój zasłużyli, nie drogą wiodącą do ciemności”³⁸.

Członkowie mezliszu, usłyszawszy wezwanie do modlitwy, jeden po drugim zsuwali się z ławy, rozścielali na podłodze chustki od nosa, stawali na nich, zwracali się twarzą ku wschodowi i podnosząc modlitewnie do góry czoła i ręce, ślali strzeliste do Ałłacha prośby. Klękali, czołem o ziemię uderzali, znów wstawali, zamykali oczy, uszy dłońmi naprzód naginali, jakby nasłuchując, azali nie wpadną w nie słowa z nieba. Może prorok, może przynajmniej archanioł co szepnie.

Po modlitwie każdy zajął miejsce swoje. Ten i ów kazał sobie podać kawy i ognia do fajki. I znów myśleli. Znów upłynęło czasu dużo. Corpus delicti leżał obok kajmakana. Nagle słyszeć się dało lekkie kobiece chrząknięcie. Prawowierni, którzy by powieść niniejszą czytali, uśmiechnęliby się z przekąsem, przeczytawszy frazes powyższy, i zawołali:

– Skąd chrząknięcie kobiece w izbie obrad mezliszu?... Nie było ono w izbie, ale tak jak w izbie. Owa bowiem izba, w której się obrady odbywały i wszelkie urzędowe sprawy załatwiała, była frontowa i przylegała do tylnych, oddzielona od tych ostatnich ścianą. W tej ścianie, nie opodal od tego miejsca, które kajmakan zajmował, wybite było kwadratowe okienko, założone gęstą, drewnianą kratą, z cieniutkich zrobioną deszczulek. Przez tę kratę można było z wnętrza domu widzieć i słyszeć wszystko, co się w izbie urzędowej robiło i mówiło. Ale z

³⁸ Wyjątek z Koranu

izby urzędowej nie było widać, czy kto przez kratę patrzy i słucha. Mieszkania prawowier-nych napełnione są podsłuchami podobnymi. Owóz chrząknięcie, o którym wyżej, słyszeć się dało zza tej właśnie kraty i ten wywarło skutek, że Ali-aga drgnął, jakby przez ciało jego elektryczna przebiegła iskra.

Drgnął i spojrzął na leżące obok papiery.

Spojrzał na papiery i przeniósł powoli wzrok na radców.

Lecz ci, pogrążeni w myśleniu, wlepili oczy każdy przed siebie.

Na kajmakana nie patrzył żaden. Trzeba więc było uciec się do mowy ustnej.

– E... – odezwał się Ali-aga, nazywając po imieniu radcę, co siedział najbliżej. – Co z tym robić?

– Bilmem (nie wiem), effendim... – była odpowiedź krótka.

Ten przeto nic przez dwie blisko godziny nie wymyślił.

Kajmakan do następnego z pytaniem się zwrócił.

I tego Ałlach nie natchnął odpowiedzią inną jak „bilmem”.

Trzeci cmoknął i głową rzucił.

Czwarty także cmoknął.

Zapytanie przeszło przez cały szereg poważnych mężów, którzy przez dwie blisko godziny myśleli i nie wywołało odpowiedzi innej, jeno albo taką, jaką dał pierwszy i drugi, albo taką, jaką dał trzeci i czwarty. Tak chciał Ałlach.

Gdy jednak w sposób ten wola Ałłacha przez usta radców się wyraziła, zabrał głos kawedzi, pomimo że prawa do zabierania głosu urzędownie nie posiadał. Kroków kilka od komina odszedł, dłonią nos utarł, turban na głowie poprawił, imbrykiem, który w rękę trzymał, wywijał i tak mówił:

– Albo spalić, albo paszy do Belgradu odesłać. Gdyby te kitaby zabrane były prawowier-nemu, wypadaloby spalić, ażeby ludziom nie szkodziły... Że jednak znaleziono je u niewier-nego, niechże pasza-effendi wie, na jakie to niewierni biorą się sposoby.

Przez usta kawedżego rozum boży przemówił, co się w tym okazało, że propozycja jego trafiła do przekonania wszystkim od razu, a mianowicie kajmakanowi, który oddawanie jej nawet pod głosowanie uważał już za zbyteczne. Na mezliszach zresztą głosowania nie ma. Operacja ta sprzeciwia się duchowi islamizmu, odnoszącemu wszystko do jednostki. Chrze-ścijaństwo stawia jednostkę zbiorową, islamizm absolutną. Rada przeto jest do rady, nie zaś do wydawania postanowień. Te ostatnie należą do jednostki, której wolno spomiędzy zdań, jakie się o jej uszy objają, wybrać trafiające jej do przekonania. Wszelkie mezlisze, w któ-rych niektórzy upatrują ziarno, mogące zakiełkować w parlamentaryzm turecki, mają głos czysto i wyłącznie doradczy. Z tego też powodu Ali-aga bez odwoływania się do członków mezliszu przyjął propozycję kawedżego za swoją, propozycję tę przerobił w umyśle swoim na postanowienie, a postanowienie zakomunikował kitabdżemu pod postacią skinienia głową. A jak się w owej piosnce o Sahajdacznym mówi:

Skinął szablą ku kozaczy,

Musnął ręką po kołpaku:

Wie kozacza, co to znaczy –

tak kitabdzi wiedział co ma robić. Poprawił kałamarz za pasem, wydobyl ze szkatułki ar-kusz papieru, podstawil kolano i poczał pisać przedstawienie do paszy, prowadząc wiersze od prawej ręki do lewej, jak porządek nakazuje, i z ukosa, jak etykieta wymaga. Pisał... przery-wając sobie niekiedy i przypatrując się z daleka pisaniu własnemu, jak to czynić zwykli mała-rze, gdy się im obraz pod pędzlem formuje. U Turków bowiem pod względem pisania naj-przód idzie kaligrafia, a potem dopiero sens. Kitabdzi przeto pisał i przypatrywał się, głowę

przekrzywił, brwiami mrugał i dalej pisał – aż skończył. Skończywszy po raz ostatni całość w perspektywie obejrzał, uśmiechem wewnętrznym zadowolenia oblicze swoje oblał i powiedział do siebie półgłosem:

– Czok ji... (bardzo dobrze).

Kajmakan pieczęć swoją zamiast podpisu wycisnął i wszystko było skończone. Radcy zsuwali się jeden po drugim z miejsc swoich, schodzili ze schodków, brali papucze i opuszczali izbę. Kawedzi węgle popiołem przysypał. Kitabdzi wyszedł ze szkatułką pod pachą. Kajmakan schyliwszy się posunął w głąb domu. Podrzędni agenci władzy wykonawczej wynieśli się. Pozostał tylko sam jeden kir-Kosta.

Powiedzieć należy, że w chwili, kiedy obrady, z powodu interwencji kawedżego, przybrały obrót prowadzący je do rozstrzygnięcia, za kratą dało się słyszeć kobiece kasznięcie.

Przedtem było chrząknięcie, potem kasznięcie. Różnica pomiędzy jednym a drugim, zdaje się, niewielka, a przecie na odgłos pierwszego drgnął Ali-aga i przyśpieszył obrady, na odgłos drugiego drgnął kir-Kosta i kiedy wszyscy inni izbę opuścili, on pozostał.

Pozostał i kaszlnął.

Zza kraty powtórne odpowiedziało mu kasznięcie.

Po drugim kasznięciu nastąpił śmiech.

– Cha, cha, cha... Chi, chi, chi...

Śmiech był kobiecy. Trwał przez chwilę i ustał. Kir-Kosta zapytał:

– Hanem, czego się śmiejesz?

Głos zza kraty:

– O, toż radzili!... Zasnąłam, zbudziłam się, a oni radzili jeszcze... Jakież ten Ali-aga głupi!...

Kir-Kosta chrząknął.

– Głupi, bo stary... Och! stary... – wymówił głos zza kraty z przyciskiem. – Gdyby nie kawedzi, byłiby radzili do jutra i jutro, i pojutrze. Cha, cha, cha...

– Hanem, kazałaś mi pozostać.

– Kazałam... Przecież ty wiesz, że jak kaszlę, to na ciebie...

– Wiem, ale nie wiem, co rozkażesz...

– Poczekaj, dowiesz się... Powiedz mi tymczasem, o czym to mezlisz tak radził?

– O kitabach..

– Cóż to za kitaby?... Skąd się one wzięły?

– Znaleziono je u Hadzi-Petara...

– Czy Hadzi-Petar przywiózł co dla mnie?... – podchwycił głos zza kraty.

– Sztukę materii zielonej...

– To dobrze... Stara mi ją przyniesie... To dobrze... Ja tak już dawno chciałam materii zielonej!... Zrobię z niej sobie strój piękny i każę takowy złotem wyhaftować... O!... jakaż ja kontenta!... O!... strój zielony... Ho, ho!

– Będiesz, hanem dopiero tod-gebi... (podobna do armaty) – odezwał się Grek.

– Cóż z tego, kiedy Ali-aga taki stary... taki stary!... Nadaremnie go poję zielem na kochanie i zaprawiam mu tatły³⁹ proszkami od hekim-baszi...⁴⁰

– Dam ci radę, hanem... posłuchaj...

– No?... – tonem wysoko nastrojonej ciekawości zabrzmiał głos zza kraty.

– Trzeba złapać nietoperza, zarznąć go lewą ręką tym nożem, którym Ali-aga...

– Ta, ta, ta!... – przerwał głos zza kraty. – Już ja i to robiłam... Nic nie pomaga... Czy nie znasz sposobu innego jakiego?

– Nie znam, ale będę się dowiadywał... Przechodzą tędy fakiry i derwisze, hekimy i Cyganki...

³⁹ Tatły – słodyczne

⁴⁰ Hekim-baszi – lekarz

– Dowiaduj się...

Nastąpiła chwilką milczenia, które przerwał głos zza kraty:

– Jakimże to sposobem znaleziono u Hadzi-Petara te kitaby?

Kir-Kosta począł o rewizji rozpowiadać; lecz jak tylko wspomniał o przybyszu obcym, natychmiast głos zza kraty mu przerwał:

– Czy to nie ten sam, co przyszedł z tą rają, która wczoraj wieczorem sól przywiozła?

– Ten sam, hanem... Czyś go widziała?

– O, widziałam!...

Ton odpowiedzi tej był taki, iżby go można rekomendować aktorkom na wymawianie wyrazów, nabrzmiałych namiętnością.

– Widziałam... Byłam w czarszji, kiedy oni przechodzili... Widziałam go... Hadzi-Petar szedł przodem, on za nim... Właśnie dlatego kazałam ci pozostać, ażeby się ciebie rozpytać: skąd on? co za jeden? i co się z nim stało?...

– Skąd?... nie wiem... – odpowiedział Grek. – Podobno zza Dunaju... tak Hadzi-Petar powiada... Co to za jeden?... giaur... handluje świnkami...

– Nieprawda!... – podchwyciła kobieta.

– Tak Hadzi-Petar powiada.

– Hadzi-Petar łże... to nieprawda!... Ten niewierny nie jest handlarzem żadnym... O! jam się mu przypatrzyła dobrze... To jakiś chyba bej chrześcijański... jakiś rycerz...

– I ja go, hanem, widziałem.

– I cóż... Czyż nieprawda, że on nie może być handlarzem, a do lego jeszcze świnkami?...

To nieprawda!... – rzekła dobitnie. – Cóż się z nim stało?

– Ali-aga kazał go pojmać i do apsu wsadzić...

– I cóż?

– Nic pojmano go jeszcze...

– Nie pojmano!... – powtórzył głos zza kraty, a w tonie głosu tego brzmiało zamyślenie.

– Słuchaj no ty mnie, kir-Kosta, trzeba go pojmać koniecznie...

– Ali-aga rozkaz dał...

– Co tam rozkaz Ali-agi!... Ali-aga rozkazuje kawasom, ja rozkazuję tobie.. Rozumiesz?

– Rozumiem, hanem...

– Otóż pojmać go trzeba...

– Będę się starał...

– Koniecznie... koniecznie... – mówił głos zza kraty, z naciskiem niecierpliwą oznaczającym.

– Albo go przyprowadzę żywego, albo przyniosę jego głowę...

– Ach!... – dał się słyszeć wykrzyknik, nabrzmiały przerażeniem.

Kir-Kosta, jak to powiadają, za język się ugryzł i zrobił głową gest oznajmiający: wiem już, o co chodzi.

– Kir-Kosta... – odezwał się po chwili głos zza kraty. – Ty psie niewierny!.. Ty się nie waź głowy mu odcinać... Pamiętaj sobie: głowa za głowę... Żebyś mi go ani skaleczył, ani zadrasnął... Przyprowadź go żywcem do apsu, przyprowadź koniecznie. Jeżeli nie przyprowadzisz, to nie będziesz się długo chwalić swoją paskudną, głupią na karku głową... To moje słowo ostatnie... Ja ci tu pozostać kazałam na to tylko, ażeby to słowo powiedzieć... Idź precz i spełnij rozkazy moje...

Gniewliwy był ton ostatnich wyrazów. Sypały się gradem z ust, prześcigając jedne drugie. Czuć się dawało, że kobieta, co je wymawiała, zostawała pod wpływem rozdrażnienia mocnego.

Czytelniczka domyśla się, co to była za kobieta – i może ma do mnie pretensji trochę, że nie przedstawiłam Turczynki pod postacią poetyczną odaliski, otoczonej wszystkimi urokami tajemniczymi. Owóż powiedzieć muszę na ucho, że owa poetyczność odaliski jest rzeczą bar-

dzo... bardzo naciągniętą. I na Wschodzie, tak samo jak na naszym prozaicznym Zachodzie kobiety młode owiewa urok młodości, póki młodymi są; a gdy zaczyna im lat przybywać, to tak samo jak u nas puszek się ściera, barwy delikatne tracą połysk świeżości, urok niknie, a z nim razem wszelki ślad poetyczności, podniesionej niewolnictwem.

Niewolnictwo wielce się przyczynia do upoetyzowania kobiety wschodniej. Fantazja podaje ją za ptaszka w klatce, za kwiat w wazonie, za gwiazdę z nieba skradzioną i pomiędzy czterema ścianami haremu zamkniętą. Śpiewałyby, pachniała, jaśniała dla wszystkich – nie! – srogi pan zabrał ją dla siebie wyłącznie. Tęskni zatem, więdnie, umiera w zamknięciu pod groźnym okiem małżonka tyrańskiego.

Tak źle nie jest. Kondycja kobiety na Wschodzie jest odmienna od kondycji kobiety na Zachodzie: kto jednak myśli, że tureccy małżonkowie przez to samo, iż żony swoje zamykają, wolni są od siedzenia pod pantoflem małżonek, ten w grubym pozostaje błędzie. Pod względem tym dzieje się tam to samo, co u nas, tylko w sposób odmienny nieco. Zamykanie żon to sprawia, że się lepiej zachowuje decorum. Mąż na zewnątrz haremu ma minę męża niepodległego, podczas kiedy w chrześcijaństwie, w domu czy za domem, nosi na sobie ślady palców, które go za nos wodzą.

Przy tym wiedzieć należy, iż wielożeństwo, dozwolone prawem, należy na Wschodzie do zbytków, na które pozwalają sobie tylko ludzie bardzo możni. Zwyczajni zaś śmiertelnicy poprzestają zazwyczaj na połowicy jednej, a to dla wielu powodów, z których wymieniamy parę. Trzeba żonę kupić Nie każdy, kupiwszy jedną, nabywać może jeszcze i drugą Można się wprawdzie z pierwszą rozwieść, lecz trzeba jej sposób utrzymania zapewnić. Tak każe prawo. Nie rozwiodłszy się zaś brać drugą, jest to wprowadzać do domu swary i zazdrość, których ofiarą pada nierzadko mąż. Z dwiema więc kłopot wielki, z trzema jeszcze większy, zwłaszcza jeżeli żony należą do niewiast kochających. W razie takim każda kocha i każda chciałaby kochanie męża zmonopolizować dla siebie: każda więc z osobna szuka na to sposobów w gusłach, zakłeciach, napojach i lekach i zwykle się zdarza, iż współzawodnictwo w miłości wpędza męża w grób. Rzadki przeto, bardzo rzadki jest Turek, mający żon więcej jak jedną.

A jedna, jeżeli tylko pozbawiona nie jest sprytu, płci nadobnej wrodzonego, umie sobie niewolę ubarwić i osłodzić, umie małżonka osiodłać i krótko w delikatnych rączkach trzymać, umie sobie pozwalać na wszystko, zasłaniając się niewolą i zamknięciem i czerpie sposoby w tym właśnie, co by ją możliwości działania niezależnego pozbawiać absolutnie powinno.

Naszej Turczynce na imię było Fatma. Należała ona do kobiet tego rodzaju, które wędzidło małżeńskie gryzą z niecierpliwością i przez zemstę kielznają mężów. Ali-aga był okielznany prawdziwie po turecku, krótko a ostro.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MARKO I ANKA

Ciekawa rzecz, co się też z Markiem i Anką stało?

Anka biegła przodem, Marko za nią pomykał. Wpadła do ogrodu – on za nią biegł nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co i nie zwracając najmniejszej na miejscowość uwagi. Możnaż mu się dziwić?... Został oczarowany nagle. Siła czarów go uwlekła, siła, której się nie był w stanie oprzeć, a tym mniej poddawać ją mógł pod analizowanie rozważ, zastanowienia i spostrzeżeń. Ruszał więc za przewodniczką, która przed niego niby z nieba spadła, pośpieszał za nią, a ona, nie oglądając się i ani słowa nie mówiąc, przeprowadziła go naprzód przez gąszcz drzew owocowych, następnie przez zarośla i krzaki, dalej przez winogradnik, w końcu wskoczyła w rów.

Ona w rów i Marko za nią.

W rowie dziewczyna szła zrazu wyprostowana, a uszedłszy tak kroków kilkadziesiąt, pochyliła się naprzód. I Marko się pochylał.

Kierunek rowu szedł z góry w dół, dość spadzisto. W kilku susach dziewczyna znalazła się na dole, nad brzegiem rzeki, wzdłuż której puściła się biegiem przyśpieszonym, a ubiegłszy w ten sposób kawał spory, zwróciła się nagle w prawo, przystanąła na chwilę, podkasła się i... w wodę. Marko za nią. Rzeka w tym miejscu rozlewała się dość szeroko korytem, które niżej nieco zakręcało poza urwisko i wydawało się głębokie. W tym miejscu atoli był bród. Woda nie dochodziła do pasa. Dziewczyna brnęła rezolutnie coraz to dalej i dalej, broniąc odzieży swojej od zamoknięcia. Szła w zygzak – naprzód w poprzek, potem z nurtem, dalej z ukosa przeciwko prądowi, w końcu zawróciła, weszła na wodę płytszą, przyśpieszyła kroku, wyskoczyła na brzeg przeciwny i nie zatrzymując się ani na chwilę, pobiegła dalej.

Tu dopiero Marko się zatrzymał. Snadź kąpiel niespodziana, która mu odzież do połowy zamoczyła, stała się zimną wodą, bryzniętą na gorącą jego wyobraźnię. Stał, spojrzął po sobie – woda z niego ciekła – splunął.

– Tfu!... Cóż to jest?

Któż jednak mógłby mu dać na to zapytanie odpowiedź? któż by mógł zagadkę wytłumaczyć? Nie kto inny oczywiście, tylko przewodniczka. Spojrzął więc na nią. Ujrzał ją biegnącą. Biegła... biegła, aż nagle stanęła i odwróciła się, z oddalenia kroków kilkudziesięciu widać było, jak jej oko zdziwieniem, strwożeniem i prośbą strzeliło; podniosła rękę, skinęła palcem i Marko skoczył naprzód.

Znów się rozpoczęło to samo, co na tamtej stronie rzeki.

Dziewczyna wpadła w parów, który z wyżyn prostopadle prawie ku rzece schodził. Marko za nią.

W parowie tym atoli niedługo już ściganie się odbywało. Za pierwszym gruntu załomem, który tworzył rodzaj przylądka, pokazała się kobieta, stojąca w postawie oczekującej. Na widok kobiety tej Anka zwolniła biegu i doszła do niej powoli mocno zadyszana i zaperzona.

– Jużem się niepokoić zaczęła... – były wyrazy, którymi oczekująca kobieta Ankę spotkała. Anka nie odrzekła nic, uśmiechnęła się, zwróciła i z ukosa ku Markowi okiem rzuciła.

Marko wyglądał, jak to powiadają, jak zmyty. Był także zadyszany i skonfundowany, a do tego zmieszany widokiem kobiety, której obecność zagadkę jeszcze dla niego zawikłańszą czyniła. Spoglądał na kobietę – ta stała spokojnie; spoglądał na dziewczynę – ta wyglądała jak wiśnia w pełnym dojrzeniu. Lękał się pytać, ażeby jakiej nedorzeczności nie palnąć, a nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jeszcze jak na toż wzięło się skądciś obok kobiety dwoje pięcio-sześcioletnich dzieci i ująwszy ją rękami za spódnicę, ciekawie mu się przypatrywały. Dzieci zmieszały go do-reszty. Doznał uczucia zawstydzienia, pomieszanego z gniewem. Czuł się wystrychnięty na dudka.

Anka wciąż na niego z ukosa z uśmiechem spoglądała.

Uśmiech ten irytował go.

– Ona ze mnie drwi... – myśl taka w głowie mu nagle strzeliła.

Chciał więc wracać już, gdy o uszy jego obity się wyrazy kobiety:

– No, chodźmy więc dalej...

Kobieta, dzieci i Anka w głąb parowu się udały.

Marko został. Zwiesił głowę i zamyślił się.

– Człowiecze!... – odezwało się wołanie.

– Co to wszystko znaczy?... – powiedział sobie pod nosem z przyciskiem i głowę podniósł.

O kilkanaście kroków przed nim dzieci, Anka i kobieta zatrzymały się i ta ostatnia następującą wystosowała do niego apostrofę:

– To i czegoż stoisz?... chodź!...

Marko brwi zmarszczył i głową wstrząsnął.

– Chodź!... – powtórzyła kobieta z akcentem nalegania.

– Dokąd?... po co?... – odezwał się nareszcie. Kobietę zdziwiło zapytanie to.

– Chodź!... – powtórzyła po raz trzeci.

– I!... – pomyślał Marko przez chwilę. – Wrócić wolę...

– Na Boga!... – krzyknęła kobieta, ku niemu podchodząc.

– Cóż ty myślisz sobie, człowiecze!...

A gdy to mówiła, oczy jej i Anki, i dzieci strwożonym patrzyły wyrazem.

– Wrócić?... A cóż by na to Hadzi-Petar powiedział? Ty wracać nie możesz...

Ostatnie te wyrazy były dla naszego Marka jakby deską zbawienia. Błysnęła mu myśl, że za ich pomocą zagadkę odgadnąć potrafi. Wnet więc zapytał:

– Czemu?...

– Ha... – odparła kobieta – temu, że jeślibyś wrócił, Turczyn by cię pojmał, związał, w żelaza zakuł i do apsu wsadził...

Marko nie zrozumiał dobrze odpowiedzi tej; zadowolił się nią jednak o tyle, że znalazł w niej pozornie pretekst słuszny pozostania w towarzystwie uroczej dziewczyny, co go z czerdaku porwała. Więc nie stawiał już oporu. Poszedł. Szedł jednak ze spuszczoną głową jak winowajca, prowadzony do trybunału. Idąc myśleć próbował. Miał po temu czas, ta bowiem przechadzka trwała godzinę, jeśli nie więcej. Próbował więc wytłumaczyć sobie, jakim się to stało sposobem, że na jedno dziewczyny skinienie pobiegł niby opętany, zapominając o powadze męża, której przestrzegać miał już niejako obowiązek, zapominając o pracy, nad którą siedział, a która była ważna. Próby atoli mu się nie wiodły. Ile razy myśl porządniej nieco w głowie jego kształtować się zaczynała, tyle razy wspomnienie porannego zjawiska rozbijało ją w puch, wspomnienie, które pod postacią cudnej dziewczyny szło to przed nim, to obok niego i od czasu do czasu oblewało go spojrzeniem, zdolnym najpoważniejsze rozproszyć myśli.

Przechadzka, jakem powiedział, trwała godzinę, jeśli nie więcej, a odbywała się bez śladu drogi, bez znaku ścieżki udeptanej, zrazu parowem, następnie po pochyłości wzgórza krzakami zarosłego, następnie wśród skał zakończyła się w miejscowości ustronnej, odludnej, dzikiej, w której było obficie tarniny i głogu. Dodać potrzeba, że na drodze towarzystwo co chwila powiększało się przybywającymi tu i owdzie członkami rodziny Hadzi-Petara, tak, że

w końcu, z wyjątkiem gospodarza, jego synów i majki starej, znalazła się zgromadzona razem cała onej część kobieca i dziecięca.

– Czyśmy wszyscy?... – zapytała Stana, małżonka Żiwka, a matka Anki.

Każda kobieta policzyła dzieci swoje. Nie brakło żadnego.

– Bogu dzięki... Nic nam teraz innego nie pozostaje, tylko czekać spokojnie, aż znać nam dadzą.

Wyrazy te, jak się zdaje wystosowane były do Marka, który się oglądał jak człowiek, nie wiedzący dokładnie, co ze swoją robić figurą.

Z kobiet każda przyniosła z sobą torbę, a w torbie żywność na dzień cały.

Marko znalazł się pomiędzy niewiastami i musiał z nimi pozostać, jeżeli nie dla czego innego, to dlatego, iż tak był roztargniony idąc tu, że gdyby mu przyszło iść na powrót, z pewnością drogi by nie znalazł. Potrzebowałby przewodnika albo... przewodniczki. Pierwszego jednak w tej dzikiej ustroni nie było wcale; druga zaś... zapewne by się nie podjęła oddawać go w ręce Turczyzna. Nie pozostawało przeto nic innego, tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Czy ta ostateczność wielką naszemu Markowi sprawiała przykrość?

Pytanie to nie jest może tak trudne do dania na nie odpowiedzi, jak do wytłumaczenia. Pozostawanie pomiędzy niewiastami nie sprawiało mu, przypuśćmy – przykrości; ale – dlaczego mianowicie? W tym węzeł pytania. Czy dla Anki? Rzecz wątpliwa. To bowiem pewna, że czując nie miłość, lecz choćby tylko skłonność do istoty płci odmiennej, nic nie ma nudniejszego i nieznośniejszego, jak widzieć tę istotę przy boku matki, w otoczeniu ciotek, siostrzynek i braciszków. Chciałoby się uciec z nią na kraj świata, oddalić od niej wszystkich świadków i natrętów, otoczyć się obłokiem i pozostać z nią sam na sam.

Nie zaglądaliśmy jeszcze do serca Marka i nie wiemy, co się w nim dzieje. Czy już kocha? czy dopiero kochać będzie? Nie ulega jednak wątpliwości, że Anka go oczarowała, że zatem nie mając na razie nic lepszego do czynienia, miło mu było paść oko widokiem czarodziejki, oprawnej niby brylant w kruszec pośledniejszego gatunku, w towarzystwo bab i dzieci. Usiadł więc w trawie, wsparł się na łokciu i wprawił wzrok w ruch taki, jakiemu ulega igła magnetyczna, zwracająca się zawsze w stronę bieguna północnego. Biegunem dla Markowego wzroku stała się Anka.

Kobiety zasiadły w kółko. Stana, która z tytułu małżonki najstarszego brata rej pomiędzy nimi wiodła, zadawała małżonkom braci młodszych zapytania, odnoszące się do drogi, którą każda przybyła. Odpowiedzi wypadały zadowolająco pod tym względem, że żadna nie spotkała się z Turczyzmem. Dodać bowiem w rodzaju objaśnienia należy, iż w razach, kiedy raje zmuszonymi się widzieli w ucieczce szukać przed panami kraju ratunku, doświadczeniem nauczeni, wykonywali odwrót w taki sposób, ażeby zmylić pogoń. Dzielili się i puszczali rozmaitymi drogami oglądając się, azali ściganymi lub śledzonymi nie są. Partia, która na siebie pościg ściągnęła, nie szła na punkt zborny, a jeżeli szła, to w takim tylko razie, gdy mogła ścigających wyprzedzić i po to tylko, aby ostrzec o zagrażającym niebezpieczeństwie. Wówczas rodzina znów się dzieliła i szła dalej, ażeby się zejść na punkcie innym. Wymagało to dokładnej znajomości topografii okolicy i pewnych wiadomości strategicznych. Znajomość tę i wiadomości posiadała Serbka każda, w czasach kiedy byt Serbii niezależny zaliczany był przez wszystkich mężów stanu i przez wszystkich ludzi poważnych a rozumnych do wytworów imaginacji chorobliwej.

Małżonki więc braci młodszych zdawały sprawę małżonce brata starszego i... ta wydobyła wełnę, druga kłębek nici, inna płótno przykrojone do szycia. Każda zajęła się robotą jakąś kobiecą, a bohaterka nasza szyła, zdaje się, koszulę. Działwa częścią tuliła się przy matkach, częścią spała w trawie, częścią grzebała pod krzakami.

Kobiety zajęły się robotą i – naturalnie gadaniem, bez którego płeć niewieścia wytrzymać nie może. Gadały – gdakały, ta o tym, owa o owym, ale się im jakoś rwało, jakby na tej nie-

przesnutej przędzy, jaką jest gadanie kobiece, co moment węzły się zdarzały, jakby na językach synowych Hadzi-Petara pęta siedziały i swobodnemu obracaniu się onych przeszkadzały. Wyraźne było, że im coś zawadza – coś pod postacią obcego człowieka, siedzącego nie opodal i milczącego. Więc zrywały gadanie, lecz wnet znów rozpoczynały, raz głośno, drugi raz sposobem szeptanym. Szeptały i śmiały się. Niekiedy znów śmiały się nic nie mówiąc, tylko spoglądając jedna na drugą. Najpoważniej pomiędzy nimi zachowywała się Anka, już to z powodu wstydlivosti dziewiczej, już to z powodu... może innego jakiego.

Matka zaś jej i ciotki śmiały się i szeptały. Ciągnęło się to dość długo, aż nastąpiła chwila, w której jedna drugą łokciami szturchać zaczęły mówiąc po cichu:

– A no ty!.. Czemuż nie ty?... No ty!... Po czym wszystkie razem uderzyły w śmiech. Wyśmiawszy się należycie, znów jedna drugą do czegoś namawiały, zachęcały czy ośmielały.

Nastąpiła nareszcie cisza, a wśród ciszy dał się słyszeć głos Stany, która, wlepiwszy oczy w swoją robotę, w następujący odezwała się sposób:

– Człowiecze, a jak się ty nazywasz?... Zapytanie to stosowało się do Marka; lecz Marko od razu nie usłyszał i nie zrozumiał onego. Kobiety spojrzały po sobie. Po chwili Stana powtórzyła zapytanie.

– Ha!... – rzucił się Marko, jakby ze snu obudzony. – Jak ja się nazywam?... Ja się nazywam... ja... się... na-zy-wam...

Szukał w pamięci imienia własnego, które mu z niej nagle wywietrzało. Szukał i znaleźć nie mógł.

Wypadki podobne zdarzają się ludziom. Ułomność jest własnością natury człowieczej.

– Jak się na-zy-wam... – zaczął po raz trzeci. Kobiety spojrzały jedna na, drugą wzrokami, w których malowało się zdziwienie czy strwożenie. Anka pokraśniała jak piwonia.

Marko w czoło się uderzył.

– Tfu!... – splunął. – Czy mnie opętało coś?...

O! opętało... – Wykrzyknik ten nawiasem jest przez autora powieści rzucony. Niechże czytelnik nie bierze go na uwagę, tak jak, zdaje się, do serca wzięła go dziewczyna, dla której stał się on pewnym rodzajem galwanicznego uderzenia. Zadrzała jak listek osikowy, zadrzała i na obliczu matki zawiesiła wzrok, w którym ten. co w oczach ludzkich czytać umie. wyczytałby tajemnicę jej samej nieznaną.

– Ja się nazywam Marko...

– Marko... – powtórzyły kobiety, jakby dla zanotowania sobie imienia tego w pamięci.

Usta dziewczyny poruszyły się machinalnie. Dźwięk żaden z nich nie wyszedł, lecz poznać można było, że i ona sobie coś zanotowała.

– Marku... – odezwała się po chwili milczenia ta sama, co pierwsza pytanie zadała. – Skąd ty... czy z daleka?

– Zza Dunaju!... – odrzekł zapytany, który tym razem władał już pamięcią swoją.

– Zza Dunaju?... – wszystkie kobiety jednym krzyknęły głosem, przeciągle i z akcentem zadziwienia. – Bre... bre...

– A jakże się nazywa ten gród czy to sioło, w którym chata twoja stoi?... – szła indagacja dalej.

– Moja chata stoi w wielkim mieście, w stolicy królestwa, nazywającej się Buda...

Kobiety dziwiła odpowiedź każda; a że były to kobiety proste, więc zdziwienia swego nie ukrywały bynajmniej. Odpowiadanie Marka ośmielało je. Nie sama już tylko Stana pytania mu rzucała.

– A masz ty ojca i matkę?

Marko westchnął.

– Nie... nie mam już.

– Pomarli?... a dawno?

– Matka niedawno, a ojciec,.. zaledwie go zapamiętam... I zapewne bym go zapomniał, bom był dzieckiem małym, kiedy mnie odumarł, ale wraził mi się w pamięć tym, że chodził na kuli i był bez ręki...

– Na kuli!... i bez ręki!... to chyba i nogi nie miał?..

– Nie miał lewej ręki i prawej nogi... Pamiętam go... w oczach mi stoi...

– Jau... jau... – zagłosiły kobiety, a jedna z nich zapytała:

– Jakże to? gdzież to on je stracił?...

– Na wojnie... w bitwie z Turczyńcem...

– Przeklęty Turczyń!... – zawołała jedna. – Bodajby się pod nim ziemia rozstąpiła!... Toż to ojca twego ojciec i matka musieli biedni kukać i jaukać, gdy dziecko swoje bez nogi i bez ręki zobaczyli...

– Nie widzieli go oni... Dziad mój już nie żył podówczas... Przedtem jeszcze zginął na wojnie tureckiej.

– O!... i dziad twój zginął!... – wtrąciła z kobiet jedna.

– I dziad, i pradziad, i prapradziad. A jeden z praojców moich na palu umarł... W moim rodzie w ten sposób każdy z kolei, syn po ojcu, płacił dług otaczbinie... Zaczęło się to na przymorzu, gdzie dwieście temu lat Serbowie, złamani niegdyś na Kosowym Polu, bój z duszmanem wznowili i z przymorza przyszło nad Sawę, nad Dunaj i trwa ciągle... Bił się mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, a teraz kolej na...

Chciał powiedzieć „na mnie”, lecz mając już wyraz ten na języku, spojrzął na Ankę i oniemiał. Wzrok dziewczyny dziwnego coś wyrażał. Wlepiła oczy w mówiącego, oczy szeroko otwarte, które mówiły, śpiewały, w których, zdawało się, przelewa się morze płomieni, hucząc hymnem zachwytu i triumfu i rzucając łunę, która Marka niby olśniła. Oniemiał, usta mu się otworzyły, oczy rozwarły, zapatrzył się w Ankę i ta, wytrzymawszy przez chwilę wzrok jego, głowę nagle zwiesiła, oczy dłonią zasłoniła i spomiędzy palców jej spłynęło kropel kilka i na trawę spadło. Stało się to wszystko w jednym oka mgnieniu. Kobiety, zajęte Markiem, tego nie widziały. Nie spostrzegły ani się domyśliły, że w obecności ich, w jasny, biały dzień odbywa się rozmowa serdeczna, odbył się przelew duszy w duszę zawiązał się węzeł dramatu życiowego, w którym rolę kochanka i kochanki nadane zostały z góry dwojgu ludziom, a nadawcą było to, co mużłmanie przeznaczeniem, chrześcijanie Opatrznością nazywają. Wielka a niezbadana tajemnica miłości zapaliła się w sercu dwojga.

Marko westchnął głęboko.

Kobiety westchnienie to wzięły w znaczeniu żalu czy smutku, bo naraz wszystkie poczęły Marka pocieszać i otuchy mu dodawać.

– Kaugi tak dawno nie było... – mówiła z nich jedna – może Bóg da, nieprędko będzie...

Marko odzyskał całą nad sobą władzę. Spozrzegłszy, że kobiety omyliły się co do znaczenia westchnienia jego – znaczenia którego, on, mówiąc nawiasem, i sam nie rozumiał – uśmiechnął się.

– Mężowie nasi – mówiła stara –: nauczyli się z Turczyńcem obchodzić... I w grodzie waszym, w którym kutia twoja stoi, musi się dziać to samo... Ludzie zapewne z Turczyńcem umieją radzić sobie...

– U nas bo Turczyńca nie ma... – podchwycił Marko.

– Nie ma?... Czyż to być może?...

– Tak, ale jest za to Niemiec.

– Niemiec?... kuku meni!... – krzyknęły baby w głos jeden. A głos ten wyrażał i przerażenie, i politowanie.

– Biedniż wy, pod Niemcem... – odezwała się Stana. Stana ten naród znała ze słyszenia, z ogólnej opinii, jaką on sobie w Słowiańszczyźnie urobił, opinii, będącej niezbyt pochlebna. Nasz lud pod postacią Niemca wyobraża sobie diabła. Wyobrażenie to dzielają i Słowianie południowi, a to z powodu pomocy, jakiej im Niemcy w walkach ich przeciwko Turcji uży-

czali. Ile razy cesarstwo niemieckie rozpoczynało wojnę z państwem ottomańskim, tyle razy głosiło się obrońcą chrześcijaństwa i wzywało Serbów do przyłożenia ręki. Serbowie rękę przykładali; po skończeniu jednak wojny wracali pod jarzmo tureckie, zawiedzeni, rozczarowani, opuszczeni, na łaskę i niełaskę mściwemu nieprzyjacielowi wydani, czując, ba! nie-rzadko dokładnie wiedząc, iż wydanie to było niczym innym, jeno poręczawiczym danym Turcji w celu uzyskania dla Niemiec korzystniejszych przy układach o pokój warunków. W takim rzeczy stanie nie dziw, iż Serbowie nie byli dla Niemców miłością przejęci; nie dziw, że synowe Hadži-Petara przeraziły się, gdy się dowiedziały, że Turczyn, panujący w kraju, z którego przybył Marko, nazywa się Niemiec.

– Biedniż wy... – mówiły. – To także, zapewne, dajecie haracz i bejlik...

– Dajemy... – podchwycił Marko – tylko pod nazwą inną...

– Bre... bre... – dziwiły się kobiety i głowami kręciły. Następnie podziw ich ta wzbudziła wiadomość, że niemieccy paszowie nie trzymają haremów zamkniętych jak tureccy, lecz otwarte. Nie mogły zrozumieć tego. Marko zaś nie umiał im tajemnicy tej wytłumaczyć jasno. Niemożność zrozumienia z jednej, niemożność wytłumaczenia z drugiej strony czyniły rozmowę tym bardziej zajmującą.

– Maszże ty braci i siostry?... – zagadnęła jedna.

– Mam siostrę... – odparł zapytany. – Zameżna, starsza ode mnie... Pan Bóg dał jej dzieci dużo... – A ty sam czyś żonaty?

Kobieta, co to pytanie zadała, wymówiła je tonem naturalnym i spokojnym, nie domyślając się, iż było ono dla kogoś najważniejsze ze wszystkich, jakie w ciągu długiej rozmowy rozciekawione kobiety, niby z rogu obfitości, sypały. Na twarzy Anki widać było, że w piersi dziewczyny oddech się zatamował. Serce bić przestało. Oczy blask żywotny straciły, a natomiast powlekły się pokostem, który się świecił jak szkło. Twarz blednąc poczęła; na karminowe usta wystąpił białawy mat. Gdyby kto w tej, chwili na nią spojrział, nie mógłby jej nie zapytać: czy ci nie słabo?... Szczęściem nikt na nią nie zważał; nikt też nie widział, że się znalazła nagle pomiędzy życiem a śmiercią – życiem a śmiercią nie w znaczeniu fizycznym, niemniej jednak mającym na życie, na przyszłość dziewczęcia stanowczy, rozstrzygający wyrzec wpływ. Śmierci bowiem jest rodzajów kilka – jak wiadomo – i jeden z tych rodzajów dotknąć miał serce dziewczyny, gdyby Marko na zapytanie jednej z synowych Hadži-Petara dał był odpowiedź potwierdzającą.

Dał jednak odpowiedź przeczącą.

– Nie... – w uszach Anki zabrzmiało hymnem zbawienia.

Zanim to „nie” z ust Marka wypłynęło, dziewczyna przeżyła wiek.

Nic bowiem nie może być względniejszego nad czas. Dla jednych lata przebiegają jak minuty, dla drugich w mgnieniu żrenicy lata się mieszczą. Owóż czas ten, co pomiędzy zapytaniem a odpowiedzią upłynął, wydał się naszej Ance długim, długim, nieprzeczekanym; zaczęło się jej robić zimno, czuła stygnięcie krwi i dziwny jakiś nacisk w piersiach i... odżyła. Odetchnęła głęboko, jakby się pozbyła ciężaru jakiegoś, co ją przygniatał. Uczuła dla Marka wdzięczność niewysłowioną. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego z takim wyrazem, w którym się wdzięczność ta w całej swojej malowała potędze.

– Zbawco mój, dziękuję ci za życie... – oczy jej mówiły. A nad czołem promieniała aureola miłości. Bo też Marko nie poprzestał na jednozgłoskowej odpowiedzi. Odpowiedź jego wypadła tak:

– Nie... żonaty nie jestem ani zaręczony... Anim się – dodał po chwili, wymawiając dobitnie wyraz każdy – dotychczas nigdy jeszcze w życiu nie kochał...

Mówił to ze spuszczonej oczami jak dziewczyna, głosem drżącym, jakby obawą narzmiąłym, z rumieńcem, który mu nagle na oblicze wybiegł i oblał je jakimś odbłaskiem płomiennym, odbijającym od cery twarzy, zbrązowiełej na słońcu i wietrze. Widać było, że

mu krew serdeczna do głowy uderzyła: dał świadectwo temu, że on, mąż, miał w duszy uczucie wstydlivosti dziewczęcej, tej wstydlivosti, która stanowi rękojmię czystości duszy.

Ancz zaś wyraz „dotychczas” wpłynął w ucho lubo, słodko, harmonijnie, dostał się do serca i tam rozlał błogość, jakiej dziewczyna w życia nigdy nie doznawała jeszcze. Coś w niej się niby obudziło, coś urosło, coś zadrgało życiem i nadzieją.

– „Dotychczas”... śpiewało jej i grało. Było to coś na kształt objawienia. I ona sobie w duchu powiedziała:

– I ja „dotychczas” nigdy jeszcze nie... kochała. Zagrały dwa serca, odezwały się dwie lutnie... „do jednego nastrojone tonu”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MOJŻESZOWY CZYN

Śmiało już i bez obwijania rzeczy w bawełnę możemy Marka zamianować bohaterem, Ankę bohaterką powieści niniejszej. Nie mieliśmy prawo czynić tego poprzednio. Nominacjom tym sprzeciwiało się powodów wiele, pomiędzy którymi jednym z nie najmniej ważnych był ten, że tej parze brakło sankcji. Musieliśmy przeto wstrzymać się z wymawianiem wyrazu, mającego w powieści znaczenie wysokie, aż miłość pasowała ich na heroizm.

Tak tedy; bohaterem naszym jest Marko, bohaterką Anka. Śledźmyż losy ich w dalszym wypadków rozwoju, a żeby śledzenie ułatwić i uczynić je jak najdokładniejszym, postarajmy się zapoznać z nimi jeszcze bliżej.

Do zabrania bliskiej znajomości z Markiem nie posiadamy dat innych, tylko te, któreśmy w poprzednich podali rozdziałach. Z tych dat możemy wysnuwać domysły i wnioski.

Marko był z rodu tych błędnych rycerzy, których wydało tureckie nad południową Słowiańszczyzną panowanie, a którzy przez ciąg kilku wieków jak Dante do bram miasta rodzinnego kołatali do wrót ziemi ojczyściej. Czynność ta przechodziła z ojców na synów. Był on więc przedstawicielem tej czynności, doszłej w rozwoju zdarzeń do pewnych rezultatów, mających ujętą i określoną polityczną doniosłość. Monarchia austriacka z wychodźców serbskich utworzyła wojska pograniczne. Owóż domyślamy się, że bohater nasz w tych wojskach służył i że w celach wojennych wysłany został przez władzę naczelną do kraju, mającego być przypuszczalnie teatrem wojny. W sposób ten tłumaczymy sobie podróż jego, rozpytywanie o drogi komunikacyjne, posiadanie map i instrumentów trygonometrycznych i notowanie danych mogących być przydatnymi jedynie sztabowi wojskowemu. A zatem był to zapewne oficer dość wykształcony. Pierwszy lepszy nie mógłby podobnemu sprostać zadaniu. Dla nieposzlaki snadź wziął na siebie strój wieśniaka i charakter handlarza bydlęm. Jak jednak dalece charakter ten do niego nie przystawał, to się ze słów Fatmy-hanem do kir-Kosty wyrzeczonych pokazało. Kobieta przez skórę rycerza w nim odgadła.

Tyle o Marku. Brak danych nie pozwala nam posuwać domysłów dalej i podawać bohatera naszego za jakiego księcia udzielnego, mającego przy końcu powieści pasterkę na tronie obok siebie posadzić. Przeciwnie: zdaje się, że to nie był żaden książę, żaden nawet graf ani baron, ale zwyczajny śmiertelnik, mający do spełnienia zadanie, które życiu jego cel wytykało. Dążąc do celu tego spotkał na drodze... czarodziejkę. Podobne wypadki i najzwyczajniejszym przytrafiają się śmiertelnikom.

Co się zaś owej czarodziejki tyczy, to o niej samej niewiele więcej byłoby do powiedzenia nad to, co się powiedziało wyżej, gdyby nie okoliczność pewna, szczególna, stawiająca ją w położeniu wyjątkowym.

Przypominamy słów kilka, wyrzeczonych przez hajduka Milenka do Hadzi-Petara, wieczorem, przy ognisku, na szczycie Pekskiej Płaniny. Słowa te odnosiły się do jakiejś dziewczyny, wnuczki starego. Owóż wnuczka ta, była to właśnie Anka.

Kiedy ona na świat przyszła, żył jeszcze w Jagodynie Deli-Wuk, człowiek, którego żywot cały był nieszczęściem pasmem jednym długim. Nieszczęścia te tym się odznaczały, iż każde sam na siebie nawołał i że pierwotnym każdego powodem był stan Serbii. Deli-Wuk jako raja po-

dobny był do tych koni narowistych, których ujeździć niesposób. Co lat kilka nawoływał na siebie jakąś biedę i wychodził z niej zawsze ze szwankiem. Głównym jego nieszczęściem źródłem były sny i widzenia.

Przyśniła mu się raz Matka Boska, w koronie na głowie, z berłem w ręku, w złocistej szacie, wśród świec jarzących, w otoczeniu świętych i powiedziała:

– Wuku, wiem ja, co ci na sercu leży, ale bądź spokojny... Ja o Serbii myślę...

Deli-Wuk rozповідаł sen ten znajomym swoim i przyjaciółom, którzy znajdowali go bardzo znaczącym. Wkrótce jakoś potem przyszedł termin na pobieranie haraczu na rzecz skarbu. Deli-Wuk poborców z chaty swojej kijem wypędził i to zyskał, że został ograbiony ze szczętem.

Drugi znów raz przyśnił mu się święty Sawa.

– Nic to – mówił – że Turcy kości moje na Wraczarze spalili i popioły na wiatry rzucili. Oni tym zrobili gorzej sobie aniżeli Serbii, bo rozgniewali bardzo Pana Boga, który gotuje im krótkie na ziemi panowanie, a długie w tamtym życiu męczarnie... Będą oni gorzeli w ogniu takim samym, w jakim kości moje spalili...

Deli-Wuk we śnie zapytał świętego, czy może o tym ludziom powiedzieć.

– Czemu nie? – odparł zapytany. – Możesz...

Korzystał Wuk z pozwolenia. Rozповідаł swój sen wszystkim, nawet Turkom, którzy też wsadzili go do więzienia i przetrzymali przez lat dwa i niedziel sześć.

Innym znów razem spotkał się we śnie na drodze oko w oko z królewiczem Markiem, który, pozdrowiwszy go w imię Boże, takie dał mu polecenie:

– Powiedz Turkom, że jeżeli którego z nich po świętym Dymitrze na ziemi serbskiej spotkam, łeb mu odetnę...

Deli-Wuk dane polecenie spełnił i omal się z głową własną nie rozstał. Zostawiono mu ją dlatego jedynie, iż ktoś kajmakanowi wyperswadował, że on nie z imienia tylko, ale w rzeczy samej deli (bzik). Turcy mają dla pomieszanych na umyśle szacunek. Pośpieszamy jednak dodać, że Wuk nie był bynajmniej na umyśle pomieszany. Miał tylko pewną idée fixe, której sobie z głowy wybić nie mógł, a tą była Serbia. Widząc jej stan oplakany, nie znajdując dla niej sprawiedliwości na ziemi, szukał opiekunów i pomocników w niebie i znajdował ich... w nateżonej w jeden punkt imaginacji własnej, która mu we śnie i na jawie sprowadzała widzenia wielce obiecujące. Poza tym jednak był to człowiek bardzo dobry, uczciwy i pracowity. Nieszczęście tylko, iż pracy jego owoce zabierali Turcy, a za owocami pracy szło wszystko inne: żona, dzieci, wnuczki, w części pomarłe, w części przez Turków pochwyte – tak że w końcu został w chacie swojej samowtór z, dzieckiem małym.

– Co ja z nim zrobię? – rzekł powróciwszy z pogrzebu córki.

– Co? wychowasz... – odrzekł mu pobratym, którym był nie kto inny, tylko znajomy nasz, Hadzi-Petar.

Pobratym nie jest to żaden krewny. Jest to brat wedle ducha, przyjaciel zaślubiony uroczyscie w obliczu Boga. U Serbów jest zwyczaj zaprzysięgania pobratymstwa, stającego się w razie takim świętym jak przysięga wiążąca stadło małżeńskie. Taką to przysięgą związany był z Wukiem Hadzi-Petar. Wykonywali ją na świętej Górze Ateńskiej dokąd razem chodzili i skąd przynieśli sobie obydwaj przydomek „hadzi”. Wuka jednak rzadko kto hadzim (pielgrzymem) tytułował.

– Dobra jest rada twoja... – odparł Wuk – ale, ot co... Do mnie przychodzą święci i dają mi, jak wiesz, zlecenia różne...

– Wiem... – podchwycił Hadzi-Petar. – Zlecenia, za które cę Turcy do apsu biorą...

– I które mnie może kiedy na pal zaprowadzą – dodał Hadzi-Wuk tonem naturalnym, jakby o jaką bagatelę chodziło.

– Na cóż ci to, człowiecze? Czy ty tym choć trochę Serbii pomożesz?... – rzekł Hadzi-Petar tonem perswazji.

- Ph!... – odparł Wuk i ręką machnął. – Ale o to mi chodzi, ażeby dziecko bez opieki nie zostało...
- Niech cię to nie frasuje... – były słowa Hadzi-Petara.
- Niewiasta moja matką mu być potrafi.
- O to mi tylko chodziło.

Pobratymi podali sobie dłonie. Chłopczyna, mający podówczas rok z czymś, miał zapewnione przytulisko na wypadek bądź niewoli, bądź śmierci dziadka.

Wypadek ten atoli nie nastąpił rychło. Turcy w przekonaniu, że Hadzi-Wuk jest deli, zostawiali go w spokoju – tak że on przy pracy i przy przyjaciół pomocy zdołał powoli zrestaurować w części zrujnowaną fortunę i zostawić wnukowi jaki taki spadek, wnukowi, który rósł w dwóch domach: u Hadzi-Petara, gdzie znajdował opiekę macierzyńską i u dziada, gdzie się karmił miłością dla Serbii i nienawiścią dla Turków.

Na Deli-Wuka przyszła kolej naturalnym rzeczy porządkom, w którym jednak było coś i nadnaturalnego.

– Ot... – rzekł razu pewnego do pobratyma – wiesz, co ci powiem... Dziś środa... We środę, co przyjdzie, kiedy będzie słońce zachodziło, zamknę oczy na wieki...

- H!... cóż ty gadasz?... – podchwycił Hadzi-Petar.
- No... no... zobaczysz...
- Jesteś przecież zdrow. Bogu chwała...
- Ta-że zdrow... Ale mnie tam wołają... – odparł pokazując palcem na niebo.
- Turcy ci dają spokój...

Słowa te ściągały się do owej pół-przepowiedni, którą Hadzi-Wuk wyrzekł niegdyś o sobie, mówiąc, że może poprowadzą go na pal.

Hadzi-Wuk to zrozumiał.

– Hm!... – odparł z akcentem niecierpliwości. – Turcy boją się mnie zaczepiać... Ale tu już nie oni wyrokują...

Co do obawy tureckiej, omylił się, Turcy się go nie lękali; to jednak pewne, że takim było powszechne uszanowanie, jakim wizjonera spółziomkowie otaczali, że śmierć jego na palu, na szubienicy lub pod mieczem byłaby silne wywarła wrażenie, byłaby w jagodyńskich Serbach spotęgowała niepotrzebnie niechęć do Turków i bez tego wielką. Instynktownie Deli-Wuk to czuł, chociaż tego wyrazić nie umiał i z tej przyczyny podejrzewał Turków o bojaźń zaczepienia go. Hadzi-Petar wiedział dokładnie, jak rzeczy stoją, lecz nie chciał snadź drażnić pobratyma przez wyświecanie przed nim położenia jego. A że się zmylił w jednym względzie, więc był niemal pewny, że się zmyli także i we względzie tej śmierci we środę.

Pokazało się jednak inaczej.

Hadzi-Wuk zaniemógł w niedzielę; w poniedziałek było mu lepiej; we wtorek atoli tak się pogorszyło, że Hadzi-Petar zrobił mu uwagę, czy nie wypadałoby przygotować się na drogę wieczności.

– Jeszcze nie... – odparł chory. – Będzie czas jutro, na czczo... posilę się na drogę i odejdę.

Nazajutrz sam kazał popa do siebie wezwać, wyspowiadał się, przyjął wiatyk i pomazanie, poleżał w milczeniu czas jakiś na wznak, z okiem w sufit wlepionym i w końcu, obracając się na bok, rzekł do Hadzi-Petara:

– Eh, bracie mój, jeszcze z tobą do wieczora zabawię... Przynieś no winca i zawołaj mi tu swoją niewiastę i wnuka...

Hadzi-Petar spełnił wolę chorego. Czerwone wino napełniło czary, a chory, podnosząc swoją drżącą rękę do góry, zawołał

– Żiwila Serbia!..

Wychylił duszkiem, utarł usta, rozglądził wąsy, potarł dłonią po czole i począł wnukowi opowiadać wszystkie swoje sny i wszystkie widzenia. W opowiadaniu tym wystąpiły dziwnej piękności obrazy, przesuwane przez starca niby paciorki na różańcu, obrazy, w których przesunęła się cała Serbii świetna przeszłość, owiana urokiem fantazji poetycznej. Niby w pano-

ramie ruchomej pokazywali się jeden po drugim bohaterowie narodowi: król Niemania i święty Sawa, car Duszan Silny i król Łazar, wojewoda Miłosz Obylicz i królewicz Marko... wszyscy... wszyscy – a tak malowniczo, że każda z powieści Hadzi-Wuka mogłaby posłużyć malarzowi za przedmiot do kompozycji obrazu historycznego. Starzec opowiadał; obecni, których było troje – chłopiec, Hadzi-Petar i Milewa, słuchali, czarowani akcentem prawdy, bijącej z wyrazu każdego, wymawianego powoli, głosem słabym, ale pewnym. Opowiadający wierzył w to, co mówił, wierzył silnie, głęboko i wiarę swoją w słuchaczy przelewał. Można było czytać ją w ich oczach. Hadzi-Petar brwi namarszczył i policzki mu drgały, oczy Milewy jaśniały zachwytem i natchnieniem; z oczów chłopca bił zapal młodzieńczy.

Chłopiec, który w czasie owym był już szesnastoletnim wyrostkiem, padł na kolana, ręce do dziada wyciągnął i zdobył się na wymówienie jednego tylko wyrazu:

– Babo!

Wyraz ten, na polski przetłumaczony, znaczy „dziaduniu!” Sam więc przez się nie wyrażał nic. Wyrazistość cała odbiła się w akcencie, z jakim wymówiony został i miała znaczenie przysięgi Hannibalowej.

Chory głową na znak zadowolenia skinął. Przez usta jego przewinął się uśmiech. Zwrócił się do Hadzi-Petara i Milewy.

– Weźcież chłopca tego... Niech on sieroctwa nie zazna...

– On sieroctwa nie zazna!... – podchwyciła kobieta.

– Niech będzie waszym...

– Będzie naszym...

– Dwa tygodnie temu – dodał Hadzi-Petar – narodziła się nam wnuczka... Dziewczyna ta będzie rosła dla niego...

– Nie mogłeś mnie bardziej ucieszyć niczym, bracie... – rzekł chory. – Dzięki ci... Czy słyszysz, synku?... Pod strzechą Hadzi-Petara rośnie dla ciebie niewiasta... Rośnijże i ty na pożytek ludziom dobrym, co cię za syna biorą, twojej biednej otaczbinie, którą Turczyn jarzmi...

Twarz chorego rozjaśniła się radością wielką.

– Należy jeszcze czasę jedną wina czerwonego... Nie będę na weselu ich... Niechże teraz za przyszłych młodych zdrowie wypiję.

Hadzi-Petar nalał. Hadzi-Wuk wziął czasę w rękę, lecz jej utrzymać już nie mógł. Wziął, wino rozlał, do ust je jednak jeszcze doniósł.

– Żywio!... – słabym zawołał głosem.

Usta zaledwo umoczył.

– To źle... – rzekł. – A czy tam słońce daleko do zachodu? Zapytanie to wystosowane było do wnuka, który nie wiedział, co ono znaczy. Chłopiec wyjrzał przez drzwi i odpowiedział:

– Już się za góry skryło...

– A no, widzicie... Zaczynam już chłodnąć od nóg i rąk... Trzeba się położyć dobrze... Módlcie się.

Hadzi-Petar, Milewa i chłopiec poklękali. Hadzi-Wuk położył się na wznak, wyciągnął, dłonie na piersiach złożył, oczy zamknął... oddychał jeszcze przez czas jakiś coraz to słabiej i rzadziej, westchnął – i było to już westchnienie jego ostatnie.

Słońce zaszło.

Że to przepowiedzenie sobie dnia i godziny śmierci nie pozostało bez wywarcia wrażenia na umyśle ludności ciemnej, a zatem przesądnej, tego dodawać nie potrzeba. Wszystko, co Hadzi-Wuk opowiadał, nabrało po zgonie jego znaczenia i mało brakowało do uznania go wybrańcem Bożym, któremu dopuszczone było widzieć i wiedzieć więcej aniżeli śmiertelnikom zwyczajnym. Za czasów dawniejszych byłoby to niezawodnie nastąpiło, a nawet nastąpiłoby to i za tych czasów, do których się powieść nasza odnosi, gdyby nieboszczyk otaczać się umiał tajemniczością i zagadkowością. Wszakże mimo to znaleźli się tacy, na umysłach których wycisnął on pewien rodzaj pieczęci. Do takich, między innymi, należała Milewa.

Kobieca jej wyobraźnia zafrapowana została nadzwyczajnością przepowiedni. Przyjęła to za pewien rodzaj cudu, o którym marzyła nieraz. W natężeniu imaginacji nieraz i jej wydawało się, że się przed oczami jej zarysowują obrazy, podobne do tych, jakie Deli-Wuk przed śmiercią kreślił. Ale ująć ich, schwycić nie mogła – i składała to na to, że Najwyższy nie uważa jej za godną łaski tak wielkiej.

Można wyobrazić sobie, jaką ona zastępczynią matki stała się dla wnuka nieboszczyka. Chłopcu u rodzonej nie mogłoby być lepiej. Doglądała, pielęgnowała, cieszyła się nim tym bardziej, że z góry widziała w nim małżonka wnuczki, a więc członka rodziny własnej.

Wnukowi Deli-Wuka na imię było Milenko, wnuczce Milewy Anka – ta sama Anka, która się na Marka zapatrzyła...

Pomiędzy dwojgiem tych dzieci zachodziła znaczna wieku różnica. Milenko był o lat szesnaście od narzeczonej swojej starszy, co w Serbii, gdzie częściej starsza bywa co do lat żona od męża aniżeli mąż od żony, stanowi wykroczenie przeciwko zwyczajom przyjętym. Nie wielkie to jednak było wykroczenie. Zaradczy na nie środek nastęczał się sam przez się. Należało wydać za mąż dziewczynę w pierwszym młodości jej rozkwicie, w szesnastym roku jej życia. Mąż lat trzydzieści jeden, żona lat szesnaście?... wypadki podobne zdarzały się na świecie, w Serbii nawet. A zresztą – choćby się i nie zdarzały, to to samo, iż małżeństwo to znalazło uznanie Deli-Wuka na łożu śmiertelnym, dostateczną było dla Hadzi-Petara, a szczególnie dla Milewy pobudką do trzymania się go oburącz.

Dziewczyna tedy rosła, z góry przeznaczona i chłopiec rósł obok niej. W rośnięciu ich zachodziła dysproporcjonalność pewna. Ona się podnosiła nad ziemię, on pędził w górę; ona była jeszcze dziewczynką, on dochodził już lat graniczących z wiekiem męskim. Wydawało się jakoby wbrew naturze, rozwijającej kobietę rychlej aniżeli mężczyznę, on dorastał prędzej aniżeli ona. Kiedy Anka liczyła lat dwanaście, Milenkowi kończyło się dwadzieścia osiem. Mogłoby to stać się dla związku ich fatalne, gdyby nie to, że Milenkowi nie ciążył jakoś kawalerski stan. Co było tego przyczyną? – odgadnąć trudno. Może wdzięki dziewczęcia, rozkwitającego jak kwiat z pączka? Może roztargnienie młodego człowieka, zajętego pracą u kozucharza, teścia Żiwkowego?

Prędzej pierwsze niż drugie. Co się bowiem pracy tyczy, to tej, żeby całą prawdę powiedzieć, Milenko nie oddawał się z gorliwością zbytnią. Siedział w sklepiku, póki musiał, i zszywał kawałki futra baraniego jedne z drugimi, ale wołał tego nie robić. Z tego powodu, kiedy był młodszy, często od majstra, Żiwkowego teścia, ciągi dostawał; kiedy zaś na człowieka wyrósł, często na niego zachodziły skargi.

– Nie pracuje, opuszcza się, darmo chleb je...

Często go też spotykały strofowania, tak ze strony przyszłego jogo teścia jako też ze strony Hadzi-Petara.

– Słuchaj no... – powiadali mu – co z ciebie będzie?

Milenko miał zwyczaj na zapytanie to odpowiadać milczeniem. Bo też, prawdę mówiąc, było to zapytanie dość ciekawe, które sobie i sam zadawał często.

– Co ze mnie będzie?... Kozucharz...

Ale jakoś nie mogło mu do głowy przystać, ażeby życie jego upłynąć miało w drewnianym sklepiku, na kuśnierskiej ławie, wśród skór baranich, lisich, wilczych, psich, kozich etc. Zajęcie, któremu się oddawał, wydawało się mu tymczasowe i przypadkowe. Roilo mu się po głowie inne, wysnute częścią z pieśni, które ślepi śpiewali gęślarze, częścią z opowiadań dziadka, które mu w pamięci tkwiły. Nie wiedział jednak, jakie mianowicie. Nie umiałby onego określić. Zapytany, czego dla siebie pragnie, nie umiałby odpowiedzieć dokładnie, a raczej nie umiałby pragnień swoich ująć w wyraz jeden, malujący dokładnie powołanie, do jakiego miał pociąg. Wiedział tylko z pewnością całą, że do kuśnierki nie miał pociągu najmniejszego, a to dlatego, że siedząc nad robotą, nie myślał o robocie wcale, ale natomiast o wielu rzeczach innych, nie mających najmniejszej ze zszywaniem skór styczności. Myślał na

przykład często o świetnym stroju czerwonym lub zielonym, złotem albo srebrem szytym, o pistoletach perłową nabijanych macicą, o zamkach, pałacach, tłumach służby i niewolników; myślał o tureckich głowach z karku spadających i fontannach krwi z tułowiów bez głów tryskających. Myśląc o rzeczach podobnych, nie mógł, rozumie się, gorliwie kozucharstwu się oddawać, a zarazem nie mógł odgadnąć, co z niego będzie.

Pytanie więc, zadawane mu często przez Żiwka i Hadzi-Petara, pozostawało w stanie zagadki nierozwiązanej dla innych, przede wszystkim zaś dla Milenka samego – przede wszystkim dla niego, inni bowiem tak sobie rzecz tłumaczyli:

– Z latami ustatkuje się... Krew gorąca przewrze się, zastanowienie przyjdzie i będzie z niego kozucharz, nie lepszy ani gorszy od innych...

On atoli sam o sobie powiedzieć tego nie mógł. Do kozucharstwa czuł wstręt, a pod względem pociągu do innego jakiego rzemiosła o jednym tylko wiedział: o dziwnym pociągu do skóry tureckiej. Widok Turka sprawiał mu w rękach świerzbiaczkę. Nie wyobrażał sobie przyjemności większej nad możliwość zmięcia w garści bodaj jednego z wyznawców proroka.

– Bodaj jednego!... – mówił sam sobie nieraz w duchu, wypuszczając igłę kuśnierską z palców, zaciskając kułaki i przykładając je jeden do drugiego.

A czuł się na siłach, by satysfakcję podobną uczynić sobie, natura bowiem hojnie go pod względem fizycznym uposażyła. Był wzrostu słusznego, karku szerokiego a krótkiego, w plecach i piersiach szeroki, czoła niskiego, muskularności bogato rozwiniętej, słowem, budowy atletycznej. Mógłby służyć za model do posągu Herkulesa. Mógłby, doprawdy, Turka zmiąć, gdyby mu się pod rękę nawinał.

Nie dziw, że człowiek, takimi obdarzony zdolnościami i takim przenikniony pragnieniem, nad igłą przykrzył sobie. Dziwem prawdziwym było raczej to, że wytrzymał nad nią przez lal dwanaście.

Jak dziwo to wytłumaczyć? Czy nadzieją zostania małżonkiem Anki?... Tłumaczenie podobne byłoby naciągnięte. Nadzieja ta nie mogła być wędzidłem na burzliwy temperament z tej przyczyny, że Anka, dziewczynka mała, nie była w stanie wpływu nań wywierać. Milenko patrzył na nią, jak rosła; widział w niej dziecko i nic więcej. Cierpliwość przeto, z jaką on się rzemiosła trzymał, przypisać należy czemu innemu: wpływom poważnym nauk moralnych Hadzi-Petara, wpływowi serdecznemu miłości macierzyńskiej Milewy. Ta zwłaszcza ostatnia umiała do przekonania jego trafić i bujną fantazję na wodzy trzymać, a to przez to, że i jej fantazja nastrojona była do tonu takiego prawie samego, co Milenkowa. Na nich dwojgu sprawdzało się łańskie przysłowie: *similis simili gaudet*. Milenko wynurzał się przed Milewą z jakiejś części rojeń swoich i znajdował w niej współczucie, tłumaczące się niekiedy łąką zwilgotniającą powieki kobiety, niekiedy gorącym pocałunkiem złożonym na czole młodzieńca, niekiedy słowami pociechy.

– Cierp, synku... cierpiał i dziad twój... I on pracował, pomimo że się jemu Matka Boska i święty Sawa pokazywali... Może ty się doczekasz, czego się nie doczekał on...

Cierpiał więc Milenko – siedział nad kuśnierską robotą; lecz ile ta jego cierpliwość nici narwała i igiel nałamała, tego by żaden najbieglejszy obliczyć nie zdołał rachmistrz.

Wszakże: „póty dzban wodę nosi, aż mu się ucho urwie”.

Milenkowa cierpliwość, wystawiana często na ciągła w kuśnierskim warsztacie próbę, wystawiana często na próby w ucisku, jakim było tureckie panowanie, pękła razu pewnego w sposób Mojżeszowy, przy studni na rynku – studni murowanej, z kamiennym żłobem, do którego woda siedmiu tryskała rurami. Milenko przechodził rano przez rynek do warsztatu, Nie mając zwyczaju śpieszyć do roboty utrapionej, szedł powoli, rozglądając się na prawo i na lewo i zatrzymał się z powodu widowiska, jakie go uderzyło. Widowiskiem tym była kłótnia. Przy studni zebrało się kilkanaście kobiet z wiadrami i dzbankami i zawiązały spór z wyrostkiem. Kobiety były to Turczynki, wyrostek był Serbem. Nie wiadomo było, o co im poszło. Chłopak podobno dopuścił się swawoli względem jednej z obecnych – wodą bryznął czy coś

takiego. Turczynki mu wymyślały; on im się odcinał. Powstała wrzawa, Nawinał się jeden z bejów miejscowych, wmieszał się do sprawy, wziął stronę kobiet i spór zagodził w ten sposób, iż ujął wyrostka za uszy, nagiął mu głowę na żłób i bił nią o kamienie, odbywając tę egzekucję przy akompaniamencie klątew i złorzeczeń, odnoszących się do chrześcijaństwa w ogólności, a do Serbii w szczególności. Za drugim czy trzecim uderzeniem ehłopcę z czoła popłynęła krew! Na widok ten Milenko zakipiał. Podskoczył, Turka za gardło pochwycił, zdusił i rzucił. Pochwycił człowieka żywego, rzucił... trup. Kobiety z wrzaskiem uciekły, Przy studni pozostał Turek, drgający rzutami konania i nad nim Milenko zaślepiony, ogłuszony i rozwsciekłony.

Mojżesz w podobnym wypadku uciekł – jak mówi Pismo święte. Milenko nie wiedział, co począć. Nie mógł się oderwać od widoku sprawiającego mu dziką jakąś rozkosz i nie mógł stłumić w sobie głosu, który mu w duszy wył hymnem zemsty, układając się w wyrazy następujące:

– Turków mi tu!... Turków jak najwięcej!...

Czekał niedługo. Z domów, ze sklepów, z kawiarni, co na rynku stała, z konaku, z przodu, z tyłu, z prawej strony, z lewej wychodzić poczęli wyznawcy Mahometa i otoczyli go kołem, które, zrazu szerokie, stopniowo się ściskało, w miarę jak ludzi coraz to więcej przybywało i jak ludzie ci ku studni się coraz to bliżej posuwali, uzbrojeni jedni w kije, drudzy w bezmiany, inni w noże lub w kindzały. Milenko spoglądał po nich wzrokiem krwią nabiegłym. Czoło miał sfałdowane w bruzdy grube, nozdrza rozdęte, policzki mu drgały. Turcy nie śpieszyli się, pewni, że się im nie wymknie. On zaś o wymknięciu się ani myślał. Tylko, gdy przeciwnicy blisko byli, ryknął niby byk rozjuszony, susem jednym pomiędzy nich wpadł i w tejże chwili zrobiła się dokoła niego próżnia. Milenko trzymał jeddego z Turków za nogę i wywijał nim. Zrobiwszy sobie rum, cisnął tego, poskoczył i pochwycił drugiego. Po chwili miał w ręku już trzeciego.

Turków ogarnął popłoch. Powoli się zeszli, lecz szybko się rozbiegli pozostawiając Milenka panem rynku, zasłanego turbanami i papuczami, rannymi i trupami. Było dwóch rannych, tych, którymi wywijał z początku i dwa trupy, jeden pod studnią, drugi pod słupem, o który grzmotnął tego, co go na ostatku miał w ręku, a grzmotnął nim tak, że mu się głowa jak czerpiany rozbiła garnek.

Pozostał sam. Obejrzał się. Odwinał rękawy, jakby gotując się do walki nowej. Obszedł rynek dokoła, jakby dla stwierdzenia triumfu. Zawrócił w jedną z uliczek, prowadzących ku rzece. Widziano go na moście, wpatrującego się w nurty Lewaczki. Rozeszła się pogłoska, że wskoczył do wody i utopił się.

Turcy kleli, a chrześcijanie szeptali pomiędzy sobą, że Milenko będzie bezpieczny, jak się tylko za Morawę dostanie Anka przeto pozostała narzeczoną w położeniu podobnym nieco do położenia wdowy, tak zwanej słomianej. W chacie Hadzi-Petara było smutku i płaczów dużo. Stara majka jednak płakała, ale się nie smuciła.

– Poszedł drogą swoją... – mówiła. – Da on o sobie wiedzieć...

Jakoż w miesiący kilka po wypadku tym przysłała do Jagodyny wiadomość pierwsza o Milenku-hajduku, a w parę lat potem zagadano szeroko o Milenku-harambaszy.

– To on!... – twierdziła Milewa.

I nie myliła się. Był to on w rzeczy samej ten sam Milenko, z którym zabraliśmy znajomość na Górze Pekskiej. Spełniły się w części rojenia jego młodzieńcze. Miał strój pyszny; zza pasa sterczały mu pistolety i kindzał, złotem, perłami i drogimi kamieniami nabijane; rozkazów jego słuchała drużyna wierna i waleczna; mógł sobie dogadzać, ile razy go ręka zaświerbiała; a sklepienie nieba i zielone góry służyły mu zamiast zamków i pałaców.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ZIELONA KITAJKA

Opowiadanie o losach Milenka dało nam poznać dokładnie położenie Anki. Była ona związana przyrzeczeniem, obowiązującym nie tyle ją samą, co jej dziadka i babkę, a zatem ojca i matkę. Na straży tego zobowiązania stał duch Deli-Wuka, który jednak nie stał i stać nie mógł na straży serca dziewczyny. „Serce nie sługa, nie zna, co to pany” – powiada piosenka. Anka, która do dwunastego roku życia swego miała się za przyszłą „niewiastę” Milenka, a od dwunastego roku karmiona miała wyobraźnię opowiadaniem o mojąszowym jego znalezieniu się na jagodyńskiej czarszji i o junackich czynach w górach dokonywanych, która pamiętała dobrze tę postać atletycznej postawy i dzikiego wejrzenia, której na koniec nie mogło nie pochlebiać bohaterstwo narzeczonego, Anka – powiadam – nie czuła do narzeczonego tego pociągu serdecznego. Nic jej od niego nie odpychało, ale też pomiędzy nią a nim nie istniał ten węzeł gordyjski, którego i miecz Aleksandra rozciąć nie jest w stanie. Kochała go, jak się kocha brata, dumną nim była dumą siostry. Najprzywiązańsza atoli i najbardziej kochająca siostra czuje potrzebę i innej jeszcze miłości. Ta to potrzeba, nierozumiana – któż bowiem coś podobnego rozumie? – przez Ankę do chwili przybycia Marka, odezwała się w jej sercu na widok jego, stała się nieodzowną przy dźwięku jego głosu.

Anka zobaczyła Marka po raz pierwszy wieczorem, w chwilę później, niż go widziała Fatma-hanem, w dniu jego do Jagodyny przybycia; na drugi dzień około południa kochała już człowieka, co w pół leżąc w trawie, odpowiadał na zapytania, jakie mu jej matka i ciotki zadawały, i opowiadał urywkowo, to coś, o sobie, to znów o Serbii, o Niemcach, o niewoli, o walkach, o cierpieniach; W południe słońko niebieskie oblewało ziemię potokami światła i dogrzewało, a serce dziewczyny darło się do tego słońka, co świeci, grzeje i dogrzewa ludziom pod nazwą miłości.

Dziewczyna kochała i doznawała dziwnej z kochania rozkoszy. Siedziała za matką, która ją sobą w pół zakrywała; pobliski krzak tarniowy rzucał na nią cień z ukosa; zza matczynego ramienia spoglądała ku Markowi: i tego jej było dosyć – czuła się jakby w niebie – swego siedzenia w trawie i cienia krzaku tarniowego nie zmieniłaby na żadne pałace „sterczące dumnie”. Było jej bardzo dobrze.

Tak jednak, niestety! pozostać długo nie mogło. Przyszło naprzód złe przecucie pod postacią obawy, podobnej do tego wiaterka leciutkiego, co to nie wiedzieć skąd się bierze i marszczy szklaną wody powierzchnię. Jakaś trwoga zaniepokoiła jej duszę. Trwoga to była bezimienna, a jednak odejść nie chciała, pomimo że Anka nie zapytywała się wcale o następstwa wyniknąć mogące z tego szczęścia bezmiernego, jakiego w chwili tej doznawała. Było to złe przecucie – tajemnicza przestroga, której wytłumaczyć niesposób.

Przecucie sprawdziło się. Bańka jej szczęścia prysła. Pośpieszam jednak z zapewnieniem, że nic się złego nie stało. Złe bowiem wyraziło się w sposób, w którym nie rozkochane synowe Hadzi-Petera nie widziały nic przykrego, nic, co by komu zagrażało. Przeciwnie. Usłyszały przeciągłe gwizdnięcie. Anka zbladła, niby chusta, matka jej i ciotki w jeden zawołały głos:

– Hadzi-Petar!...

Głos ich nabrzmiały był radością. Poczęły składać robótki i zwoływać działwę z krzaków. Marko wstał.

Niebawem pojawił się Hadzi-Petar i z uśmiechem na obliczu pozdrowił drużynę kobiecą.

– Wracajcie... – rzekł. – Burza przeminęła szczęśliwie.

– I ten człowiek wróci?... – zapytała Stana, ukazując na Marka oczami.

– Ten człowiek?... – odparł starzec patrząc naszemu bohaterowi w oczy. – Coś Turkom bardzo chce się człowieka tego dostać... Dlatego ty, bracie, do mojej kutii powracać już nie, możesz... Kir-Kosta, niby pies gończy, śladów twoich szuka.

Potrzebny jest króciutki komentarz do objaśnienia ostatnich Hadzi-Petara wyrazów, mogących się komu wydać przenośnią a odnoszących się do rozmów, jakie kir-Kosta ze starcem miał dwukrotnie. Nie były one przenośnią bynajmniej. Hadzi-Petar, wychodząc z domu w celu przywołania kobiecej połowy swojej rodziny, zachował tę ostrożność, jaka się zazwyczaj w podobnych razach zachowywała. Często się zatrzymywał, oglądał i rozpatrywał. Wyszedł naprzód stroną jedną i powrócił. Udał się następnie w stronę drugą i znów wrócił. Synowie także rekonesanse robili ukrywając się z tym jak najstaranniej – i tak Hadzi-Petar jak synowie jego widzieli kir-Kostę nad rzeką chodzącego i pilnie czegoś na brzegu szukającego. Brzegi Lewaczki, zwłaszcza w miejscach, gdzie istniały brody, były piaszczyste i gdzieniegdzie namulone. Nie trzeba było nadzwyczajnej bystrości, ażeby się domyślić, czego to kir-Kosta szuka. Chodziło mu o dowiedzenie się, co się stało z poszukiwanym nieznajomym: czy jak odpowiedzi Hadzi-Petara domyśleć się kazały, wyszedł na miasto i ostrzeżony, w innym jakim ukrył się domu? czyli też z rodziną starca w pole się wyniósł? Od wiadomości tej zależało zarządzanie poszukiwania dalszego. Kir-Kosta przeto szukał nad rzeką śladów na piasku, wyciśniętych przez nogi zbiegów. Oto, do czego odnosiły się wyrazy Hadzi-Petara.

– Co za kir-Kosta?... – zapytał Marko.

– Pewien pies, który przed nami szczeka na Turków, a przed Turkami na nas, pewien lis, który się ogonem nakrywa i niewinnego udaje... Ukradł tobie ten wielki sahat...

– Sahat?... – wtrącił Marko tonem zdziwienia.

– No, ten sahat czy co, co to północ pokazuje.

– Kompas?

– No... kompas... Turcy zabrali obraz kraju i list...

– List!... – krzyknął Marko i dłonią się po czole palnął. – O tożem się spisał!... Zapomniałem o liście!..

Przy słowach tych wzrok rzucił na Ankę jakby w celu pociągnięcia jej do współodpowiedzialności i ujrzał ją tak zbladłą, że już, już miał na języku zapytanie jakieś, odnoszące się do powodu koloru lic jej, lecz się powstrzymał. Natomiast wyraził oczami rzewne współczucie i zwrócił się z zapytaniem do Hadzi-Petara:

– Czy mieszka w Jagodynie Szwab?

– Jeszcze co!... – odrzekł stary. – Czy nie dość nam Turków?...

– Ale może kto po szwabsku mówi?...

– Nikt, Bogu dzięki!...

– Bogu dzięki!... – powtórzył Marko z naciskiem. – Kiedy nikt po szwabsku nie mówi, to tym bardziej nikt nie czyta... Mogą się więc Turcy na list mój patrzeć do dnia sądnego. Napiszę inny... – A czy koniecznie pisać potrzeba?... – zapytał Hadzi-Petar.

– Koniecznie... – rzekł Marko. – Pułkownik Michajlewicz...

Wymówił nazwisko i za język się ugryzł. Dłonią potarł po oczach i po twarzy z oznaką nieukontentowania z samego siebie. Tu listu zapomniał, tu się wyrwał z nazwiskiem, którego wymienić, jak się zdaje, był nie powinien. Wyraźnie coś mu szyki w głowie pomieszało.

– E!... – ręką machnął i palcami strzepnął.

– Koniecznie ci pisać potrzeba?... – powtórzył Hadzi-Petar powoli i w zamyśleniu, robiąc głową gesty oznaczające, iż coś w umyśle rozważa. – No... hm... koniecznie?..

Po chwili się odezwał:

– Kiedy tak, to zostań-że ty tu do wieczora... Nagle zapytał tonem pół-żartu:

– A umiesz-że ty jaką sztukę szwabską?...

Marko spojrział starcowi w oczy, treścią zapytania zdziwiony.

– Umiesz czy nie?...

– Ta co?

– Jak pies szczekać?... jak kot miauczeć?... jak kura gdakać?

Na ostatnie to zapytanie kobiety w śmiech, a Markowi rumieniec na lica wybiegł, rumieniec, który ludziom wybiegać zwykł przy doznanym ubliżeniu.

– Ja-bo nie na śmiech mówię... – rzekł stary poważnie tonem surowym. – Ty tu zostaniesz do wieczora. Wieczorem jeden z synów moich albo kto inny przyjdzie po ciebie... Potrzeba więc, ażebyś z nim się rozmówić umiał, ażeby on ciebie i ty jego poznać mógł z daleka, ot jak kobiety poznały mnie, kiedym gwizdnął... Bez tego zamiast swemu mógłbyś się Turkom w ręce dostać...

Kobiety śmiać się przestały.

– Więc cóż – starzec zapytanie powtórzył – umiesz jaką sztukę niemiecką?

Marko się uśmiechnął i pomyślał chwilę.

– Umieć przepiórki wabić... Nauczyłem się tego, jakem był wyrostkiem...

– To dobrze... Więc ten, co wieczorem przyjdzie po ciebie, gwiźnie trzy razy, ty mu odpowiesz biciem przepiórki, a on w dłoń kłaśnie i zejdziesz się... On cię zaprowadzi w miejsce bezpieczne, gdzie pisać będziesz mógł.

Zwracając się do kobiet dodał:

– Zostawcież mu, co tam w torbach macie, aby przez dzień nie zgłodniał, a same zabierajcie dzieci i... do domu!... każda drogą inną...

Poparł rozkaz gestem. Drużyna kobieca rozpierzchła się. Stana odeszła ostatnia, a to dlatego; że się Anka ociągała szukając popod krzakami czegoś, czego nie zgubiła. Co zaś zgubiła – o tym powiadomieni jesteście dostatecznie.

Biedna dziewczyna! Przed chwilą taka była szczęśliwa!... Za tą chwilą było jej żal... żal... wysławić by tego nie mogła i z głową pochyloną, z oczami w dół spuszczonej szła za matką, jakby – przepraszam za porównanie – na sznurku ciągniona. A jak na toż matka się rozgadała.

– Anko, bre... – mówiła Stana. – Ten Marko na junaka patrzy... Istny junak!... żebyś go zobaczyła lat temu dwadzieścia, kiedym dziewczynką była, to... hm...

Anka na matkę spojrziała wzrokiem, w którym i zdziwienie, i przestach się odmalowały; ta zaś prawiała dalej:

– Jego by z Milenkiem porównać można; ale... gdzie tam!... Milenko i on to jak sielak i waroszanin...

W guście podobnym gadała baba dalej, przerywając sobie niekiedy dla obejrzenia się na młodsze dzieci lub dla ponaglenia Anki do pośpiechu:

– Ta idź-że prędzej!... Co tobie, że się tak wleciesz? Ona szła i oglądała się. Nagle zawołała:

– Majko!... a patrz-no...

I pokazała palcem.

Wzdłuż rzeki widać było ludzi rozstawionych w odstępach pewnych jak szyldwachy i ukrywających się. Jeden stał za skałą, drugi za krzakiem. Pokazali się i znikli. Kiedy Anka zwróciła na nich uwagę matki, już ich na widoku nic było.

– Co?... – zapytała Stana, strwożona tonem przerażenia, jaki brzmiał w wyrazach córki.

– Ludzie jacyś...

– Co?... gdzie?...

– Tam... tam... – odpowiedziała Anka, palcem pokazując.

– Zdaje się, jakby podglądali nas...

– Chyba się wydało tobie...

Anka przysiąc by nie mogła, że jej zmysły nie łudziły. Przyśpieszyła jednak kroku, co i Stana uczyniła, i wkrótce potem, obróciwszy drogę przez ogrody i podwórza sąsiadów, matka i córka znalazły się pod strzechą swoją...

Widzenie jednak ludzi tych dziewczynie z głowy wyjść nie mogło. Zafrasowała się wielce. Nie wątpiła, że jeżeli widzenie to rzeczywistością było, ludzie rozstawieni czatowali nie na kogo innego, tylko na Marka. Wybiegła do ogrodu, skąd widać było koryto Lewaczki, przykładła dłoń do czoła, badała okiem każdy krzak, każdy kamień, każdy gruntu załom – nic nie dostrzegła. Uspokoić ją to powinno było. Niemniej przeto w gorączkowym oczekiwaniu wyglądała powrotu dziadka, tymczasem zaś garnęła się do babki, której opowiedziała o niepokojach swoim.

Stara Milewa nie wiedziała jeszcze o Marku nic więcej nad to, że Turcy przyaresztować go chcieli, jako przybysza obcego. Od wnuczki dopiero dowiedziała się o szczegółach, które ją zafrasowały mocno, przenikając, niby promienie światła bryłę kryształową, duszę jej misticznie nastrojoną. Kiwała głową, miała oczy szeroko otworzone i rzucała od czasu do czasu pojedyncze wyrazy lub frazesy nie przyczyniające się bynajmniej do uspokojenia dziewczyny.

– Boże!... Boże!... – mówiła. – Kiedy Turczyn napastować zaczyna, czy nie zbliża się to już czas? Ten Marko, czy nie jest to jaki... zesłaniec?... Kto wie?... Jeden tylko Hadzi-Wuk nieboszczyk wiedziałby...

W niepokojach przeto wyglądała Anka powrotu dziadka.

Hadzi-Petar nie wrócił aż wieczorem.

W Serbii w czasach owych stosunek mężczyzny do kobiety nakazywał tej ostatniej podległość i uszanowanie. Nie mogła przeto Anka zapytywać dziadka wręcz, co się z Markiem stało. Nie odważyłaby się na to za żadne skarby. Mogła jednak dowiedzieć się sposobem innym, wydoskonalonym przez używanie długie i spotęgowanym przenikliwością umysłu kobiecego. Sposób ten zależał na czytaniu w oczach. Uciekła się Anka do niego i uspokoiła się. Wzrok Hadzi-Petara nie tylko nie wyrażał frasunku żadnego, ale przeciwnie, świecił pogodą wewnętrznego zadowolenia, co by miejsca mieć nie mogło, gdyby Markowi zagrażało niebezpieczeństwo jakie. Starzec był nawet w dobrym przy wieczery humorze.

– Bogu niech będą dzięki... – powiedziała sobie Anka w duszy.

Dostrzegła, że torba, w której złożone były ochronione od tureckiej konfiskaty narzędzia, została wyniesiona. To naprowadziło ją na domysł, że Marko znajdować się musi u któregoś z mieszkańców Jagodyny.

– U którego mianowicie?

Oto, co dręczyć ją zaczęło i co jej sen w nocy odebrało. Trzeba bowiem wyznać, że bohaterka nasza, acz ozdobiona wielkimi przymiotami duszy i serca i pięknnością ciała niepospolitą, nie była wolna od pewnych ułomności niewieścich. Miłość jej nie liczyła jeszcze dwudziestu czterech godzin od chwili, jak się poczęła, a już obudziła się w niej zazdrość... niewinna, lekka, podobna do pyłku skrzydełek motyli, uronionego na listku róży, niemniej przeto prawdziwa. Zapytania bowiem powyższego czepiał się cały szereg zapytań, układających się mniej więcej w sposób następujący:

– Czy u Gicy-bakalina?... U niego jest dziewczynka ładna... Może u Michaja?... Ten ma dwie córki... itd.; itd.

Robiła przegląd wszystkich rówieśnic swoich i porównywała je ze sobą. Sumienie, a może i miłość własna zaręczały jej, że nie ma się lękać czego. Jednakże... dręczyła się. Dręczyło ją to szczególnie, że którejś innej dziewczynie, nie jej, dane było przyrządzać dla Marka wieczerzę, rozpalać dla niego ogień na kominie, słać mu łóżko.

Biedna dziewczyna!

Nie spała; przewracała się z boku na bok; potraçała siostry młodsze, które obok niej pokodem w objęciach snu twardego leżały, wzdychała.

– Anko!... – odezwał się głos w ciemnościach.
– Co, stara majko?... – zapytała dziewczyna.
– Nie możesz spać?... – rzekła po chwili stara Milewa. – Och!... i ja nie mogę... Mój Boże!...

Anka zachowywała milczenie, lękając się snadź, ażeby stara nie zapytała jej o powód bezsenności.

Obawa jej wszakże płonna była. Stara Milewa zajęty miała umysł powodem niespania własnego.

– Mój Boże!... spać nie mogę, bo mi stoi w głowie rozkaz Hadzi-Petera... Mam iść do haremu Ali-agi, zanieść pani jego sztukę materii zielonej... Och!... – stękała staruszka. – Wolałabym iść na pokutę jaką... Ale cóż robić?... Hadzi-Petar rozkazał...

– Z Turczynką dogadać się trudno... – wtrąciła dziewczyna, ażeby coś powiedzieć przecie.

– Jeszcze z taką jak Fatma-hanem!... I pomiędzy Turczynkami bywają kobiety ciche i skromne... Ale ta!... ona nie na kobietę stworzona... Za nic bym tam nie poszła, ale Hadzi-Petar rozkazał... Nie ma co...

Staruszka jeszcze przez czas jakiś gwarzyła i usnęła. Snadź potrzebowała wyłkać przed kimś żal, ażeby odzyskać spokój umysłu, do przywołania snu na powieki potrzebny..

Usnęła z kolei i Anka.

Gdybym był poetą, powiedziałbym, że w izbie, w której babka w towarzystwie tuzina wnucząt spoczywała, wionął skrzydłem cichy anioł snu. Nie będąc wszakże poetą, wyznać muszę, że anioł ów wionął skrzydłem, wcale nie cichym. Po odleceniu jego powstał szelest, niby miechów, odgłos chrapań itp. Trwało to do rana, a rano ową rzekomą ciszę zastąpił gwar ruchu codziennego. Kobiety się krzątały, dzieci krzyczały – bohaterka nasza w izbach zamiała – stara Milewa z wizytą do haremu się wybierała.

Pójdźmy z tą ostatnią, wyprzedzając ją o tyle tylko, ile potrzeba, ażeby słów kilka o haremach powiedzieć. Chronologiczny rozwój zdarzeń powieści naszej zmusza nas do wycieczki tej w sferę tajemniczości owianą, której największą pono osobliwością jest to, że zamknięta. To nadaje jej urok owocu zakazanego, którego skosztowanie, gdyby każdemu dozwolone było, niejeden by splunął i powiedział:

– Jest co zamykać!...

Haremy bogate odznaczają się przepychem i zbytkiem, połączonymi bardzo rzadko z dobrym smakiem. Dużo złota, dużo drogich kamieni, jedwab, puchy, kobierce, barwy jaskrawe, zmieszane, w, pewien rodzaj mozaiki, do której składu wchodzi zarówno świecidla, farby i gładkie lica. Obok brylantu lub rubinu połyska oko, obok kutasów i frędzli – warkocz. Jedno brać można za drugie. Na pierwszy rzut oka wygląda to cudownie i oryginalnie; lecz po bliższym i dłuższym nieco rozpatrzeniu się, w cudach tych uderza ckliwość; czuć w nich pomimo palących się kadzideł jakiś zaduch, który wielki w haremach bogatych, staje się wyłącznie dominującym w uboższych. Wszedłszy do haremu, od razu poznać można, iż się jest w miejscu zamkniętym. Coś niby w nosie kręci... Brak świeżego powietrza niemiło organ powonienia uderza naprowadzając na myśl wilgoć zatęchłą.

Takim był harem Ali-agi, w którym samowładna Fatma-hanem rządy sprawowała. Składał się on z kilku izb mieszkalnych i z jednej gościnnej. Ta ostatnia służyła do przyjmowania gości płci niewieściej w dzień, do goszczenia pana i małżonka wieczorem i do spędzania czasu zbywającego dla hanem. A że czasem zbywającym były wszystkie dnia godziny, w których Fatma nie była poza domem, przeto izba gościnna posiadała ją prawie ciągle, przesuwaną się po dywanie z jednego końca w drugi. Niekiedy siedziała nieruchomie i popijając kawę, nargile paliła. Niekiedy cmoktała ziarnka granatu lub wystawiając język smakowała tatły, rozpuszczające się w ustach. Niekiedy, leżąc, wpatrywała się w zwierciadełko, które w rękach trzymała i różne do niego miny stroiła. Niekiedy bawiła się lalkami. To ostatnie było jedynym, jakiemu się oddawała, zatrudnieniem. Dla kqbiet haremowych lalki wielki stanowią

resurs broniący je od nudów próżniactwa, nie umiarkowanego tymi nawet, tak zwanymi „robótkami”, które paniom naszym, szczególnie zaś paniom, do zabijania czasu służą... przy gościach zwłaszcza. W haremach robótkami zajmują się niewolnice, panie niczym – niczym, w całym tego wyrazu znaczeniu. Fatma-hanem była panią, miała niewolnic sześc, które szyły i haftowały i pomiędzy, którymi jedna głuchoniema służyła jej za towarzyszkę, ile razy wychodziła. Ona zaś sama nigdy w życiu w pieszczonych paluszkach igły ani szydełka nie trzymała, nigdy żadnej się roboty nie jęła, z wyjątkiem lalek, które ubierała, przebierała, rozbie-rała i w różnych jej grupach i postawach na poduszce przy pomocy szpilek zestawiała, usada-wiała i układała radząc się we względzie tym rozbujalej fantazji, karmionej widowiskami, na jakie prawowierni podczas ramazanu małżonki swoje i córki posyłają.

Fatma właśnie bawiła się lalkami, kiedy weszła Milewa.

Staruszka, zwyczajem tureckim, zrzuciła pantofle przed progiem, otworzyła drzwi i przy nich ze schyloną głową, w pokornej zatrzymała się postawie.

Fatma, okiem na nią rzuciwszy, miała na obliczu połysk uśmiechu szatańskiej radości.

Staruszka złożyła jej powitanie etykietalne.

– Chodźże, stara Nazarejko, chodź bliżej... – odezwała się hanem.

Milewa postąpiła kroków kilka i zaczęła:

– Przychodzę za rozkazaniem małżonka mego i pana złożyć ci pani...

– Chodźże bliżej!... – przerwała Turczynka. Milewa jeszcze się o kroków parę przysunęła.

– Usiądź obok mnie...

Staruszka głowę podniosła, oczami po hanem i po dywanie powiodła, wzdrygnęła się i w pewnym rodzaju przestachu w tył odsta-piła wstrzymując się gwałtem prawie od przeżegna-nia się: w imię Ojca i Syna!...

Turczynka zaśmiała się głośno.

Powodem przestachu babki bohaterki naszej była grupa z lalek na poduszce ułożona.

– Cha, cha, cha... Nie bój się, stara... To mówiąc rzuciła na poduszkę od niechcenia chustkę, którą pod ręką miała.

– Chodź... Usiądź obok mnie... Cóż tam przynosisz? Milewa pod pachą zwitek trzymała.

– Mój pan i małżonek przysłał mnie z pozdrowieniem do ciebie, pani, i z tym niegodnym ciebie upominkiem, który kazał mi u stóp twoich złożyć.

– Zielona materia!... A pokaż no mi ją... Staruszka zwitek Fatmie podała. Ta go rozwinęła i zdawało się, o wszystkim zresztą zapomniała, tak się jej i gatunek, i kolor podobały. Cieszyła się tą kitajką majowej barwy jak dziecko. Zbierała ją w rękę w fałdy i przypatrywała się z daleka; przykładała sobie materię do piersi, do kibici; obwijając ją sobie ręce, rozwinęła sztukę całą i rozrzuciła ją wzdłuż dywana, a co chwila wykrzykiwała:

– Czok ji!... czok gizel!...

I co moment staruszki zapytywała:

– Czyż nie piękna ja będę w tym stroju zielonym? czyż nie piękna? powiedz, stara!... Czerwony fez na głowie... krucze włosy w splotach w koronę... na szyi sznur pereł... do tego strój zielony, złotem szyty... czyż nie piękna ja będę?...

Milewa potakiwała machinalnie i po kwadransie, jeżeli nie krócej, pobytu swego w gości-nie, zebrała się do odejścia.

– Cóż to!... uciekać chcesz?.. – podchwyciła Turczynka. – Poczekaj no jeszcze... powiedz...

Klasnęła w rękę, kazała przynieść tatły, kawę i nargile. Staruszka od nargili się wymówiła, pokornie dziękując, kawy jednak odmówić nie mogła ani konfitur, których końcem łyżeczki zaczerpnęła.

– Powiedzże panu twemu, żeby liczył na moją łaskę za tę piękną kitajkę... – odrzekła hanem.

– Dzięki ci... – odparła Milewa.

– Ale... – dodała Turczynka przypatrując się materii – dziwię się, jak on tak dobrze i gatu-nek, i kolor wybrał...

– Wybierał, pani, dla ciebie, więc dogodzić ci się starał.
– To nie dosyć starać się, ażeby dogodzić móc. Trzeba się jeszcze znać... Czy on wybierał sam?
Zapytanie to zadając, patrzyła Milewie przenikliwie w oczy, tak, że ta oczy spuścić musiała.

– Czy sam wybierał?...

– Co ja ci, hanem, odpowiedzieć na to mogę? Nie wiem...

– Ty nie wiesz, ale ja wiem... Stary Hadzi-Petar powiedział komuś, że potrzebuje kupić dla małżonki Ali-agi materii zielonej, a ten ktoś zapytał Hadzi-Petara: czy młoda, czy piękna?... Hadzi-Petar na to: młoda i piękna... A ten ktoś do Hadzi-Petara: poczekajże, stary, ty nie widzisz już dobrze i nie masz w palcach czucia do poznania, czy materia miękka i delikatna... niechaj no wybiorę ja... I wybrał... I wiesz stara, co ci powiem jeszcze: ten ktoś ze swojej zapłacił kiesy...

Stara Milewa otumaniona została tą powieścią, z palca wyssaną. Podobny wyskok fantazji tylko w haremowej urósć mógł atmosferze.

– Cóż... czy nieprawda?

– Hanem, ty wiesz... – odrzekła staruszka machinalnie.

– Wiem ja jeszcze i to, że ten ktoś pod dachem pana twego w gościnie zostaje...

Na to już Milewa nic nie odpowiedziała.

– A jest to rycerz chrześcijański, włastelin, mnogie posiadający dobra... pełno złota w skrzyniach... pełno drogich kamieni, cienkich sukien, jedwabów... służą mu giermkowie i paziowie... On tu przyszedł, bo słyszał o wdziękach pięknej Fatmy, co wędnieje w haremie starca jak kwiat bez rosy... On tu przyszedł, gotów wyrzec się swojej wiary brzydkiej, uznać bogiem boga prawdziwego i prorokiem jego proroka i przywdziać turban...

–Milewie bębniło i szumiało w uszach.

Turczynka przysunęła się do niej, zniżyła głos i do ucha jej szeptała:

– Powiedz jemu, stara Milewo, niech się tego nie lęka, że go Ali-aga do apsu wsadzi... Niech się tego nie lęka... – Tu jeszcze bardziej głos zniżyła. – Powiedz jemu, stara, że jest ktoś, co nad nim czuwa... co ma klucz od drugich od apsu drzwi, na haremowy wychodzących ogród... co weźmie go za rękę... i wyprowadzi i...

Głos Turczynki przycichł zupełnie ginąc jak dźwięk struny, coraz to mocniej tłumikiem przyciskanej. Przez chwilę panowało milczenie. Milewa szeroko otwartymi, zdumiona, osłupiała, patrzyła na nią oczyma. Małżonka Ali-agi wpadła w jakiś rodzaj ekstazy, która jej w oczach migocącym świeciła połyskiem; nagle rzuciła się całym ciałem w tył i ręce nad głową załamała.

Potem znów się do staruszki przysunęła i znów je do ucha po cichu mówiła. Mówiła powoli, cedząc i mocno zaznaczając niektóre wyrazy:

– Powiedz mu to, stara... Ale pamiętaj: biada tobie, biada małżonkowi twemu, biada twoim dzieciom i wnukom, biada kościom ojca twego, twojej matki, jeżeli się od ciebie, o tym, com ci mówiła, oprócz niego, dowie jeszcze kto inny... Ani twój mąż, ani twoje dziecko, ani twój Bóg, tylko on wiedzieć o tym może...

Milewa głowę zwiesiła, jakby wysłuchiwała wyroku śmierci.

Turczynka zmieniła nagle ton. Klasnęła w dłonie. Kazała powtórnie podać sładko, wody i kawy i znów zajęła się materią zieloną; a gdy staruszka z dywana w celu odejścia powstała już jej nie zatrzymywała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

LIST PASZY

Tydzień cały upłynął od wypadków w powieści niniejszej opisanych, wypadków, pomiędzy którymi ostatnim była starej Milewy w haremie wizyta.

W ciągu tygodnia tego nie zaszło nic, co by zasługiwało na osobną w opowiadaniu naszym rubrykę. Gdyby wędrowiec jaki przybył w tym tygodniu do Jagodyny i obejrzał miasteczko, mógłby w podróźnej książeczce swojej zapisać, że widział zakątek, w którym kwitnie spokój, na zadowoleniu oparty. A ponieważ zadowolenie jest owocem szczęścia, więc wynik z tego taki, że do szczęścia nie potrzeba niczego innego, tylko panowania tureckiego.

Takie też było to szczęście, taki ten spokój, który w Jagodynie panował – spokój zewnętrzny, formalny, podobny do powierzchni wulkanu, przygasłego na wieków parę.

Wszystko było spokojne, zacząwszy od oblicza starej Milewy, której małżonka Ali-agi ulokowała w duszy piekło.

Stara jednak nie okazywała tego po sobie, uśmiechała się nawet do ludzi w obawie, ażeby się kto, broń Boże! nie domyślił, jakiej tajemnicy depozyt piastuje.

Spokojna była i Anka. I ona się uśmiechała – i miała do tego powód słuszny: czytała bowiem w oczach dziadka, że „on” bezpieczny. „On” stał się dla niej jednoznacznikiem imienia „Marko”, inaczej Marka w myślach swych nie nazywała. A gdy kto przy niej imię jego wymówił, czuła w twarzy gorąco, jakby ją płomienie oblewały. Jednakże spokojna była.

Spokojny był i Hadzi-Petar. Starzec miał może racji najwięcej. Udało mu się wyprowadzić Turków w pole, wprowadzić Marka do miasteczka i ukryć go w domu Jewty-bakalina, człowieka pewnego, z Turkami w dobrych stosunkach pozostającego, tylko pod względem małżonki trochę niedomagającego. To ostatnie jednak wydawało się rzeczą podrzędną. Główną były dobre z Turkami stosunki.

Jewta-bakalin był na całą turecką mahałę dostarczycielem bakalii i artykułów handlu korzennego; kajmakanowi i członkom mezliszu sprzedawał taniej niż innym; był ich powiernikiem pod względem tajemnic, odnoszących się do trunków, przez proroka zabronionych, i żył w przyjaźni z kawedzim, który w izbie obrad kawę gotowali na posiedzeniach mezliszu zabierał głos kestra-doradcy. Kir-Kosta miał dla niego względy, tak że oswoiwszy się nieco z tajemnicami miasteczka, widziało się, że kir-Kosta, kawedzi-Mustafa i bakalin-Jewta stanowili trójkę, pomiędzy którą dzielił się wpływ na sferę urzędową. Ostatni tym się jedynie od dwóch pierwszych różnił, że był Serbem – i dobrym Serbem, chociaż po sobie tego nie pokazywał i pomimo że z rodu należał do Cincarów⁴¹. Przymioty te czyniły dom jego jedynym na schronienie Marka. Hadzi-Petar mu to zaproponował i on od pierwszego słowa propozycję przyjął.

– Tylko, Jewto, wiesz... ani pary!...

– Nie gadaj ty mi, stary, tego... – odparł bakalin.

– A niewiasta twoja?..

– Język utnę, jeżeli piśnie...

Bezpieczeństwo więc było zupełne i Hadzi-Petar miał powody wielce słuszne być spokojnym zupełnie.

⁴¹ Cincary, rumuńscy wychodźcy, w Bałkanach osiedleni; trudnią się mularką i handlem.

Spokojny był i Marko. Było mu u Jewty jak u Pana Boga za drzwiami. Raport swój napisał, wyprawił i... miał cały czas i nieograniczoną swobodę do rozmyślania nad znikomością rzeczy ludzkich i różnymi innymi, temu podobnymi, przedmiotami. Prawda, że ta tylko pozostała mu swoboda. Dom bakalina stał w rynku, naprzeciw konaku i miał dół cały zajęty sklepem korzennym, a na piętrze kilka izb ciasnych i niekoniecznie czystych. Jedna z izb tych oddana została bohaterowi naszemu na użytek wyłączny. Z niej przez dziurkę w pęcherzu, zastępującym szyby w oknach, rozlegał się widok na plac obszerny, z wagą na środku; na konak z rosochatym jaworem przed głównymi drzwiami i z murowaną pod spodem szyją, będącą przedsionkiem do bramy więzienia; na studnię, przy której czasu onego Milenko beja zadusił, na szeregi sklepików, front mehany i wyloty uliczek z rynku w różne rozchodzących się strony. Z wyjątkiem jednak widoku tego, Marko rozrywki nie mógł mieć żadnej. Za domem ogrodu nie było, do którego by wyjść, posłuchać świegotu ptasząt i świeżym powietrzem odetchnąć można; ale za to sam dom, drewniany, obfitował w żyjątko dwojakiego rodzaju, których nie nazywamy przez wzgląd na przyzwoitość literacką, które atoli do pewnego stopnia i w pewnym względzie rozrywki dostarczyć mogły i dostarczały; obfitował także w świerszcze, po całych nocach w szczelinach śpiewające. Z powodu rozrywek tych położenie bohatera naszego dużo miało podobieństwa do położenia więźnia, różniąc się od tego ostatniego pod jednym szczególnie względem, pod względem staranności, z jaką bakalini-Jewta gościa swego karmił. Kiebaby rodzaju różnego, pilafy, czorby, sarmale, potrawy z rozmaitych jarzyn, wszystko to dawał mu po razy kilka na dzień, stawiając przy tym wino kraińskie i dodając za każdym razem garść orzechów, garść rodzynków, kilka daktyłów, kilka fig, trochę chałwy i rachatlukumu.

– Jedz, pij i nie frasuj się... – powtarzał stawiając przed Markiem przysmaki – a z moją niewiastą w rozmowę się nie wdawaj.

Przestroga ostatnia była zbyteczna. Marko, z natury nie nader rozmowny, nie czuł zbyt wielkiego pociągu do gawędki poufnej z bakalinią, pozostającą względem męża w stanie wojny nieustającej i pobierającą od niego ciężki w dniu każdym, raz jeden przynajmniej. Bohater nasz słyszał, jak się te odbywały operacje i domyślał się, że to o niego chodzi. Jewta bowiem za uderzeniem każdym powtarzał:

– A język za zębami trzymaj!

To mu także sprawiało rozrywkę niejaką. Zresztą myślał dużo o drogach komunikacyjnych, obchodzących główny trakt turecki, idący doliną Morawy i o wędrówkach swoich, pomiędzy którymi najbardziej zajmowała go ta, którą odbył w towarzystwie Anki. Był więc spokojny.

Spokojny był i kir-Kosta. Tego spokój wydawał się najgłębszym. Twarzą, oczami nie zdradzał troski najmniejszej. Tydzień spędził, jak spędził wszystkie tygodnie urzędowania swego, z wyjątkiem tej jednej tylko małej zmiany, że w dzień rewizji u Hadzi-Petara opatrzył brzegi Lewaczki i to samo powtórzył na drugi dzień o świcie. Pasterze, co owce na wzgórze wypędzali, widnieli go chodzącego z kijem w ręku, co krok się zatrzymującego i schylającego. Szukał czegoś na piasku i na trawie. Poszedł na drugi brzeg rzeki i badał rowy ogrodów, płoty i ślady na pulchnej ziemi winnic. Często się zatrzymywał i głową kręcił. Wodził oczami po widnokręgu, jakby zapytywał o co nieba. W końcu westchnął, laseczką w powietrzu wywinął i do miasta powrócił. Czy odkrył co, czy nic nie odkrył? czy się czego domyślił, czy się nie domyślił niczego? z oczu jego nikt by nie wyczytał, Anki nie wyjmując. Tajemnica spostrzeżeń, jakie poczynił, spoczywała w duszy jego, niby kamień na dnie studni. I w duszy to zapewne szukać należało jakichś odmian, które się na zewnątrz nie zdradzały. Jak dawniej uczeszczał na obrady mezliszu, jak dawniej w tej samej dnia porze zasiadał w kawiarni na rynku i pałac powoli nargile przesuwiał w palcach różaniec, z którym się nigdy nie rozstawał. Jak dawniej odwiedzał rajasów, utyskiwał na ich biedę i czynił przed nimi półwynurzenia, odnoszące się do ciężaru jarzma tureckiego.

Wszakże przebiegły a bystry spostrzegacz mógłby na Greku dopatrzeć zmian pewnych. Aleby musiał posiadać oko nadzwyczajnie bystre, mające w spojrzeniu miarę i wagę niesłychanie czułe. Zmiana bowiem, jaka zaszła, odbyła się w konchach uszów kir-Kosty, które zrobiły się jakoś pełniejsze, większe i bardziej niż przedtem wydęte. Powiadają, iż organa ludzkie urabiają się i rozwijają odpowiednio do potrzeby. Być przeto może, iż potrzeba nateżenia organu słuchu to sprawiła, że konchy uszów kir-Kosty przybrały kształty odpowiednie woli, która tę potrzebę nateżyła, rozwinęły się stosownie do akustycznych wymagań, ułatwiających skupianie dźwięków. To bowiem pewna, że kir-Kosta po powrocie z powtórnej wycieczki nad brzeg rzeki stał się niezmiernie uważny na wszystko, co się gdzie mówiło. Gdziekolwiek był, a szczególnie na ulicy, nastawiał ucha i wyteżał słuch. Idąc zatrzymywał się i słuchał. Ludzie przechodzący spostrzegali często zniechęca postępującego za nimi tak cicho, że słyhać nie było, jak się zbliżył. Częściej jeszcze przytrafiało się to kobietom.

Podpatrzono także jakąś postać tajemniczą, włóczącą się po ogrodach rajów wieczorną porą i podchodzącą pod domy, kiedy rodziny do wieczery zasiadały. Może to jednak było przywidzenie; może to był wytwór przesądnej fantazji, skłonnej do wiary w zjawiska nadprzyrodzone. Bądź co bądź, w postaci owej tajemniczej, która się tu i owdzie ku wielkiemu dzieci i dziewcząt przestraszowi ukazywała, nikt nie dostrzegł podobieństwa do kir-Kosty. Co jednak nikomu w oko nie wpadło, to to, że kir-Kosta zatrzymał się raz parę przed domem bakalina-Jewty, kiedy Jewta swoją niewiastę tłukł i szedł stamtąd do Ormianina, co pachnidła sprzedawał, na rozmowę, w niezrozumiałym prowadzoną języku. Zresztą spokojny był zupełnie.

Spokojnymi byli wszyscy serbscy i tureccy mieszkańcy Jagodyny, a najspokojniejszą była ta ich częśćka wyborowa, co władzę najwyższą reprezentowała. Mezlisz zgromadzał się regularnie. Członkowie jego drzemali na ławie i po przedrzemaniu się powracali poważnie do domów, oddając się drzemce dalej, przerywając takową kilkakrotnie w regularnych odstępach czasu jedzeniem i kończąc snem. Turcy w normalnym bytowaniu swego stanie mają wielkie do węzów boa podobieństwo, Tryb życia państwa, które zbudowali, jest ten sam, zupełnie. Rzucą się na zdobycz, obwija ją, zgniata, oślinia, pożera i trawi zasypiając w czasie procesu trawienia. Wówczas wszyscy śpią – śpią chodząc, siedząc i leżąc, śpią nic nie robiąc i coś robiąc, śpią czynności ważne i nieważne, i urzędy publiczne sprawując. Jest to stan bardzo błogi wywierający ten skutek, że mężowie, zajmujący w Turcji dostojęstwa wysokie lub obdarzeni przez los zamożnością, rozrastają się wszcz w rozmiarach gdzie indziej nieznanych. Gdyby nie opium i haszysz, wysuszające ciała wyznawców proroka, wyższe sfery społeczeństwa muzułmańskiego składałyby się z ludzi otyłości monsturalnej. Samo atoli używanie tych środków jest dowodem potrzeby snu w narodzie, znającym dwie jeno czynności państwowe: jedzenie i trawienie.

Turcja znajdowała się właśnie w porze trawienia, kiedyśmy bohaterów powieści niniejszej na scenę wprowadzili i tym tłumaczy się dostatecznie ten spokój, jaki w tureckiej części w Jagodynie panował. Wprawdzie dochodziły posłuchy o wojnie jakiejś, toczącej się nad Prutem, nad Dniestrem; ale:

Prut?... Dniestr?...

Turcy, zamieszkujący w Jagodynie, nie wiedzieli dobrze: czy to rzeki? czy jary? czy jeziora? czy też miasta lub kraje? Drzemali więc sobie spokojnie.

Drzemali i drzemiac odebrali odpowiedź z Belgradu na raport paszy, przy którym, jak sobie przypominamy, przesłane były paszy mapa i list, zabrane Markowi. Goniec powrócił bardzo prędko. Zazwyczaj podobne ekspedycje potrzebowały do załatwienia czasu rok albo i więcej. Ta zaś załatwiona została w tydzień. Był to wypadek nadzwyczajny i zadziwiający. Toteż członkowie mezliszu zadziwili się, lecz po turecku... bardzo poważnie. Każdy oczy szeroko otworzył i głową lekko pokiwał – i, zapłaciwszy w sposób ten zdziwieniu dług, powrócił do obojętności dawnej. Cóż bowiem było w tym nadzwyczajnego? Czy nie Ałłach

kieruje wszystkim na świecie? Czy dla Ałłacha jest co niepodobnego? Jemu, co świat stworzył i pisze dekreta losu dla najdrobniejszej rzeczy, łatwo było zapisać w księdze przeznaczeń, iż raport przez jagodyńskiego kajmakana wyprawiony ma leżeć w kancelarii paszaliu nie rok ani miesiąc, ale tylko dzień jeden.

– Ałłach jest wielki, jest potężny... Nie masz Boga, tylko Bóg, a Mahomet jest prorokiem jego...

Z tego stanowiska rozpatrywany, fenomen ten nie był nadzwyczajnością żadną. Członkowie rady się zeszli, miejsca swoje zajęli i pograżyli się w milczeniu. Posiedzenie nie miało celu innego, tylko wysłuchanie odpowiedzi paszy z Belgradu.

Kitabdzi włożył na nos wielkie okulary, poprawił się na siedzeniu, rozciął kopertę nie tykając pieczęci i wydobywszy i rozłożywszy arkusz papieru, zapisany na jednej stronicy, począł mu się przypatrywać jak obrazowi. Przechylał głowę na prawo i na lewo, oddalał pismo od oczu, to znów je przybliżał, patrzył na nie wprost i z ukosa i potem dopiero do czytania się zabrał. Pierwej atoli czytał po cichu. Poznać to było można po ruchu ust i po dźwiękach zgłoszek pojedynczych, które się kiedy niekiedy z ust kitabdżego wydzierały. Czytał, miarkował, myślał, aż w końcu drzemiącym członkom mezlisza dał znak chrząknięciem głośnym.

Chrząknął raz; chrząknął raz drugi i trzeci.

Członkowie mezliszu powieki popodnosili; kajmakan z cybucha pociągnął i kłęb dymu z ust wyrzucił. Kitabdzi zaczął czytać, a raczej bąkać głośno.

Pisanie paszy składało się z trzech części. Pierwsza była pewnym rodzajem dedykacji, zaadresowanej do kajmakana, tytułowanego „rozumnym, prawym i pełnym godności”; koniec jej zawierał życzenia, ażeby Ałłach użył Ałemu-adze wszelkiej pomyślności i długiego życia. Treść drugiej części była mniej więcej następująca:

„Wzięliśmy przed oczy nasze, pełne jasności, papiery, które nam przysłałeś, mądry Ali-ago. Piszesz, że papiery te, z których jeden zapisany ohydny jakimś pismem, a drugi zasmarowany jakimś znakami i kreskami, mającymi podobieństwo do węzów i batogów, zabrane zostały pewnemu giurowi-włóczędze. Wolelibyśmy, żeby zabrany został giur-włóczęga, obciążony kajdanami i osadzony w apsie, jak sprawiedliwość najpotężniejszego, największego i najślawniejszego (któremu oby Ałłach długiego udzielił życia!) padyszacha każe, aniżeli te papiery, do których odczytania potrzeba być takim głupim i ciemnym, jak głupimi i ciemnymi są niewierni. Rozkazujemy ci przeto, rozumny, prawy i pełen zacności kajmakanie Ali-ago, ażebyś się więcej podobnymi głupstwami nie bawił. Przypominamy ci przy tym poprzedni nasz rozkaz, odnoszący się do imania giurów i do bacznego czuwania nad rają”.

Część ostatnia była zepilogowaną parafrazą pierwszej. Członkowie mezliszu w milczeniu poważnym wysłuchali reprimendy tej, wystosowanej do ich przewodnika. Ten ostatni przyjął ją podobnie w milczeniu i z powagą należną. Jeden tylko nieczłonek mezliszu, kawedzi, okazywał w czasie czytania oznaki niecierpliwości, pochodzącej zapewne stąd, że opinia paszy o papierach podkopywała opinię, jaką miano o jego (kawedżego) rozumie. Na to jednak rady nie było. W przekonaniu Turków od krańca świata, gdzie słońce wschodzi, do drugiego krańca, gdzie zachodzi, nie znajdzie się ani jeden człowiek, co by przypuszczać mógł, ażeby prosty kawedzi miał mieć rozumu więcej aniżeli pasza. Sam interesowany nie dopuściłby się herezji podobnej i dlatego kawedzi, gdy kitabdzi czytanie skończył, odezwał się:

– Słowa paszy są słowami mądrości czystej...

A dla uratowania reputacji własnej dodał:

– To, co mówiłem o znakach na papierze, odnosiło się do papieru, będącego w posiadaniu derwisza... prawowiernego... Co prawowierny, to nie jakiś giur... Mądrość giura jest ciemnotą...

Stanął przy kominie, lewą ręką w bok się wziął, a prawą ogień poprawiał.

Kir-Kosta, obecny pytaniu i odpowiedzi paszy, zachował pełne uszanowanie milczenie, trzymając wzrok zawieszony na obliczu kajmakana. Ten ostatni zwrócił na niego oczy i wy-

konał głową lekki rzut, oznaczający zapytanie. Kir-Kosta zanadto dobrze znał służbę swoją, ażeby potrzebować miał zapytania ustnego. Zrozumiał, o co chodzi i odpowiedział głowę pochylając.

– Szukam, effendim, śledzę z gorliwością jak największą... Pomiędzy rają spokój, a co do włóczęgi tego, wiem z pewnością, że z miasta nie wyszedł...

Następny gest kajmakana oznaczał, co następuje:

– Nie wyszedł, ale wyjść może...

– Nie wyjdzie... – odparł kir-Kosta.

Na tym skończyły się obrady, które trwały godzin trzy. Mężowie, co w nich udział brali, udali się na wypoczynek.

Moglibyśmy naśladować ich i rozdział zakończyć, dając w ten sposób możliwość wypoczęcia czytelnikowi, który powieścią niniejszą zajmować się raczy, gdyby nie potrzeba rzucenia na opowiadanie nasze trochę światła historycznego. „Trochę” powiadam wyraźnie, to jest tyle, ile potrzeba do zdania sobie sprawy z osnowy zdarzeń – do zrozumienia na przykład powodu tego pośpiechu, z jakim pasza belgradzki odpowiedział kajmakanowi jagodyńskiemu.

Żeby całą nadzwyczajność pośpiechu tego zrozumieć, opowiem wypadek jeden z czasów późniejszych, z epoki wojny pomiędzy Turcją a Egiptem. Armia turecka wystąpiła w ubraniu letnim; wojna zaciągnęła się na zimę; komenda naczelnika odniosła się do seraskieratu z żądaniem ciepłego dla żołnierzy odzienia. Minęła jesień, minęła zima; Ibrahim pasza pobił wojska tureckie, a seraskierat dał odpowiedź na wiosnę, rozkazując, ażeby przez wzgląd na niskość temperatury... spodnie białe przefarbowano na błękitne.

Jeżeli przeto w okolicznościach takich seraskierat taki okazał pośpiech, cóż to za okoliczności być musiały, które paszę belgradzkiego do załatwienia sprawy od razu zmusiły!

Były to okoliczności groźne.

Austria ścigała wojska i posuwała je ku granicom tureckim. W jakim celu? Cel leżał jak na dłoni. Państwo ottomańskie miało na karku wojnę z cesarstwem rosyjskim. Stosunki polityczne we względzie tak zwanej kwestii wschodniej, nie będącej bynajmniej rzeczą nową – jak się niektórym wydaje – odmienna nieco aniżeli dziś miały fizjonomię. Inny był rozkład antagonizmów gabinetowych. Nikomu ani przez myśl nie przechodziło, ażeby Austria mogła kiedy mieć wspólne jakie z Turcją interesa. Mocarstwo to uważano po dawnemu, to znaczy, widziano w nim najazd na Europę, najazd barbarzyński, cierpiany dlatego jedynie, że posiadał potęgę, którą przełamać było trudno. Pokuszenia; jakie we względzie tym czyniono, rozbijały się o spoistość militarnej organizacji tureckiej, czerpiącej siłę moralną w fanatyzmie rodzaju dwojaczego: religijnym i politycznym. Pierwszy i drugi przedstawiał się pod postacią namiętności. Muzułmanie namiętnie miłowali wiarę swoją, taką ponętą! i namiętnie kochali się w podbojach. Spoistość organizacji militarnej w połączeniu z tą namiętnością dwojaką czyniła z niej rodzaj lawy wulkanicznej, która się lała i lała i której zatrzymać żadne pojedyncze wystąpienia, żadne sojusze nie były w stanie.

Póty jednak dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Potęgą tego, co turecka, rodzaju we własnym łonie słabości zaród nosi. Czym bowiem była spoistość militarna? – formą; czym była namiętność religijno-polityczna? – fikcją. Siła przeto fizyczna potęgi tej, tak długo groźnej i dla tak wielu narodów fatalnej, była czysto formalna; siła zaś jej moralna – fikcyjna. Wystarczyć to mogło na długo, ale nie na zawsze. Toteż niepowodzeń trzeba było tylko ażeby się ona zachwiała; a raz zachwiana, słabnąć coraz to bardziej musiała stawiając na miejscu, które zajmowała, próżni rodzaj pewien. Ona tam była jeszcze, z nią zaś razem była i próżnia. Jest to fenomen dziwny: spólistnienie panowania tureckiego i nicestwa. Wszystko i nic razem, spojone związkiem małżeńskim! Każde państwo, jakkolwiek sformowane, posiadało uznanie państw innych, miało jakieś cechy prawowitości, nakazujące je szanować. Państwo tureckie nie posiadało uznania i nie miało prawowitości cech żadnych. Istniało w międzynarodowym

względnie jako fakt; nie istniało jako prawo obowiązujące. Stąd państwom innym, a przede wszystkim sąsiednim, chodziło o usunięcie faktu tego i o postawienie na miejsce jego innego, czyli: o zapełnienie próżni sobą.

W epoce powieści naszej państwo ottomańskie było już bardzo słabe. Z daleka czuć się od niego dawała woń trupia; ale – wyraźnie powiadamy – „od niego”, od państwa ottomańskiego, nie zaś od ziem i narodów, nad którymi się władanie tureckie rozciągało. Ziemie przedstawiały się pod postacią kopalni nietkniętych, nieprzebrane skarby w łonie swoim ukrywających; narody – pod postacią kontrybuentów z kieszeniami tak głębokimi, że do ich dna Turcy przez ciąg czterech wieków sięgnąć nie mogli, pomimo że pod względem tym bynajmniej skrupulatnością się nie powodowali.

Próżnia więc, o której wspomnieliśmy wyżej, nie była pozbawiona pewnych powabów i ponęt, zasługujących na to, ażeby się po nie schylić.

Tron cesarstwa niemieckiego zajmował podówczas Józef II, człowiek poglądów szerokich i zdolności niepospolitych. Klęski, zadane Austrii przez Fryderyka Wielkiego, były dla Józefa II podniecią dla myślenia o podniesieniu uroku cesarstwa wewnątrz i zewnątrz. Wewnątrz owocem tej pobudki były reformy, na zewnątrz była wojna przeciwko Turcji, przedsięwzięta w celu pomknięcia granic państwa w głąb Półwyspu Bałkańskiego, jak można najdalej.

Monarcha ten atoli nie rzucił się w wojnę tę na łeb na szyję. Począł na dywersję i nie rozpoczynał kroków zaczepnych, aż się przekonał, że działania wojenne na dobre się nawiązały pomiędzy państwem ottomańskim a Rosją. A zanim do otwartej przyszło deklaracji, starał się tak zarządzić, ażeby nic, a przynajmniej jak najmniej, na los ślepego puszczać trafu. W celu tym wydobyto z archiwowego opylania stosunki zakulisowe, jakie gabinet wiedeński utrzymywał niegdyś z poddanymi Wysokiej Porty – stosunki, dzięki którym osiągnięto pierwsze rzeczywiste tureckiej potęgi zachwianie. Mogły więc być one wielce pożyteczne, ale zachodziła tu trudność jedna maleńka, którą był czterdziestosześcioletni pokój. W przeciągu czasu tego pozrywało się nitek wiele w sieci stosunków, pokrywających dawne posiadłości tureckie. Potworzyły się dziury wielkie. Serbia mianowicie z powodu wyznania wschodniego, uzależnionego od patriarchatu konstantynopolskiego, mającego dużo ważnych powodów trzymania raczej z Wysoką Portą, aniżeli z gabinetem wiedeńskim, stała się dla tego ostatniego do pewnego stopnia rodzajem terrae incognitae, tajemniczej zwłaszcza pod względem usposobienia mieszkańców chrześcijan odnośnie do państwa niemieckiego. Nie wątpiono w Wiedniu, że Serbowie Turków nie miłują; nie wiedzano jednak na pewno, czy kochają Niemców.

Czy kochają Niemców? – Rzecz się zahaczała o to, co stanowiło właściwie kwestię bardzo podrzędną, gdyby nie okoliczność, że dwór wiedeński zrozumiał dobrze korzyść posiadania w czasie wojny sprzymierzeńców pewnych i bezpłatnych, dzierzących w rękach swoich wszystkie komunikacje nieprzyjaciela i mogących działać na jego tyłach. Ta okoliczność kwestię podrzędną czyniła bardzo ważną i nakazywała na miejsce idei „państwa niemieckiego” podsuwać ideę bądź „chrześcijaństwa”, bądź też „ojczyzny serbskiej”. Zamaskowanie idei jednej drugą tę miało korzyść, że do niczego wyraźnie gabinetu wiedeńskiego nie zobowiązywało. Powierzył rzecz tę sztabowi wojskowemu, ten zaś wydelegował pułkownika Michajlewicza, Serba z rodu i z uczuć, powierzając mu sprawę całą. W ten sposób sprawa ta stawała się czyisto wojskową. Dla Serbów atoli, a zapewne i dla pułkownika, miała ona znaczenie inne, donioślejsze i ważniejsze.

Turcy nie domyślać się nie mogli, że jeśliby do wojny przyszło, gabinet wiedeński użyje sposobu, którego używał zazwyczaj w wojnach poprzednich. Nie byli oni tak dalece ograniczeni, ażeby pojmować nie mieli korzyści, jaką sposób ten przeciwnikom ich zapewnia. Starali się przeto zapobiec temu z góry, ale tak, ażeby – jak to powiadają – „nie wołać wilka z lasu”, to jest nie dać rai poznać, że ona szkodliwa być może. Z drugiej znów strony chodziło im także o niedanie dworowi wiedeńskiemu pretekstu do zrywania stosunków względności

sąsiedzkiej. Mając na karku wojnę jedną, nie życzyli sobie drugiej. Z tej to przyczyny wstrzymywali się od wszelkich demonstracji, mogących mieć wyraźny lub ukryty pozór przygotowań wojennych i ostrożności szczegółowych, odkładając tę rzecz do ostatka. Wojska atoli tureckie gromadziły się powoli w Bośni, w Starej Serbii, w okolicach Niszu, ściągały się bez hałasu, maskując się spokojem, jaki utrzymywano w prowincjach, bezpośrednio do granic państwa niemieckiego przylegających. W celu to zapewne tym lepszego zamaskowania przygotowań tych, władze wyższe tureckie nakazały władzom niższym mieć na oku raję i ściągac włoścogów obcych. Obcy włoścogowie byli szczególnie niebezpieczni, mogli bowiem być wysłanymi w celach zbadania stanu sił zbrojnych tureckich, tej tajemnicy, która dla stron, gotujących się do wojny, stanowi punkt najdrażliwszy. Jedna dobra wiadomość wyrównywa niekiedy wygranie bitwy. Władze przeto tureckie miały rację jak najzupełniejszą, zwracając baczenie na przybyszów z lewego brzegu Dunaju, na którym ściąganie się wojsk świadczyło o istnieniu zaczepno-odpornego przymierza, zawartego pomiędzy Józefem II a Katarzyną II. Nie dziw więc, iż pasza belgradzki pośpieszył z rychłą kajmakanowi jagodyńskiemu odpowiedzią.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

WIDZENIA STAREJ MAJKI

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć, jej przyjscie wieszca odgadnie źrenica” – powiada poeta, odnosząc i wojnę do kategorii tych samych plag, jaką zaraza jest. I wojnę może wieszca odgadnąć źrenica, tym nawet łatwiej, że jak twierdzą podania gminne, nie przychodzi ona nigdy, nie poprzedziwszy się znakami na niebie i na ziemi. Na niebie pojawiają się komety różgami ognistymi straszące, sypią się gwiazdy, pożogi zapowiadające; na ziemi psy wyją, puszczyki jęczą, stada kruków przeciągają nad miejscami pobojowisk przyszłych. Tak pono bywało dawniej. Obecnie to się zmieniło. Cywilizacja, zerwawszy tajemniczy związek pomiędzy światem cielesnym a światem duchów, spędzić potrafiła prorocze światła z nieba i milczenie nakazała psom, puszczykom i krukowi. Dawniej jeszcze i umarli mieszały się do spraw ziemskich: cywilizacja i tych w grobach zamknęła.

Ale nie tak bywało dawniej.

Dawniej... Dostyc jednak!... Spostrzegam, iż rozpoczynam – rozprawę, traktat o prognostykach, a odstępuję od materii powieściowej. Traktat więc urywam, a do powieści wracam.

Doprowadziliśmy ją do przedednia wojny – do tej właśnie chwili, w której pokazać się były powinny: komety z różgami, gwiazdy spadające, psy wyjące, puszczyki wrzeszczące i kruki, za żerem się kręcące. Poszukiwałem śladów tych fenomenów po kronikach i historiach: rozpytywałem o nie na miejscu; starałem się ułoić podania jakies: – poszukiwania moje, rozpytywania i starania były nadaremne. Nie poszcześciło się mi pod względem tym.

Nie wiadomo, czy jagodynianie przeczuwali co i czy im wróżby jakie zapowiadały bliskość początku nowej dla Serbii ery. Z wyjątkiem owej postaci tajemniczej, co przez kilka wieczorów straszyla dziewczynki i dzieci, nic nie zaszło takiego, co by do rodzaju nadprzyrodzonych zaliczyć się dało zjawisk. Jest to bowiem rzeczą zwyczajną, a raczej jest to właściwością tureckiego bytu: gdzie się osiedlają Turcy, tam przebywają i puszczyki. We wioskach najmniejszych i w miastach największych towarzyszą one wyznawcom proroka jak cień, co za ciałem chodzi. Byle tylko Turcy gdzie zamieszkali, natychmiast głos tych ptaków złej wróżby rozlega się w powietrzu, mieszając się ze śpiewaniem słowików, skrzeczeniem żab, biciem przepiórek, paniem kogutów i głosami wszystkimi innymi, biorącymi udział w owym hymnie chóralnym, którym natura brzmi na cześć Stwórcy wszechświata. Nie przyczynia się on wiele do harmonii hymnu, ale za to służy jako dowód owego pustkowania – owej próżni, o której w poprzednim wspominałem rozdziale – która tureckie cechuje panowanie. Wiadomo bowiem, że puszczyki lubią pustki.

Śpiewanie przeto puszczyka nie zapowiadało nic – nie wróżyło jeszcze klęski innej nad tę ciągłą, którą stanowiło jarzmo obce, a do której się jagodynianie byli już przyzwyczaili po trosze. Woleliby, ażeby nie istniała ona, lecz umieli się do niej stosować jakoś, trzymając się tej praktycznej reguły: „gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleżeć”. Leźli więc powoli z żywotem, przeplatając go i urozmaicając pracą, zapewniającą im wewnętrzną, domową niepodległość, bardzo ograniczoną, bo nie wychodzącą poza obręb rodzinnego kółka i bardzo względną, bo zależną od kaprysów tureckich – niemniej jednak miłą, bo przez liczne podzielaną grona. Serbia, zepchnięta z politycznej widowni, ukryła się, że tak rzekę, pod strzechą

domową i znalazła tam schron pewny i bezpieczny Rodzina serbska przedstawiała w miniatu-
rze naród, w całej pełni swej, status in statu, mający za podstawę siłę biernego, niemniej
przeto skutecznego oporu, który był całą przyszłości rękojmią. Co tam się działo na zewnątrz
jej sfery, ona to przyjmowała, jak się przyjmuje chorobę, nie uznając tego za stan normalny.
„Tak pozostać nie może” było dla niej pewnym rodzajem latarni morskiej, przyświecającej z
daleka tej nawie olbrzymiej, którą mianowała „otaczbiną” swoją i na której burza strzaskała
rudel, podarła żagle, połamała maszty. Nawa jednak pomimo to nie tonęła, światło latarni
błyszczało w dali – i rodzina otuchy nie traciła.

Daliśmy już czytelnikowi poznać ów światek, jakim rodzina serbska była. Tu przeto do-
damy tylko dla uczynienia znajomości dokładniejszą, że światek ów miał w sobie coś dziwnie
uroczego. Ktoś, co by mógł do niego się wkraść w czapce-niewidziance, nie mógłby nie za-
chwycić się harmonią, jaka panowała w gromadce, przedstawiającej społeczność w streszcze-
niu; nie mógłby nie pomyśleć sobie:

– Jakżeż ludzie ci potrafili stworzyć sobie szczęście w nieszczęściu!

Mówimy tu szczególnie o rodzinie Hadzi-Petara. Nie masz bowiem reguły bez wyjątków i
rozminęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy utrzymywać mieli, że w każdej rodzinie serbskiej
panowała harmonia doskonała. Zdarzało się rozmaicie. Ludzie nie są, aniołami. Lecz co się
tyczy domu Hadzi-Petara, było w nim, niby w raiku ziemskim, zgodnie, dobrze, zacisznie – o
tyle, rozumie się, o ile kaprysy panów kraju nie wnosiły weń popłochu. Lecz na podobne wy-
padki miano w pogotowiu, jak widzieliśmy, środki zaradcze. Była to rozmaitość, która nie
nadwierała harmonii i nie podkopywała spokoju i szczęścia, malujących się na postaciach
starszych i młodszych członków tego światka wielogłowego, któremu życie tak płynęło, jak
płyną wody ruczaju, ukrytego w trawach doliny. Coś tam czasem wpadnie; wody się na mo-
ment zamącą – i znów się oczyszczają – i znów płyną.

Tym „czymś”, co wpadło, było przybycie Marka.

Marka nie stało... – no... i może by się wody tego ruczaju oczyściły, gdyby nie... wiadoma
okoliczność – okoliczność, która z jednej strony dotknęła starą majkę, z drugiej młodą die-
wojkę. Z wyjątkiem atoli dwóch tych osobistości, wszystkie zresztą inne powróciły do stanu
dawnego spokoju, tłumaczącego się regularnym i swobodnym funkcjonowaniem zwyczajne-
go trybu życia. Dziadek, ojciec i stryjowie Anki pilnowali tego, co Anglicy nazywają „busi-
ness”, a na co Serbowie mają w języku swoim techniczne wyrażenie; „zanat”. Bracia jej, ro-
dzeni i stryjeczni, którym wiek na to pozwalał, terminowali i praktykowali w rzemiosłach lub
handlu. Matka i ciotki, każda w swoim sposobie, funkcjonowały niby kółka w zegarku. Stana
na przykład była tkaczychą – pod szopą na podwórzu stał warsztat, na którym wyrabiała płót-
na i ręczniki dla rodziny całej; bratowe zaś jej i synowice dostarczały jej przedziwa. W spo-
sób ten robiło się wszystko. Jedno drugiemu pomagało, a owoce pracy szły na użytek wspól-
ny. Sama tylko Milewa posiadała przywilej uwalniający ją od pracy obowiązkowej, a to z
powodu wieku późnego, starganych sił i osłabionego wzroku. Staruszka stanowiła wyjątek.
Nie wymagano od niej niczego, ale za to rodzina cała zachowywała się względem niej z usza-
nowaniem jak największym i z jak najgłębszą czcią – cała, powiadana, rodzina, nie wyjmując
Hadzi-Petara, dla którego stara jego niewiasta była rodzajem pewnym świętości domowej.

– Moja stara – mawiał – napracowała się... niech spoczywa...

Milewa jednak bez zajęcia pozostawać nie mogła. Przyzwyczajona do pracy za młodu, nie
umiała się bez niej obejść na starość. Nie mogąc pracować fizycznie, zaprzętnęła sobie umysł,
zajęła imaginację, oddała się życiu rozmyślań, zasilanych wspomnieniami uzbieranymi na
drodce żywota długiego i wrażeniami, które silniejszy wpływ na jej umysł wywarły. My
zresztą znamy już ją trochę z tej strony.

Owóż ona, jak powiadamy, stanowiła wyjątek.

Zazwyczaj, wstawszy rano, razem z rodziną całą, brała się do jakiejś pracy. Posunęła pokaszlując w ten kąt i ów, chciała pomóc coś tej i owej; lecz się prędko przekonywała, że siły nie dopisują jej. Chwytała się wówczas igły lub wrzeciona.

– Och!... oj!...

Ból w krzyżach nie dozwalał jej schylać się nad szyciem ani rzucać ręką przy przędzeniu. Zaniechać musiała jednego i drugiego, usiąść, poduszkami obłożona i nie bez uczucia zazdrości przyćmionym wzrokiem patrzeć, jak młodsze od niej synowe jej i wnuczki krzątają się, szyją, przędą; piorą, żarna obracają, w stępach biją etc. Zazdrość atoli niedługo w sercu jej gościła. Widziała i uznawała w tym wolę Bożą i wola owa służyła jej za punkt wyjścia do tworzenia sobie obrazów, malowanych pędzlem fantazji. Powiedzieć można, iż śniła na jawie, zaciskając ręce, które miała zwyczaj na piersiach trzymać złożone, i błędząc wzrokiem po niebie, na którym wypatrywała Boga, wzywała go na opiekuna dla dzieci swoich i wnuków, dla swojej Serbii. Od dzieci do wnuków, od wnuków do Serbii prowadziła staruszkę droga prosta. Dodać potrzeba, iż dochodziła do tej ostatniej pod przewodnictwem uczucia wdzięczności za szacunek, jakim ją otaczano. Chciała czymś wynagrodzić rodzinie swojej. Chciała uprosić dla niej u Boga jedynej pewnej przyszłości ich rękojmi, tkwiącej całkowicie w niezależności kraju. Fantazjowania więc staruszki były nie czym innym, jeno ciągłą, nieustanną modlitwą, obejmującą sferę coraz to szerszą. Modlitwa jej zaczynała się od westchnienia, kończyła na widzeniach.

Tak bywało w czasach zwyczajnych, kiedy pod strzechą Hadzi-Petara życie snuło się trybem regularnym, niby nitka z kłębka rozwijana. Lecz na nitce tej znalazł się nagle węzeł, który staruszkę ze zwykłej wytrącił kolei. Polecenie Fatmy-hanem wprawiło jej umysł w stan chorobliwy, gorączkowy. Każdy kobiety tej wyraz brzmiał jej w uszach, jakby go słyszała nieustannie; każda niemal sylaba zamieniała się w duszy jej w chóry dźwięków nadnaturalnych, których ona nie rozumiała nawet.

Milewa nie potrafiłaby opowiedzieć, czego właściwie małżonka kajmakana od niej chce. Mówiła jej coś o Marku, o więzieniu, o kluczu do apsu, o drzwiach do ogrodu... mówiła o wytepieniu jej rodziny i tajemnicy. Wszystko to splotło się w umyśle jej w całość jedną z dawnymi, codziennymi jej modlitwami, snami i widzeniami i stworzyło w niej dziwny odmět, w którym migały się postacie świętych, męczenników, bohaterów, nieboszczyka Hadzi-Wuka, Milenka i tego przybysza obcego, będącego mimowolnym powodem całej tej zmiany. Postacie te przesunęły się jej przed oczami we śnie i na jawie.

– Marko?... Marko?... – powtarzała sobie w duchu, zadając samej sobie pytania – dlaczego go Turcy poszukują? dlaczego go Fatma-hanem za rękę wyprowadzić chce?

Pierwsze wydawało jej się straszne, drugie jeszcze straszniejsze. Fatma przedstawiała się jej w postaci szatana, czyhającego na duszę przybysza nieznanego.

– Turczyn gubi ciało, ona duszę...

Zguba duszy Serba! – Czy co okropniejszego być mogło?... Milewę nie tyle by przerażało ukrzyżowanie lub wbicie na pal. Uważała to bowiem jako stratę na ziemi, lecz korzyść w niebie – jako pomnożenie tego zastępu orędowników, stojących przy tronie Najwyższego i opiekujących się krainą jej. Tłumaczyła sobie opiekę tę po swojemu i dlatego kosztem resztek życia własnego gotowa by była w razie potrzeby ratować duszę Marka.

Ta jej atoli gotowość była na nic.

Trzeba było innych szukać sposobów. Ale – jak?... gdzie?... w czym?...

Wyobraźnia staruszki pracowała. Tworzyła obrazy dziwne, coraz dziwniejsze jedne od drugich. Wyobrażała sobie hufce niebieskie, wkraczające do Jagodyny i Michała archaniola na czele, z mieczem ognistym w dłoni, wypędzającego Turków. Gdy atoli imaginacja jej spokojniejsza nieco była, gdy się znajdowała w nateżeniu stopnia niższego, widziała Milenka wyrzucającego, panów kraju z miasta, jak się z gumna wyrzucają zgniłe snopy przez płot.

– Przyjdzie tu... przyjdzie... – mówiła do siebie półgłosem.

Anka ją podsłuchiwała i zapytała:

– Kto?...

Staruszka za odpowiedź całą głową pokiwała.

– Przyjdzie... – odezwała się raz głośno, kiedy ruczak⁴² zgromadził całą jej rodzinę w grono jedno.

Hadzi-Petar spojrział na nią wzrokiem zafrasowanym nieco; Stana rzuciła na pół od niechcenia pytanie:

– Kto, majko?...

– Kto? Czyż nie wiecie?

– Nie spodziewamy się nikogo...

Milewa się uśmiechnęła, tym uśmiechem, co to oznacza powątpiewanie co do prawdziwości wyrazów usłyszanych.

– O niczym, majko, nie wiemy... – odparła Stana.

– Przyjdzie dziś...

– Ta kto?

– Jak słońce zajdzie...

– Któż taki?

Hadzi-Petar patrzył na starą swoją małżonkę wzrokiem, w którym się malowało politowanie.

– Przyjdzie... przyjdzie...

– Któż przecie?... – zapytała synowa inna.

Staruszka spojrzała na Ankę. Dziewczyna oblała się zrazu rumieńcem; lecz wnet rumieniec, niknąc jak cień od rozchodzącego się pod słońcem dymu, ustąpił miejsca bladości, która, niby kredowa powłoka, policzki jej okryła. Czy ona co w spojrzeniu babki wyczytała?... Cóż by wyczytać miała?... Oczy staruszki były, zdawało się, bez wyrazu, przyćmione, mgłą zaszele. Coś jednak Ankę, jak to mówią, w serce tknęło.

Milewa znów głową pokiwała i wymówiła wyraz jakiś, który był wyrazu cieniem, albowiem nie nadała mu dźwięku. Usta jej poruszyły się. Wzniosła wzrok do góry.

Hadzi-Petar ręką machnął i wyrzekł:

– A!...

Ruczak zakończył się w milczeniu. Reszta dnia upłynęła na zajęciach zwykłych. Wieczorem znów się cała zgromadziła rodzina przy wielkim ognisku, które od komina światło na izbę rzucało.

Staruszka wyjrzała przez drzwi na podwórze i zwracając się do Żiwka zapytała:

– Czemużeś na podwórzu ognia nie naniecił?

– A na cóż to, majko?... – odparł zapytany.

– Aniś koźlęcia nie zarznął?...

Żiwko nic nie odpowiedział matce. Milewa ścisnęła ramionami, coś sama do siebie mówiła i przy ogniu usiadła.

Stana opowiadała, jak się jej przy tkaniu płótna nici ustawicznie na czółenku rwały.

– Nici się rwały... – rzekła staruszka półgłosem i coś do siebie mówiła.

Rozmowa ogólna wlokła się powoli, zazwyczaj jak pomiędzy ludźmi, co niewiele sobie do powiedzenia mają i kończąc dzień pracy, zamyślają o spoczynku. Jedno mówiło półgębkiem, drudzy słuchali półuchem, a wszyscy patrzyli w płomień, który w komin uciekał. Jedna tylko Milewa spoglądała często ku drzwiom, jakby kogoś oczekiwała.

Miała przecucie. Inaczej tego wytłumaczyć nie można.

– O!... – zawołała.

Synowie, synowe, wnuki, wnuczki i mąż spojrzeli na nią i zarazem usłyszeli odgłos chodu, dolatujący z podwórza. Deski na czerdaku zaskrzypiały pod stąpieniem ciężkim.

– To on... gle!... gle!...

⁴² Ruczak – obiad

I palcem na drzwi ukazała.

Wszyscy razem głowy odwrócili.

We drzwiach stała postać wyniosła człowieka, który próg przestąpił i zatrzymał się. Patrząc nań od ogniska, poznać go nie było można. Patrzący się powieki mrużyli, chcąc co prędzej z oczów od płomienia pochodzące olśnienie spędzić; on zaś przez chwilę stał w milczeniu. W końcu odezwał się:

– Dobro wecze...

Kilkoro ust złożyło się do wydania okrzyku, którym zapewne było imię przybysza, lecz Hadzi-Petar ten okrzyk powstrzymał.

– Psss...

I zapanowały cisza i nieruchomość. Nikt słówka nie rzekł, nikt na miejscu się nie poprawił.

– Nie spodziewaliście się mnie?

– Nie... Boga mi... – odpowiedział Hadzi-Petar.

– Czekaliśmy na ciebie... – równocześnie odrzekła Milewa.

– Wyjdźcie no i zobaczcie... – kiwnął starzec na synów.

Żiwko i dwaj bracia jego natychmiast wstali i wyszli w celu obejścia domu dokoła i przekonania się, czy oko jakie ciekawe na nim nie spoczywa.

W izbie tymczasem przybysz witał się z domownikami.

– Jak się macie?...

– Chwała Bogu... A ty?...

– Bogu chwała... – itd.

Ta wyrażen powitalnych zamiana odbywała się w ten sposób, że przybysz wciąż stał przy drzwiach, w cieniu, a z domowników żaden, z wyjątkiem tych, co wyszli, od ogniska się nie ruszał. Działo się to przez ostrożność. Niebawem jednak powrócili Żiwko i bracia jego i zdali sprawę milczeniem. Ponieważ nie mówili nic, a zatem niebezpieczeństwo nie groziło żadne. Hadzi-Petar więc, pozdrowiwszy w końcu przybysza przez „dobro doszeł”, zaprosił go do zajęcia miejsca w gronie rodzinnym. Domownicy się rozsunęli robiąc gościowi miejsce obok Milewy, którą on w rękę pocałował.

Staruszka wzięła głowę jego w dłonie i w oczy mu przez chwilę patrzyła.

– Czekaliśmy na ciebie...

– Czyż kto przybycie moje zapowiedział?...

– Czy zapowiedział?... – odparła Milewa, jakby zapytaniem zdziwiona.

I wymawiając wyraz po wyrazie, niby przypomnienia w myśli zbierając:

– Kto?... tak... Byłam w konaku... Kiedy to było?... O... straciłam pamięć... Ktoś mi powiedział: przyjdzie Milenko... Ale kto?... No... nie pamiętam... Może później sobie przypomnę...

– Majka mówiła, że przyjdzie, ale nie mówiła kto... – podchwyciła z kobiet jedna.

– Mówiłam, że przyjdzie on...

– To źle by było, gdyby kto wiedział... – odezwał się przybysz.

– Nikt nie wie... – wtrącił Hadzi-Petar. – Nikt jej tego nie powiedział... z ludzi...

Wyraz ostatni wymówiony był z przyciskiem uroczystym, tak że słuchaczy dźwięk wyrazu tego przejął pewnym dreszczem lekkim, jakim przejmować zwykły porywające krasomówcy słowa.

– Wiedziałam, że przyjdiesz, junaku...

Tu rzuciła okiem na wnuczkę. Lecz Anka tak się w cień usunęła, że jej widać wcale nie było.

– Nieprawdaż, babo, zem obietnicy dotrzymał?... – rzekł Milenko zwracając do Hadzi-Petara mowę.

Starzec głową skinął.

– Muszę wam jednak od razu z góry powiedzieć, że w przybyciu moim dzisiejszym jest woli mojej trochę, a nie mojej dużo... Moja ściąga się tylko do kutii naszej... Ale przyznam się, że dla kutii nie byłbym się śpieszył... Chciałem odwiedziny na późną odłożyć jesień...

Przyśpieszyłem je dlatego, że mnie tu sprowadza poselstwo ważne, które spełnić muszę natychmiast...

Milewy oblicze taki zachowywało wyraz, jakby świadomą była poselstwa owego, z którym przybywa Milenko.

– Gdzie Marko kapetan?... – zapytał ten ostatni. – Muszę się z nim widzieć jak najprędzej...

– Żiwko... – rzekł starzec. – Potrezi brzo!...⁴³ A oglądaj się... Niech Jewta-bakalin sam z nim przyjdzie...

Ostatnie to polecenie miało swoje partykularne znaczenie. Turcy w czasach niepokoju lub w momentach, kiedy potrzebują nateżać ostrożność, mają zwyczaj rozwijać czujność szczególną po zachodzie słońca. Słońce zaszło i każdy mieszkaniec powinien w domu siedzieć. Za bardzo tylko pilnym interesem wolno wychodzić na ulicę, ale do pewnej godziny i nie inaczej jak z latarnią. Patrole krążą od zmierzchu do świtu, po zaułkach czyhają zasadzki. Lecz reguła ta dopuszcza wyjątki mnogie, a naprzód na korzyść tych, co posiadają zachowanie u kajmakana i władz wyższych. Owóż do ludzi tego ostatniego rodzaju należał Jewta-bakalin.

Na rozkaz ojca Żiwko w jednej chwili zabrał się, latarnię zapalił i poszedł.

Hajduk na siedzeniu się poprawił i oczami po izbie i obecnych powiódł.

– He! jakże ja tu dawno był... Czy się zmieniło co?

– Żał tobie, Milenko, za strzechą spokojną... – odezwała się z kobiet jedna.

– Hm... I żał, i nie żał. Mam i ja strzechę nad głową... strzechę tego pałacu, co go sam Bóg zbudował.

– Prawda... – wtrąciła staruszka.

– Nie można mieć mieszkania piękniejszego i wygodniejszego... zwłaszcza przy swobodzie... Czy nie tak, majko?

– Tak, synku... – odpowiedziała zapytana.

– I nie żał mi za strzechą... ale mi żał za wami... Przychodźcie mi nieraz na pamięć... Przypominam sobie często mego babę, Hadzi-Wuka, i was wszystkich... Musiało was przybyć... – dodał wesoło.

– A jakżeby inaczej!... – podchwycił. Hadzi-Petar. – Postarały się o to i Stana, i Elenka, i Katica...

Wymienione po imieniu kobiety, wstydliwie się uśmiechając, oczy spuszczały i głowy odwracały.

– Dzieci, które ja na rękach nosiłem, pourastać musiały...

I nagle zagadnął:

– A mojaż zarucznicą... gdzie ona?...

– Anko!... – zawołał Hadzi-Petar.

Nie podejmujemy się opisywać tego, co się działo w sercu bohaterki naszej. Musiała tam być burza wielka, straszna. To tylko wiemy, że dziewczyna, usłyszawszy zapytanie hajduka i po tym zapytaniu imię własne przez dziadka wymówione, byłaby nie wiem jaką ceną okupiła możliwość znajdowania się w chwili tej pod ziemią, głęboko. Gdyby mogła, byłaby się schowała, uciekła. Lecz rozkaz dziadka posiadał potęgę nieprzepartą. Nie nadaremnie wychowywała się w bojaźni Bożej i w uszanowaniu dla starszych. Wychyliła się zza ramion matki, które jej za zasłonę służyły, podała się naprzód postacią całą, zwrócona twarzą ku dziadkowi i pokazała się hajdukowi w półprofilu, oświetlona złotawym blaskiem płomienia.

Gdyby była kokietką, wyćwiczoną w rzemiośle wystawiania piękności własnej na pokaz, nie mogłaby lepszej przybrać pozy. Wdzięki jej uwydatniły się w świetności całej, na poły fantastycznej. Blask płomienia odbijał się na jej białych policzkach i uruchomił je, łamał się w źrenicach jej oczu i nadawał im połysk niezwykły, oblewał jej kibić ognistym światłem i uponętł ją.

⁴³ Potrezi brzo – pobiegij szybko

- To ona?... – zapytał Milenko machinalnie, pokazując na nią palcem.
- Prawda, że urosła?... – odpowiedziała Stana.

Hajduk wpatrywał się przez chwilę w postać dziewczyny, jakby w zapomnieniu czy osłupieniu, które nie znikło jeszcze, gdy już ona za ramiona matki znów się usunęła. Jej już nie było, a on ją jeszcze widział. To trwało chwilę. W końcu głośno odchrząknął i zaklął.

Co by ta klątwa oznaczać miała? – odgadnąć trudno. Może służyła ona za swego rodzaju upust dla uczucia hajduckiego.

Chrząknął, zaklął, wąsy rozgładził i rzekł:

– Nie przychodzę ja teraz na wesele... jak widzicie... Hajduk na wesele własne nie przebie-
ra się w odzież sielacką.

Rozłożył ręce i spojrzął po sobie dla pokazania, że był w ubraniu wieśniaczym.

– Teraz nie pora na gody weselne, kiedy inne wzywają nas gody... Ale przyjdzie pora i na nie... Przybędę po swoją przyszłą z orszakiem mnie i jej godnym i będziemy się weselili, i z pistoletów pukali... A póki nie przybędę, pilnujcie jej jak oka w głowie (tu palcem na wpół za matką widną Ankę ukazał), pilnujcie bowiem narzeczonej harambaszy, który nie żartuje, gdy kocha, nie żartuje, gdy nienawidzi... Spytajcie Turków... A jeśli by kto na nią oczy podnieść śmiał, powiedzcie mu, że mu harambasza Milenko łeb utnie, chociażby był wojewodą, chociażby się z nią w pałacach sułtańskich ukrył.

Uroczysty a zarazem groźny, krótkiej tej przemowy ton wywarł uroczyste na słuchaczach wrażenie, przejmując ich drżeniem jakiejś dziwnej bojaźni.

– O!... – zaczął Milenko, chcąc mówić coś dalej, gdy wtem szybki chód na podwórzu zwrócił na siebie uwagę przytomnych. Drzwi się otworzyły i we drzwiach ukazał się naprzód Żiwko z latarnią w ręku, a spoza Żiwka wysunął się Jewta-bakalin.

Ten ostatni postąpił kroków kilka, zbliżył się do Hadzi-Petara, padł przed nim na kolana i szyję wyciągnął.

– Co to znaczy?... – zapytał starzec

– Łeb mi utnij!...

– Co?...

– Bierz nóż lub siekierę i łeb mi utnij!... – Bierz piłę i odpiluj!...

– Cóż takiego?...

– Hańba na głowę moją... Wstyd!...

Starzec się domyślił i Milenko się domyślił, wszyscy się domyśliłi.

– Kiedyż to?...

– Przed chwilą... Przed pół godziną, nie więcej... Żiwko przyszedł i widział...

– Widziałeś?... – zapytał starzec syna.

– Nie widziałem, jak go brali... – odpowiedział zapytany.

– Ale widziałeś, jak niewiastę moją biłem... Biłem, byłbym zabił, gdyby nie Żiwko... I jeżeli ty mi, Hadzi-Petar, łba nie odetniesz, to ją zabiję, a przynajmniej język jej odetnę...

– A mówiłeś... – zaczął starzec tonem wymówki.

– Cóż ja winien? Boga mi!... Robiłem, com mógł, ażeby nieszczęścia nie dopuścić... Biłem ją trzy razy na dzień...

– Czy wiesz, że to wygadała ona?...

– Czyż wiem?... Bóg to wie!... Ale ja robiłem, co do mnie należało, a teraz zrób ty, co należy do ciebie... Utnij mi łeb. Starzec ręką machnął.

– Niech cię tam Pan Bóg sędzi, Jewto-bakalinie... Staraj się, żeby się Turcy nie przyczepili do ciebie...

– Nic mi nie zrobią oni...

– Jakże to było?...

– Otoczyli mój dom, weszli do środka i zabrali... ot, jak było... Naprowadził ich ten peze-
wenk, ten gogoman, ten łotr, ten łajdak, ten nikczemnik, ten... bodajby ziemia kości jego wy-

rzuciła!... kir-Kosta... Przyszedł do mnie, niby w gości, na kief... Poczęstowałem go sładkiem, wodą, kawą, cybuchem... a on!...

– Częstujcie go i nadal... kir-Kosta jest to wrzód, który okładać trzeba.

– O, co!... – zawołał bakalin – okładać?... kijami!...

– Cóż robić!... my raja... Dla nas nie masz prawdy ni sprawiedliwości... Taka dola nasza... Znośmyż ją, póki trzeba.

– Niedługo już tego będzie... – odezwał się Milenko, który się scenie całej w milczeniu przypatrywał. – Na Boga!... niedługo... Ale tymczasem jest to nieszczęście wielkie, że Turcy kapetana Marka pojмали... Wojna się zaczyna, a on w niej głową... Turczyn (te wyrazy z mocnym wymówił przyciskiem) majka niegowa! od razu nam głowę urwał!...

Po słowach tych zapanowało milczenie, jakby po odkryciu wielkiej i ważnej tajemnicy, i panowało długo. Słysząc było tylko trzaskanie ognia w kominie i westchnienia, które się to tej, to owej kobiecie z piersi wydzyrały. Staruszka w płomień się wpatrzyła i coś do siebie po cichu mówiła.

– Ha!... – odezwał się Hadzi-Petar. – Ty, Jewto-bakalinie, idź i pomyśl, czy nie mógłbyś pochodzić koło kajmakana i głów tureckich... Jeżeliby nowców potrzeba było...

– Na próżno... – rzekła Milewa i ręką machnęła. Wyraz ten, rzucony przez nią od niechcenia niby, mrozem przejął wszystkich. Milczenie powróciło, przerwane niebawem, naprzód przez oddalenie się Jewty, następnie przez udanie się rodziny na spoczynek. Milenko, mający dopiero nazajutrz Jagodynę opuścić, ulokowany został w miejscu bezpiecznym, w ogrodzie w krzakach. Ze smutkiem w sercu każdy zaległ pościel i męczony zrazu bezsennicą, usnął ulegając prawom natury.

Tylko w tej izbie, gdzie dzieci pokotem spały, a z dziećmi Milewa i Anka, słysząc było westchnienia i płacz cichy.

Około północy, nim kur zapiał i pora duchów przeminęła, słyszeć się dały wyrazy przerywane:

–Drugie drzwi od apsu... na ogród... klucz... Za rękę wyprowadzi... Za rękę... Na ogród... Piekło.

– Co ty mówisz, stara majko?

Po nocy poznać było, że zapytanie to wychodziło z ust Anki. Brzmiały w nim bojaźń, niepokój i gorączka.

Staruszka nic nie odpowiedziała. Po chwili jednak znów mówić zaczęła:

– Ogród haremowy... Płoty wysokie... Drugie drzwi, a przed drzwiami drzewina bukszpanu... Ha-ha...

Jeszcze mówiła i mówiła.

Zapytanie się nie powtórzyło. Lecz, gdy kur załopotał w skrzydła i zapiał, z izby dziecięcej wysunęła się postać ciemna – szła cicho, lekko, mknęła jak duch i znikła w cieniach nocy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

CUDA W APSIE

Sensacja wtrąconego do więzienia człowieka porównać się da z sensacją ptaka spadającego z powietrza na ziemię ze skrzydłem przestrzelonym. Kto by się chciał przekonać, niech spróbuje... chociaż dobra wola ze strony próbującego odjęłaby wiele eksperymentowi podobnemu pod względem istotnego jego znaczenia.

Ze strony bohatera naszego dobrej woli nie było ani odrobiny.

Właśnie tylko co był po rozmowie z Jewtą-bakalinem.

– Na co ty tak niewiastę swoją tłuczesz, a tłuczesz?...

– Na to, ażeby język trzymała za zębami...

– Daj jej pokój!...

– Oho!... Hadzi-Petar powierzył mi ciebie i ja mam cię na głowie swojej!..

Tu się palcem po głowie stuknął i znaczący gest zrobił.

– Cóż to pomoże?...

– Co pomoże?... wiem ja, co pomoże, a co nie.

– Czyż ona gadała?...

– Ja też ją biję nie za to, że gadała, ale na to, żeby nie gadała... Wiem ja, co robię... Pod dachem moim włos z głowy twojej spaść nie powinien i nie spadnie, Boga mi!...

Po zapewnieniu takim Marko nie mógł nie czuć się bezpieczny jak najzupełniej. Zjadł wieczerzę, położył się, światło zgasił i przed zaśnięciem bujał myślami po przestworze bezgranicznym imaginacji, gdy nagle usłyszał w sieni chód ciężkich stąpań, usłyszał otworzenie drzwi od izby, w której spoczywał, ujrzał we drzwiach blask latarni, a przy blasku tym ludzi kilku w turbanach.

Splunął i zaklął – domyślił się.

Położenie jego miało podobieństwa wiele do położenia myszy w samotrzasku. Jedne drzwi, Jedno okno, izba mała, w izbie ludzi kilku uzbrojonych w noże, kindzały, pistolety i berdysze i on... w pościeli.

– Czy ten sam?... – zapytał z Turków jeden, oświecając twarz bohatera naszego blaskiem latarni.

– Ten sam... – odpowiedział głos z głębi.

– Kir-Kosta, ty się chyba Boga nie boisz!... – odezwał się głos inny. – To przecież człowiek znajomy... kupuje świnki...

Głos ten płynął z ust bakalina.

– Radzę ci, Jewto, nie kłaść między drzwi palca... – odpowiedział ten, do kogo bakalin przemówił. – Wyjść możesz na tym źle, bardzo źle.

– Ale posłuchaj no mnie, kir-Kosto... Jest u mnie w duganie raki⁴⁴ słodka a mocna... dam Turkom po kieliszku, po dwa... i...

–Pss... – przerwał kir-Kosta. – To w tym razie nie uchodzi...

⁴⁴ Dugana – sklep; raki – gorzalka

Podczas rozmowy tej Turek, co kir-Koście pytanie zadał, kazał Markowi wstawać. Nie było sposobu nie słuchać. Bohater nasz podniósł się z pościeli i natychmiast pochwycony został przez dwie pary rąk silnych. Szarpnął się i napastników odepchnął.

– Pozwólcieź mi się odziać przynajmniej – krzyknął. Starszy pomiędzy Turkami skinieniem ręki powstrzymał podwładnych swoich, którzy się już do oręza brali. Marko się odział.

– Teraz dalej z nim!... – dał starszy rozkaz. – Związać mu ręce w tył!...

Ręce mu związane i na schody wytrącono. Na schodach poprzedzało go Turków dwóch, podczas kiedy dwóch innych szło za nim. Bohater nasz upadł, potoczył się i nie zerwał się na nogi, aż na dole. Ten schodzenia ze schodów sposób nie bardzo jest, wyznać należy, przyjemny; ten zaś sposób traktowania więźnia nie daje najlepszego o ludzkości tureckiej wyobrażenia. Na dole jeden z Turków za kołnierz go od odzieży ujął i poszli.

Przejście było niedalekie – tylko przez szerokość placu obok studni, czynami Milenka wsławionej. Przy studni Marko wydrzeć się z rąk Turków spróbował i korzystając z ciemności nocy a ufny w szybkość nóg własnych, szukać chciał zbawienia w ucieczce. Szarpnął się, wydarł, lecz berdysem po głowie dostał tak mocno, że ogłuszony uderzeniem przykląkł – i wnet znów znalazł się w rękach ich, a zarazem na plecach i pod żebrami uczył szturchania kułaków i rękojeści. Nie było rady ni środka. Ciągniony i popychany, dowleczony został do drzwi więzienia. Przed drzwiami tymi zatrzymano go na chwilę. Przyszło Turków więcej. Coś pomiędzy sobą krótko pogadali. Jeden z nich otworzył drzwi, przez które wepchnięto bohatera naszego do ciemnego wnętrza.

Marko potoczył się z góry na dół i upadł. Poleżał przez chwilę, nieoprzytomniały jeszcze dostatecznie po uderzeniu, jakie przy studni otrzymał; stęknął razy parę, obrócił się i dzwignął. Obejrzał się. Otaczała go ciemność absolutna, ciemność taka, jaką wymarzył lord Byron w poemacie swoim pod tytułem „Darkness”. Nic nie widział. Żadne światełko, żaden promyk gwiazdy, najmniejsza błada iskierka nie wpadały do ciemnicy tej. Po więzieniach bywają okienka, przez które widać nieba kawałek; tu i tego nie było. Nic, nic – ciemność sama, cicha i głucha.

– Pii... otóżem się dostał!... – rzekł bohater nasz po chwili, kiedy odurzenie przeminęło. – Ha!

I doznał tej sensacji, o której wspomnieliśmy na czele rozdziału.

I puścił wodze wnioskom, przypuszczeniom i myślom, których punkt wychodni był następujący:

– Turcy nie tacy głupi, jak się wydaje... Podobny jak ja ptaszek, gdyby się dostał w ręce komendy cesarskiej, wisiałby na gałęzi przed upływem godzin dwudziestu czterech...

Przyznać potrzeba, iż taki punkt wychodni nie nader był pocieszający. Lecz pocieszenie trzyma się człowieka silniej, niż to sobie wyobrazić można. Nie opuszcza ono skazańca nawet, w śmiertelnej koszuli na plac egzekucji wiezionego. Nie odbiegło ono i bohatera naszego, pojawiając się w umyśle jego pod postacią zapytania następującego:

– Czy wiedzą Turcy, kogo mają?...

W odpowiedzi przyszły mu na myśl: raport i mapa.

– Zła sprawa!... – pomyślał.

I westchnął.

I znów myślał. Nie rozstawał się z pocieszeniem, lecz przedstawiał je już sobie słabym i bladym, zwłaszcza gdy przeciwstawił jemu przeszłość własną, zaopatrzoną w warunki szczęścia w życiu. I powiedział sobie to samo, co w położeniu podobnym tysiące przed nim powiedziało i tysiące po nim powie:

– Ginać tak młodo!

Świat się do niego rajem uśmiechał, rajem, w którym od razu przed oczyma wyobraźni jego stanęła urocza postać dziewczyny, znalezionej na drodze, jak skarb wartości nieocenionej.

– Znalazłem i straciłem... Westchnął głęboko.

– Nawet czary tej rozkoszy i szczęścia ustami nie dotknąłem...

Żal go za serce ścisnął.

– At!

Wstrząsnął głową, jakby zrzucając z niej myśli natrętne i szarpnął związanymi w tył rękami.

W chwili tej błyskawicznym sposobem urodziło się w duszy jego pragnienie: rozerwać więzy. Uradował się. Znalazł zajęcie – cel bliski, do którego osiągnięcia dążyć mógł natychmiast, zaprzatając nim sobie zarazem ręce i głowę. Zajęcia podobne wielce są pożyteczne w podobnych położeniach. Marko ramiona natężył.

– Mocny powróż... – rzekł sam do siebie.

Spróbował powtórnie. Uczuł, że mu się sznury w ciało wjadały, więc ruchem ramion starał się na inne przesunąć je miejsce. Ruszał ramionami i plecami. Zrazu praca ta jego żadnego nie dawała rezultatu z wyjątkiem zmęczenia. Więc odpoczywał – a odpoczywając robił rekonesans miejscowości za pomocą zmysłu jedyne, który mu do rozporządzenia pozostawał, a którym było powonienie. Za pomocą zmysłu tego do tej doszedł świadomości, że więzienie napelnia woń stęchlizny i wilgoci, zdolna prędko pozbawić człowieka zdrowia na życie całe. Począł rozmyślać nad więzieniami w ogólności, lecz się bawił tym niedługo. Szarpnął powrozy: Osunęły się. Gdyby umiał po grecku, byłby zawołał: eureka! – tak go to ucieszyło. Powrócił więc do zajęcia poprzedniego: ruszał plecami, ruszał ramionami, przesuwał rękami – męczył się, odpoczywał, znów próbował – poty próbował, aż sobie na koniec ręce wyswobodził.

– Ha!... – odetchnął.

Wstał, wyprostował się i wyciągnął, aż mu kości w stawach głuchym odezwały się trzaskiem.

Podniósł do góry rękę i dotknął sufitu. To podało mu myśl posuwania rekonesansu dalej. Postąpił po kroków kilka w jednym i w drugim kierunku i dowiedział się, że się znajduje w miejscu ciasnym, mającym sklepienie murowane i ściany z kamienia.

– Gdyby nie ściany te, może by się można wykopać... Próbował mocy murów i znalazł je bardzo słabymi. Kamienie dawały się wyjmować z łatwością.

– Gdyby mnie tu zostawili na dni parę...

I świtać począł w głowie bohatera naszego plan, który się stał dla niego pociechą wielką przez to już samo, że zajął umysł jego całkowicie. Rozmyślał nad planem tym i wnet takowy ułożył. Za narzędzia służyć mu miały ręce. Zamierzył wykopać się jak kret. Chodziło mu tylko o to, kiedy do rozpoczęcia pracy przystąpić: czy natychmiast? czyli też poczekawszy, aż Turcy pierwszy raz wezmą go na posłuchanie i pozna, jaki go czeka los? Wahał się, rozmyślał – rozliczał godziny pozostające do dnia – miarkował, iż tej nocy mało ma już czasu do rozpoczęcia i skończenia roboty takiej – rozważał różne za i przeciw – chodząc wkoło, próbował mocy ścian w różnych miejscach i gatunku ziemi za kamieniami, które wyjmował i na powrót wkładał – zatrzymywał się, nasłuchiwał, znów chodził, znów się zatrzymywał i słuch natężał. Jedynymi głosami, jakie do uszów jego dochodziły, były: miauczenie kota i wołanie puszczyka. Nie siedział jeszcze w więzieniu dość długo, ażeby się miał w głosach tych rozlubować; jednak... uwagę na nie zwracał.

Nagle... stanął jak wryty.

Zdawało mu się, że usłyszał szmer jakiś, jakiś szelest, jakieś zawiasów skrzypnięcie.

Nie miał jeszcze czasu zapytać samego siebie, co by to znaczyć mogło, gdy wewnątrz więzienia zajaśniało blaskiem światła.

Nie miał jeszcze czasu rozpoznać się w oświeceniu tym, gdy ujrzał przed sobą postać kobiecą.

Wszystko stało się nagle i niespodzianie – ale najniespodzianwsze ze wszystkiego było zjawisko postaci kobiecej. Marko przypuszczał możliwość śmierci i wolności; przypuściłby był

możliwość cudu jakiegoś, na przykład rozpeknięcia się więzienia wskutek trzęsienia ziemi, ale nigdy czegoś podobnego... Zamknął oczy, które mu oślepił blask raptowny, przetarł je dłonią i przez czas ten strzeliło mu w myśli zapytanie:

– Czy to nie zmysłów złudzenie?... czy to nie sen na jawie?...

Spojrzał, nie, nie złudzenie to było. Nie był to sen. Przed nim stała kobieta z kagankiem w ręku. Młoda czy stara? ładna czy brzydka? – nie był w stanie poznać od razu. Widział tylko jasność jej uśmiechu i blask jej stroju. Połysk jej oczu miał w sobie coś dziwnego – coś tak mocnego, że bohater nasz, spotkawszy się oczami ze wzrokiem jej raz, już po raz drugi tego nie próbował. Więc trzymał oczy na jej kibici, otoczonej wszystkimi ponętami kokieterii Wschodu, zalotności, posuwanej w haremach do stopnia daleko wyższego aniżeli w salonach naszych. Kobieta miała na sobie szalwary fałdzone z materii jedwabnej, a na szalwarach rodzaj jakiejś tuniki z przodu otwartej, z podpinanymi za pas połami, uszytej z ciemnego, żółtawego muślinu, nasypanego rzutkami świecącymi. Gdy szła, poły się podnosiły od ruchu powietrza i zdawało się, jakoby iskry leciały za nią i przed nią. Na piersiach stanik od tuniki tej był szeroko otwarty i miał rękawy na wyloty, które nad ramionami i za plecami formowały obłok iskrzysty. Spod stanika tego wierzchniego wyglądał spodni, złotem szyty, uwydatniający wszystkie ponęty bogato rozwiniętego biustu i nie wykradający oczom widza rozkosznego, alabastrowej białości i jędrności gorsu, od którego odbijały się korale czerwone, spięte klamrą połyskującą diamentami i turkusami. Na głowie w kruczych warkoczach przewijał się sznur pereł, wpół przykryty fezem czerwonym, od którego kutas spływał na ramiona białe.

Była li ona młoda czy stara, ładna czy brzydka? – tego, jak wyżej rzekliśmy, bohater nasz od razu poznać nie mógł; lecz nie byłby w stanie, patrząc na nią jak najdłużej, temu zaprzeczyć, iż otoczyć się potrafiła ponętnością taką, że jeżeli stanęła przed nim w znaczeniu pokusy, to pokusa owa, o której Ojcowie Kościoła wzmianki czynią, przybierać nie mogła postaci ponętniejszej...

Olśnił Marka blask nagły w ciemności; olśniła go i ta kobieta.

Przyszła, stanęła z uśmiechem na karminowych ustach, zdumionemu i osłupiałemu w oczy patrzyła.

Marko na nią oczu podnieść nie śmiał.

Stali tak długo jedno naprzeciw drugiego; w końcu ona przemówiła „głosem takim, jakim ciecze słodko strumyk, lutnia brzęczy”.

– Rycerzu mój, nie spodziewałeś się mnie?

Marko na to nic.

– Nie czekałeś na mnie?

Marko ani słowa.

– A jam się ciebie spodziewała, ja na ciebie czekałam.. od dawna... od dawna... Widziałam ciebie w snach moich... Widziałam ciebie w moich myślach smutnych... Ilem ja łez za tobą, mój rycerzu, wylała!..

Marko nie wierzył uszom własnym.

Ona chrząknęła, tym chrząknięciem, z którego wydziela się dźwięk jakiś elektryzujący i po chrząknięciu, mówiła dalej:

– Kiedym widziała orła, kraczącego pod słońcem, myślałam o tobie... Kiedym widziała sokoła, szybującego w powietrzu, myślałam o tobie... Kiedy mnie otaczały wonie róż i jaśminów, kiedy mi w uszach brzmiały chóry słowików, myślałam o tobie...

Znów chrząknęła i przez chwilę milczała.

I Marko milczał, z głową spuszczoną.

– Ja cię stąd wyprowadzę...

Marko głowę podniósł.

– Wezmę za rękę i wyprowadzę... i pójdziemy razem, zawsze razem, ja przy tobie, ty przy mnie...

Marko głowę spuścił.

– Ty się dla mnie wyrzekniesz wiary swojej brzydkiej; ja dla ciebie... ja dla ciebie...

Chrząknęła, coś powiedzieć chciała i nie mogła, jakby odwagi jej zabrakło. Zniżyła głos.

– Ja dla ciebie... – jeszcze raz powtórzyła.

– Co?... – zapytał Marko.

Był to pierwszy przez niego wymówiony wyraz.

– Ja dla ciebie Ali-agę, który jest małżonkiem moim w rzecz martwą... trupa zmienię... Dam mu napoju takiego, od którego on zaśnie cicho i na wieki, pod skrzydłem anioła śmierci...

Marka lekki przeszedł dreszcz.

Kobieta mówiła dalej:

– A dla nas zakwitnie życie, mój rycerzu, mój orle, mój lwie!... Ty tu poczekaś do jutra do wieczora, ja po ciebie przyjdę... jak tylko Ali-aga zaśnie... On śpi w chwili tej, ale się jutro obudzi o wschodzie słońca... On zaśnie jutro i już się nie obudzi. I ja przyjdę tu, i wezmę cię za rękę, i wyprowadzę, i pójdziemy, polecimy jak ptaki... i zakwitnie dla nas życie takie, jakie prorok wiernym w raju obiecuje... Bo ja młoda i życia pełna... Popatrz no ty na mnie...

Głos jej był śpiewny, dźwięczny, srebrzysty, czarujący, do duszy przenikający. Gdyby nie to, co ona głosem tym mówiła, kto wie, czyby bohater nasz miał siłę oprzeć się urokowi, jaki z niego płynął. W uroku tym bowiem było coś słodkiego, łechcącego a zarazem ognistego i palącego. Pomimo to przejmował on go zgrozą. A jednak przy wyrazach ostatnich podniósł głowę spojrzął.

Spojrzał i cofnął się.

Turczynka mu w oczach jakby sprzezroczyściła. Widział ją przed sobą, uśmiechniętą, świetną, roziskrzoną, a na wskroś, na wylot przez nią ujrzał...

Zmarszczył brwi. Oczom nie chciał wiary dać. Ujrzał... Ankę.

Zbliżyła się cicho, niby cień. Z ciemności, która w głębi panowała, wychylała się coraz to wyraźniej na jasność, którą kaganek rzucał. Szła prosto, śmiało, milcząca, spokojna a surowa. Zanim Marko z tego zdumienia nowego do siebie przyjść zdołał, była już obok Turczynki, którą, przechodząc mimo niej, łokciem lekko potrąciła.

Ta ostatnia spojrziała. Wyraz trwożliwego przerażenia oblicze jej oblał. Oczy jej się szeroko otwarły, usta wykrzywiły, policzki zmarszczyły. Z piersi wydarł się okrzyk:

– Aman!...

Uskoczyła w bok, zasłaniając oczy dłońmi i wypuściła z rąk kaganek, z którego oliwa, rozlawszy się na podłodze więzienia, zapaliła się płomieniem. Zasłoniła oczy dłońmi i ukryła się we framugę, co snadź na jakiś partykularny w więzieniu służyła użytek – i nie widziała zapewne, co się stało.

A to, co się stało, było rzeczą bardzo prostą. Anka podeszła do Marka, wzięła go za rękę i rzekła:

– Chodź!...

Wyraz ten, raz już słyszany, zabrzmiał mu w uchu harmonią precudną.

Postać Anki wydała się bohaterowi naszemu, za przyczyną w części płomienia gorejącego na ziemi, w części nadzwyczajnych zdarzeń, jakie go tej nocy spotkały, jakąś wynioślejszą, dostojniejszą i mniej ziemską aniżeli przedtem. Wyobraziło się mu, że niby dobry anioł zleciał mu na pomoc, anioł wobec którego postradał wolę własną. Usłyszał „chodź” – poszedł – dokąd – nie pytał. Prowadzony za rękę, postąpił kroków kilka i znalazł się w ciemnym i ciasnym przejściu, prowadzącym do góry. Po przebyciu przejścia tego, owionął go chłód powietrza świeżego, napełnionego balsamiczną kwiatów wonią, tak różną od woni stęchlizny więziennej. Wzniósł wzrok do góry – na niebie gwiazdy gasnąć poczynały. Był to przedświt – ta pora nocy, którą Szekspir wybrał na miłosną schadzki Romea z Juliettą. Marko by się może

chciał zatrzymać i słówko płomieniste rzec, lecz mu Anka czasu nie dała. – Chodź!... śpieszmy!..

I wlokła go za sobą pędem pomiędzy drzewa i krzewy, przez jakieś grządki i zarośla, pod jakiś płot ogrodowy.

Płot był wysoki, zwyczajnie jak dokoła ogrodów haremowych i gładki. Bohater nasz zrozumiał od razu, iż droga dla niego i dla Anki najprostsza i najkrótsza przez płot ten prowadzi. Zrozumiał oraz, że jemu łatwo będzie przesadzić takowy, ale – jej? Namysławiając się więc nie-
długo, porwał ją wpół, podniósł jak dziecinę małą, na ramię sobie posadził: ręką lewą ujął wierzchołek płotu, poddźwignął się – i w chwili jednej był już na stronie drugiej, na kamieniami brukowanej ulicy.

Spuścił dziewczynę na bruk i... do piersi ją przycisnął.

Była to chwila ważących się dwojga ludzi losów.

I jemu, i jej w oczach pociemniało.

I on, i ona zawrotu głowy dostali.

Świat dla nich znikł, jakby oboje razem, spleceni ramionami, skoczyli w morze płomieniste.

Mogli tak pozostać do świtu: rozkochanym bowiem godziny, dni sekundami się wydają.

Lecz ona wywinęła się z objęć kochanka, uskoczyła i krzyknęła:

– Chodź!... śpieszmy!...

Pobiegli.

Ulice były puste. Mieszkańcy Jagodyny używali wczasu przededniowego. Patrole nie krążyły: wiadomo bowiem z doświadczenia, zapisanego w poradnikach wojskowych, że czujność wojenna ustaje przed świtem. W miasteczku więc panowała cisza absolutna i tylko rozlegał się w ciszy tej tupot, biegu szybkiego, który budził echa okoliczne. Nasi zbiegowie jednak na to nie zważali. Szczęściem dla nich, ze zważających nie było nikogo. Przebiegli więc bezpiecznie z uliczki w uliczkę przez mahałę turecką, wpadli na chrześcijańską, dostali się na dzielnicę, na której stał dom Hadzi-Petara, wpadli w labirynt ogrodów serbskich i biegu zwolnili.

Nie biegli już, ale szli.

Szli jedno obok drugiego.

Dziewczyny ręka spoczywała w dłoni Marka.

Bohater nasz kroczył niby po węglach żarzących. Co chwila utykał, co moment się o gałąź zaczepiał.

Bohaterka nasza zachowywała przytomność umysłu całą.

W razach podobnych – mówimy to nawiasem – wyższość pozostaje zazwyczaj po stronie niewieściej. Płeć męska ulega bardziej aniżeli kobieca miłosnemu, że tak powiemy, zacie-
trzewieniu. „Głuszc, gdy tokuje, nic nie słyszy, nic nie czuje”. I nasz Marko podobny się stał nieco do głuszcza. Nie dość mu było tego, że szedł z kochanką dłoń w dłoń; pragnął jeszcze coś przemówić do niej – nie wiedział co: chciałby zatrzymać się, stanąć, chciałby otoczyć ją ramionami i ramion tych nie roztwierać nigdy, chciałby wgarnąć ją w siebie, chciałby... sam nie wiedział czego, niepomny na to, że chwilka każda była dla niego droga, że na każdej ważyło się może życie jego. Lecz Anka o tym nie zapomniała i jakby przeczuciem pragnienia jego i chcenia odgadując, uwlekała go, ciągnęła, nie dawała mu czasu do złożenia ust dla przemówienia. On utykał i zaczepiał się, ona go ciągnęła – i zaciągnęła aż pod czereśnię rozłożystą, rosnącą w ogrodzie Hadzi-Petara.

Zaciągnęła i zatrzymała się.

Marko, korzystając z chwili, oparł się o drzewo plecami i dziewczynę za drugą ujął rękę.

– Stąd już ani kroku dalej...

– Tu czekaj... – odrzekła poszeptem, usiłując dłonie swoje wysunąć z dłoni jego.

– Anko!

W głosie Marka, zwartym w dwie sylaby, zadzwonił cały miłości bezmiar. Anka zadrżała.

– Rzucić mnie chcesz?... Czyś na to z ciemnicy piekielnej mnie wyprowadziła?...

– Marku!...

I głowę ku pierśom jego pochyliła... I podała się kibicią naprzód, jakby garnąc się w objęcia jego. On dłoń jej puścił, ramiona otworzył, lecz ona... nagle... odskoczyła.

– Marku!... kocham ciebie...

Ile w wyrazach tych było ognia – wypowiedzieć niesposób. Wlały się z powietrza w słuch bohatera naszego, niby płynnej lawy strumień, i załwały mu pierś. Odpowiedzieć coś chciał... nie było już do kogo. Anka trzy wyrazy rzuciła i sama znikła. Szeleszczące badyle znaczyły przebiegu jej kierunek. Lecz szelest ucichł wnet i równocześnie, w stronie przeciwnej, przesunęła się wśród drzew postać męska, w której rozpoznać było łatwo Hadzi-Petara. Postać ta przesunęła się i w cieniu się skryła.

Marko ręce na piersiach skrzyżował, głowę zwiesił i głęboko westchnął.

Pozostał pod czereśnią sam w ciszy przedświtowej. Swobodnie rozmyślać mógł nad zdarzeniami nocy, z których każde było nadzwyczajniejsze jedno od drugiego. Nadzwyczajne było uwięzienie po uroczystym zapewnieniu Jewty-bakalina; nadzwyczajniejsze było pojawienie się w więzieniu nieznanego mu, niewidzianego przez niego nigdy małżonki Ali-agi; najnadzwyczajniejsze było wyprowadzenie go z więzienia przez Ankę. Wszystko to, razem wzięte, pachnęło cudem. I zapewne byłby bohater nasz cudowności zdarzenia te przypisał, gdyby rozmyślać był w stanie. Lecz... gdzie tam jemu do rozmyślania było! W głowie jego wirował odmęt, w sercu pałał ogień. Samotność, w której mu chwil kilka upłynęło, na to się jedynie przydała, że nieco ochłonął i trochę się usposobił do porządkowania wrażeń.

Westchnął powtórnie i ujrzał przed sobą niespodzianie dwie postacie męskie. Nie poznał ich – nie zdziwił się jednak ani zaniepokoił... spodziewał się bowiem nadzwyczajności nowej jakiejś.

Tym razem atoli zawiódł się.

Jedna z postaci ziewnęła szeroko i głośno; druga zaś w następujące odezwała się wyrazy.

– Oto masz... kapetan Marko... Był to głos Hadzi-Petara.

– Skąd się on wziął?... – zapytała druga postać głosem Milenka.

– Z apsu...

– Któż go wy dostał stamtąd?... – zapytał Milenko powtórnie przewlekłym, sennym głosem, kończąc zapytanie ziewaniem ponownym.

– Anka...

– Anka?... – krzyknął hajduk.

Głos jego zmienił się od razu. Zabrzmiął w nim syk nadeptanej nogą gadziny.

– Boga mi, ona... – odrzekł starzec tonem, w którym wahanie się czuć było.

– Ona?... Anka?... – powtórzył Milenko na wpół do siebie.

– Kapetan Marko?... Hm!...

Zęby mu zgrzytnęły. Pomilczał przez chwilę.

– E!..., teraz nie pora... Porachujemy się później, kapetanie Marku; przynoszę ci zapowiedź wojny i rozkazy od Michajlewicza...

Marko wciąż o czereśnię oparty i ze spuszczoną głową stojący, gdy wyrazy te usłyszał, wyprostował się i od drzewa odstąpił.

– Wojna! Michajlewicz! – zawołał, jakby ze snu się budząc.

– Wojna, kapetanie Marku!... Dziękuj za nią Bogu... bo inaczej... Boga mi!...

Znów zgrzytnięcie zębami słyszeć się dało.

– Chodźmy!...

Tu na niebo spojrzął.

– Nim się rozwidni, będziemy tak daleko, że na najściglejszym ogierze Turek żaden nas nie dogoni... A gdy się rozwidni dam ci do przeczytania papier, za który głową odpowiadając się podjąłem... No! dalej, w drogę!...

Marko się jakoś ociągał i oglądał.

– Co?... żal ci... za apsem?...

Wyraz ostatni ironicznym zabrzmiał dźwiękiem.

Marko westchnął z głębi piersi i przeciągle odszepnął:

– Wojna, powiadasz?...

– Za Serbię!... – odrzekł hajduk.

– Ha!... więc dobrze... chodźmy...

Dwie postacie męskie wysunęły się spod czereśni i wnet w cieniach znikły; trzecia pozostała, a w krzakach odezwało się cichego, tłumionego płaczu łkanie. Tego jednak ostatniego nie słyszał nikt. Jedyne człowiek, Hadzi-Petar, który by go usłyszeć i znaczenie jego zrozumieć mógł, pogrążony był w myślach o wojnie... za Serbię.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

SPRAWIEDLIWOŚĆ TURECKA

Prawdę Milenko powiedział. Nim się rozwidniło, on i towarzysz jego byli już daleko, licząc odległość nie miarą długości, lecz miarą bezpieczeństwa. Odsunęli się od Jagodyny o tyle, że pościg turecki straszny być dla nich nie mógł, tym bardziej że Turcy nie ścigali ich wcale. Kajmakan pogoni nie wysłał i poszukiwań nie zarządził dla dwóch powodów; raz dlatego, że się o ucieczkę Marka dowiedział za późno, po wtóre dlatego, iż dostał wiadomości, które tak były ważne, iż wytrąciły mu całkowicie z myśli i pamięci jakiegoś tam włóczęgę.

Dozorca więzienia około dziesiątej rano przypomniał sobie dopiero, że w apsie siedzi więzień jeden. Nie dziw – troskliwość jego odnosiła się do więzienia innego, które się nie wypróżniało nigdy i w którym pakowano ludzi jak śledzi. O tych pamiętał; o Marku zapomniał... szczęściem nie na wieki. Przypomniał sobie, jak powiadam, około dziesiątej, napełnił wodą dzban gliniany, wziął bochenek chleba czarnego i poniósł apsoownikowi strawę codzienną. Gdyby to nie był Turek prawowierny, to by się był zdziwił bodaj trochę, znalazłszy klatkę próżną. Wyznawca proroka oglądał wszystkie kąty, zajrzał do framugi, opatrzył ściany i drzwi, przekonał się, że najmniejszego nigdzie nie było uszkodzenia, chleb i wodę zabrał, wyszedł i więzienie zamknął. Przed konakiem spotkał kir-Kostę. Pozdrowili się wzajemnie „sawałachajresem” i Grek zapytał:

- Cóż ptaszek?
 - Co za ptaszek?
 - A tenże przybłęda, którego przyprowadzono od Jewty-bakalina?
- Turek ręką machnął.
- Co?... – zawołał Grek.
 - Nic... Jakby go nie było nigdy...

Kir-Koście ręce opadły bezwładnie. Oślupiał. Lecz się wnet uśmiechnął sam do siebie. Po chwili sposepniał i coś do siebie sam mówił. Snadź w umyśle jego krążyły i zmieniały się przypuszczenia różne, których nie udzielał dozorczy więzienia, wiedząc o tym, że prawowierni nie zabawiają się głupstwami takimi, wierzą bowiem jedynie w czyny dokonane. Pod względem tym dyplomacja mogłaby z nich wzory brać. Przypuszczenie?... co ono warte wobec czynu!... Więzień uciekł – rzecz skończona. Dozorca więzienie zamknął, klucz za pas wetknął i byłby o zdarzeniu tym nie powiedział nikomu, gdyby go był kir-Kosta nie zapytał. I to bowiem jeszcze stanowi jedną z właściwości powagi muzułmańskiej, ażeby nie gadać nie będąc pytany.

Kir-Kosta struł się niemal wiadomością, przez dozorcę mu udzieloną. On, umiejący tak dobrze obojętność udawać, tym razem zapanować nad sobą nie umiał.

– Powiedzieć kajmakanowi, czy nie powiedzieć? Zauważyć atoli potrzeba, że anizeli o kajmakanie więcej go myśl o kajmakana małżonce dręczyła. Zrazu wydało się mu, że to Fatma-hanem była tej zagadkowej ucieczki sprawczynią. Zastanowiwszy się jednak głębiej, odepchnął przypuszczenie to jako nieprawdopodobne; nie umiał jednak sformułować innego. Bił się z myślami na próżno. Na słońce spojrzął. Słońce było wysoko.

– Uciec musiał przede dniem... jest więc już od godzin sześciu przynajmniej w drodze... A jeżeli z miasta nie wyszedł? Głowę kręcił, miarkował.

– Nie ukrył się ani u Jewty-bakalina, ani u Hadzi-Petara... Nie będziemy atoli wszystkich kir-Kosty przypuszczeń powtarzali wiedząc z góry, iż były one strzelaniem na wiatr. Poprzez staniemy więc tylko na powiedzeniu, że człowieka tego zacnego mina podobną się stała do miny psa gończego, który trop zgubił i wiatru złapać nie może. Stał przed konakiem, laseczką w ziemi dłubał, głowę to podnosił, to spuszczał i dziwnej tej sprawy wątku uchwycić nie był w stanie. I byłby tak stał, kto wie jak długo, gdyby nie dwa zdarzenia, następujące jedno po drugim, jak następują po sobie dwie zwrotki pleśni jednej.

Naprzód z powietrza zwiały się mu w słuch wyrazy następujące:

– Będę u Ormianina pachnidła kupowała... Obejrzał się – nie było nikogo. Zapytał:

– Kiedy?

– Między trzecim a czwartym namazem...

Kir-Kosta się uśmiechnął.

Następnie rozległ się w powietrzu odgłos wrzasku dzikiego, połączonego z mocnym z batoga trzaskaniem.

– Iiii!... hiii!...

Paf... paf...

– Tatar... – mruknął kir-Kosta do siebie.

Tatarami nazywają w Turcji gońców pocztowych, jeżdżących z kałauzem (przewodnikiem). Towarzyszący takiemu gońcowi kałauz obowiązany jest krzykiem wielkim i paleniem z długiego harapa dawać znać o przejeździe jego, ażeby mu wszyscy z drogi umykali. Obecnie Tatarzy jeżdżą w dniach oznaczonych, pełniąc regularną służbę pocztową. W epoce powieści naszej jeździli wówczas tylko, kiedy były ważne jakieś do przesłania wiadomości.

Krzyki i trzaskanie coraz to się zbliżały i niebawem przyłączył się do nich odgłos tętentu kopyt końskich, wnet potem z głównej ulicy wypadło na rynek jeźdźców kilku na koniach spienionych, zmierzając wprost do konaku.

Z konaku wysypała się naprzeciwko nich cała podrzędna służba administracyjna.

Jeźdźcy byli od stóp do głowy kurzawą okryci. Kurzawa grubą warstwą osiadła im na odzieży i orężach, na policzkach i brodach – tylko oczy spod turbanów świeciły. Temu, co na czele jechał, połyskiwał na piersiach niszpan z brylantami, oznaka godności wysokiej.

– To nie Tatar prosty... – rzekł kir-Kosta półgłosem. – To czausz.

Rzeczywiście, był to czausz wielkiego wezyra.

Służba, poskoczyła do trzęzli i strzemion. Ten konia przytrzymał, ów ramię podawał; przysunięto pień stojący pod ścianą konaku i dostojnik spuścił się z siodła, na rękach zniesiony.

Udał się do musafirłyku, gdzie na niego kajmakan już czekał.

Jeden ze świty jego zażądał natychmiast koni świeżych.

Powstał ruch niezwykły. Po konie posłano wnet, a w musafirłyku częstowano gościa dostojnego wszystkim, co gościnność turecka posiada najwykwintniejszego. Tatły, woda, kawa, cybuch, szербety, jadła noszono i odnoszono jedno po drugim. Czausz jadł, pił, kurzył i sapał, a obok tego udzielał kajmakanowi rozkazów władzy najwyższej.

– Kauga... – od tego zaczął.

Kajmakan się pokłonił: służba wyraz ten, który na polski przetłumaczony znaczy „wojna”, wyniosła na zewnątrz.

– Spahie w pole wyciągną...

Kajmakan znów się pokłonił.

– Wszyscy do oręża zdolni uzbroić się i przygotować mają... Odnosiło się to jedynie do „wszystkich” wyznawców proroka.

– Drogi i przeprawy ponaprawiać... U przepraw okopy posypać... Podwojy i konie juczne przygotować...

To, zaś odnosiło się do rai.

Ostatni rozkaz tyczył się Marka. Czausz nazwał go „tym włóczęgą, przez którego zapisany cudacznym pismem papier znajdował się przed oczami paszy”, i kazał mu głowę odciąć i na pal ją na środku miasta wbić. Kazał to uczynić natychmiast, dowiedziawszy się od kajmaka, iż włóczęga rzeczony w więzieniu siedzi.

– Chcę głowę tę na palu oglądać... – rzekł wyrzucając z ust kłęb dymu.

– Ewet, effendim... – pokłonił się kajmakan. Skinął na onbaszę i dał mu rozkaz... rozkaz, który wykonany został w przeciągu kwadransa niespełna.

W jednej Turcji tylko chyba cuda podobne dziać się mogą. W przeciągu kwadransa niespełna na środku rynku tkwił pal i na palu tkwiła głowa, błada i krwią jeszcze ociekająca.

Czausz przez okno wyglądał i głową wstrząsał. Świeże konie były już osiodłane. Wstał więc z dywana, wyszedł, na koń wsiadł i przejeżdżając stępem przez rynek, zatrzymał się na chwilę przy palu. Kłątwe jakąś przez zęby rzucił i kułakiem martwej głowie pogroził, po czym konia ścisnął strzemionami i rzucił go w cwał. Tuman kurzawy zakłębił się spod kopyt i osłonił jeźdźca – a w tumanie tym ozwały się krzyki kałauzów i trzaskanie z batogów.

Powtarzam: cuda podobne w jednej tylko Turcji dziać się mogą.

Kto by jednak myślał, iż rozkaz czausza posiadał potęgę taką, że sprowadził do Jagodyny bohatera naszego w osobie jego własnej, ten by się grubo omylił. Nie – nie był to Marko, lecz tylko Marka wyręczyciel, wyszukany w sposób bardzo prosty.

Onbasza dostał rozkaz – i rozkaz ten wykonać musiał, bądź co bądź. Cóż rozkaz ów znać czył właściwie? – oznaczał karę za winę, która popełniona została. Popełnił ją Marko, ale Marka nie było. Miałaż wina ująć bezkarnie, dlatego tylko iż winowajca uciekł?

Kara w tureckim pojęciu sprawiedliwości znaczy: przykład, groźbę i przestrożę.

Winowajca uciekł, ale wina istniała, a z nią razem i potrzeba zadośćuczynienia sprawiedliwości, to jest istniała połowa istoty czynu najważniejsza, którą należało dopełnić połową drugą, ażeby z jednej strony utrzymać powagę władzy rozkazującej, z drugiej utrzymać powagę sprawiedliwości karzącej. Należało przeto wyszukać kogoś kogo by można pod winę podciągnąć.

Kogóż mianowicie?

Kwestia ta nie mogła się oprzeć o kogo innego, jeno o kir-Kostę, jako o człowieka najlepiej uświadomionego z całym sprawą Marka przebiegiem.

Kir-Kosta nie namyślał się długo. Miał do wyboru rzeczywistych lub domniemanych – co w oczach takiej jak turecka sprawiedliwości stanowi jedno i to samo – spółwinowajców zbiega, którzy się mu w następującym przedstawiali porządku:

Hadzi-Petar, z trzech synów jego jeden, jeden z pięciu jagodyńców, co czasu onego po sól do Milanowca chodzili, i Jewta-bakalin. Przesunął szybko w myśli swojej postaci ich, każdą z osobna, jedną po drugiej, przy każdej zrobił brwiami jakiś gest niewyraźny, a w końcu uśmiechnął się i rzekł:

– Jewta-bakalin.

Onbasza, choć Turek, wzdrygnął się, krok w tył ustąpił i oczy szeroko otworzył.

Kir-Kosta dodał głosem spokojnym:

– Przecież włóczęga ten w domu bakalina się przechowywał...

Na to nie było repliki możliwej, tym bardziej iż czas naglił.

Czausz czekał.

Onbasza skinął na podwładnych swoich. Drogę miał niedaleką – przez szerokość rynku tylko. Czynienie za winowajcą poszukiwań niepotrzebne było. Bakalin, niczego się nie domyślając, nic nie przeczuwając, stał na progu dugany swojej i przypatrywał się orszakowi dostojnika przybyłego. Onbasza go nie pozdrowił nawet. Dał tylko ręką znak i kawasi, pod ramiona go ująwszy, przez jego własną sień na jego własne wyprowadzili podwórze.

Egzekucja odbyła się bardzo prędko.

– Co to znaczy?... – krzyknął Jewta ręce wrywając. Bakalinica uśmiechnęła się złośliwie.
– Czego się śmiejesz?... – gniewnie na żonę wrzasnął, podczas kiedy mu Turcy ręce w tył wiazali.

– Tyś mnie bił... – odrzekła kobieta i w chwili tej zbladła jak chusta.

Odpowiadając mężowi ujrzała, jak onbasza nóż zza pasa wyciągał flegmatycznie.

W sercu kobiety tej odegrała się błyskawicznym sposobem cała gama uczucia i odbiła się na jej obliczu. Złośliwy uśmiech zastąpiła bladość przerażenia, przerażenie ustąpiło miejsca wściekłości. Z roziskrzonymi, niby tygrysyca, oczami skoczyła na oprawców i pochwyciła za nóż. Niestety! obrona jej okazała się bezsilna wobec przemocy. Na nic również nie przydały się protestacje, tłumaczenia i prośby bakalina. Dwóch przytrzymało szarpiącą się kobietę; dwóch przytrzymało związanego za ręce i nogi i na ziemię zwalonego skazańca, a jeden przykląkł i wykonał operację ze spokojem i flegmą rzeźnika sprawiającego barana.

Przy operacji całej Turcy zachowywali milczenie zupełne. Zastanowiły ich tylko ostatnie, pod nożem już wyrzeczone przez Jewtę-bakalina słowa:

– Sam tej nocy na siebie wyrok wydałem... Dobrze mi tak! Boże, przyjm grzeszną duszę moją!...

Oderzniętą, oczami jeszcze łypającą i językiem bełkoczącą głowę wziął onbasza za włosy i wyszedł. Za nim wyszli i podwładni jego. Przy buchającym krwią tułowiu pozostała rwąca sobie na głowie włosy, kułakami się w piersi bijąca i wniebogłosy wrzeszcząca kobieta.

W sposób ten, bardzo prosty zadość się stało i sprawiedliwości tureckiej, i interesom kir-Kosty. Grek pozbył się spółzawodnika, dzielającego z nim wpływy w oficjalnej sferze społeczeństwa jagodyńskiego.

Gdy głowa Jewty-bakalina na palu utkwiła, na mieszkańców chrześcijańskiej w Jagodynie mahały padła trwoga błada, przychodząca razem z zapowiedzią wojny. Doraźna ta egzekucja dawała niejako przedsmak plagi, zawieszanej nad głowami ludności całej. Wyraz „kauga”, niby jęk bolesny, zabrzmiał w powietrzu, połamano się na echa i zadzwonił w uszach, z ust do ust podawany. Dzieci, przeczuciowym wiedzione instynktem, do matek się tuliły, kobiety głośno płakały, mężczyźni patrzyli sobie w oczy wzrokami suchymi, w których malował się w szerokich rozmiarach wyraz zapytania.

Na rynek nikt głowy wychylić nie śmiał. O winę, za którą bakalin gardłem zapłacił, nikt nie pytał: wszyscy bowiem zrozumieli, że w momencie rozpoczynającej się wojny Turcy potrzebowali na ludność chrześcijańską postrach rzucić. Było to ostrzeżenie, które w podobny sposób powtórzyło się w Kruszacu, Kragujewcu, Belgradzie, Smederowie, słowem wszędzie, Salus imperii suprema lex esto. Co tam... głów kilkanaście!...

Kir-Kosta obojętnie spoglądał na bladą na palu głowę: obojętnie słuchał echowego chóru jęków powietrzem płynącego; drgnął tylko, gdy wołanie muezzina z minaretu usłyszał.

– Namaz!... – zawołał. – Który to?...

Spojrzał na słońce.

– Czwarty!...

Porwał się sprzed konaku, przed którym, przesuwając w palcach różaniec, z podgiętymi siedział nogami, i pośpieszył do Ormianina, co pachnidłami handlował. Gdy przed sklep pachnidlarza przechodził, następujące usłyszał wyrazy:

– Wścieka się...

Głową wstrząsnął i wszedł do izby, w której raz już widzieliśmy go w towarzystwie Fatmy-hanem.

I tym, razem to samo czekało na niego towarzystwo.

Głuchoniema siedziała do ściany przytulona, starannie w jaszmak owinięta i jakby strwożona czy zdziwiona. Fatma-hanem leżała na dywanie. Jaszmak z głowy zrzuciła, dłonie w kułaki zaciskała, nogami o materac, niby rozkapryszone dziecko, biła.

Jak skoro kir-Kostę we drzwiach ujrzała, zerwała się i usiadła.

– Ach! ty, kir-Kosto! kir-Kosto!... ach! ty psie obrzydliwy:...

– Hanem!... – odrzekł Grek na tę przemowę słodką.

– Tyś taki, że dotknąć się ciebie rodzona matka brzydzić się powinna!...
Grek stał z głową spuszczoną.

– Ten pał na rynku... wszak dla niego przeznaczony był? Grek milczał.

– A czy wiesz ty, iż gdyby na pału utkwiała była głowa jego, to zaraz obok, na drugim pału, byłaby utkwiała głowa twoja?

– Ty wiesz, hanem...

– Ja wściekła!... we mnie piekło gore!... Gdzie on?

– Hanem, będę szukał i śledzi!...

– Szukaj i śledź, o! szukaj i śledź!... – podchwyciła Turczynka – ale nie jego już tylko samego... szukaj i śledź jego i ją!...

– Ją?!... – odezwał się Grek zdziwiony.

– Ją!... tę, co mi go z objęć wydarła!... O! piekło!... Pięść do góry zaciśnioną podniosła. Grek wpadał w podziw coraz to większy.

– Gdybym ją do rąk moich dostać mogła, poszarpałabym w kawałki!... A naprzód palcami wydłubałabym jej oczy!... O! te oczy!...

I wyciągnęła dłonie, pozginawszy palce na kształt szponów.

– Poraziła mnie oczami jak piorunem, że nie wiedziałam, gdzie się ukryć i wydarła mi go, wydarła!

– Hanem! – podchwycił Grek – stoję oto przed tobą, podziwienia pełen, i nic nie rozumiem. Ten, o którym mówisz, został wczoraj pojmany i do apsu zamknięty. I uciekł. Ja wiem tylko tyle. Ty, zdaje się, wiesz więcej. Raczej mnie oświecić, ażebym mógł poszukiwanie ułatwione mieć.

– Ciebie oświecić? Gdybym w rękę pochodnię rozpaloną miała, to bym ci nią w oczy cisnęła... Toż byś się oświecił!... Cha, cha, cha!...

I śmiać się poczęła śmiechem nienaturalnym.

– Chce, żebym go oświeciła, kiedy ja sama nie wiem o niczym!

– Będę go szukał i znajdę, jeżeli ty mi powiesz.

– Nie jego tylko samego, ale i ją.

– I ją... – zawtórował Grek. – Lecz rozpowiedz mi, hanem, jak to było.

– Jakże być miało! – odparła Turczynka głosem znacznie spokojniejszym. – O... tak.

Zająknęła się, nie dlatego ażeby opowiadać nie chciała, ale dlatego że w myślach jej zamęt panował taki, iż z niego opowiadania porządnego wysnuć nie była w stanie. Poznał to domyślny kir-Kosta i z pomocą pośpieszył.

– Widziałas go nocy tej?

– Widziałam...

– Gdzie?...

– W ciemnicy.

– Mówiłaś z nim?...

– Mówiłam. Dźwięk jego głosu słyszałam... dźwięk, który mi w słuch wlał się, niby naj-słodszego miodu strumień...

– Byłaś więc w ciemnicy?

– Przecież mówię ci, że była!... – odparła zniecierpliwiona. – Byłam... Weszłam z kagańcem w rękę drzwiami skrytymi i znalazłam go na środku. Stałam przed nim; on stał przede mną...

Kir-Kosta z natężoną słuchał uwagą, każdy wyraz – jak się to mówi – pożerając. Lecz Turczynka nie była w stanie opowiadania prowadzić porządnie.

– On stał przede mną... Widziałam go... Co za postać junacka!... Co za wzrost topoli!... Co za wzrok orli!

– Weszłaś przez drzwi skryte i drzwi za sobą zamknęłaś?
 – Mówię ci, że weszła! Czemuż przerywasz mi?
 – I drzwi za sobą zamknęłaś? – powtórzył Grek, który w bezładnym opowiadaniu zoczył przewijającą się nitkę, której koniec ująć chciał, ażeby mógł po niej do kłębka dojść.
 – Zamknęłam... tak... nie!... przymknęłam. Drzwi zewnątrz zamykają się na kłódkę, a wewnątrz nie mają ani klamki, ani zasuwki.
 – Cóż dalej, hanem?
 – Ja stałam przed nim z kagańcem w ręku. On stał przede mną ze spuszczoneymi w dół oczyma jak dziewica wstydliva, pierwszy raz do małżeńskiej łóżnicy przywołana... Zachwycający!... Moje oczy pasły się widokiem jego, jak zgłodniała gazela pasie się trawą na łące, świecącej brylantami rosy... Byłabym go zjadła!...
 Każdy z ust Turczynki wychodzący wyraz nabrzmiał był dziką jakąś namiętnością. Grek spostrzegł, że opowiadająca wątek już traci. Próbował więc ją z błędnego nawrócić toru.
 – Cóż on mówił ci?
 – On jeden tylko wymówił wyraz.
 – Jaki mianowicie?..
 – On jeden tylko wydał dźwięk, czystszy od dźwięku słowika, śpiewającego w noc majową, piękniejszy od muzyki komarów, rozbrzęczonych nad jeziorem w porze wieczornej.
 – Cóż ona?..
 – Wydarła mi go!... – krzyknęła Turczynka gwałtownie.
 – Hanem, bądź spokojna. Odszukam jego i ją, tylko zbierz wspomnienia swoje i opowiedz, jak to było.

Przemówienie to uspokoiło Turczynkę nieco.

– Skąd się wzięła ona?..
 – Nie wiem, skąd... – odrzekła zapytana. – Nie słyszałam wejścia jej. Ujrzałam ją nagle...
 – Cóż to za jedna?..
 – Nie wiem...
 – Nieznajoma ci?..
 – Nie...
 – Stara?... młoda?..
 – Nie wiem...
 – Widziałaś ją przecie...
 – Widziałam tylko oczy jej... Straszne oczy!... Dwa pioruny!... Strzeliły we mnie... powaliłam się, wypuściłam kaganiec z ręki... I potem już nie widziałam nic... Było ciemno... Zostałam sama... Drżałam jak listek; wyszłam na omacki z ciemnicy... Dzień świtać począł...
 Opuszczamy ciąg dalszy rozmowy, zapelnionej wykrzyknikami, uniesieniami i pogroźkami, jakie sypnęły się gradem z ust kobiety rozjątrzonej. Kir-Kosta, obelgami obrzucony, wytrzymał burzę ze spokojem, godnym urzędnika tureckiego, i rozstał się z panią swoją w komitywie jak najlepszej, nie biorąc zbyt do serca uprzejmych obietnic pała, szubienicy i topora, którymi go uczęstowała hojnie. Baba pytlowała językiem; on stał i słuchał porządkując w myśli te dane, jakich mu udzieliła.

Dowiedział się o wszystkim i nie wiedział nic. Co go najbardziej z tropu zbijało, a zarazem zastanawiało, to kobieta owa, co Marka z więzienia wyprowadziła.

Ta kobieta ćwiekiem mu się w mózg wbiła naprowadzając go na domysł zmywy jakiejś, istniejącej pomiędzy Serbami i mającej stosunki w konaku. Wyobraziło mu się zrazu, że to z odalisek która wyratowała więźnia.

– To inaczej być nie może... Któż inny mógłby się znaleźć w haremowym ogrodzie i to właśnie w chwili, kiedy hanem drzwi od więzienia otworzyła!... Głupia kobieta! (myślał o małżonce kajmakana) przelękała się służebnicy własnej, która zapewne postarała się o to, ażeby poznaną nie być...

Domysł ten atoli, jakkolwiek posiadający wszelkie prawdopodobieństwa pozory, był domyślem prostym póty, póki by nie poparło go imię własne. Przypuściwszy bowiem, że istotnie jedna ze służebnic Ali-agi uwolniła Marka, to pytanie, która mianowicie?...

– Jak tego dojść?

Za pomocą śledztwa w haremie... Lecz ażeby śledztwo zarządzić, potrzeba by o wszystkim uwiadomić Ali-agę i skompromitować przed nim Fatmę-hanem.

Kir-Kosta odrzucił sposób ten, jako niepraktyczny.

– Można by wprowadzić śledztwo przeprowadzić przez samą Fatmę-hanem... gdyby jej nie zaślepiła namiętność.

Kir-Kosta sposób i ten odrzucił.

Idąc powoli, w zamyśleniu od Ormianina wszedł na rynek, zatrzymał się i na pal spojrzął.

Koło pala kręciło się kilkanaścioro dzieciaków tureckich, które grudkami i kamykami na głowę ciskały, wymyślając giaurowi, który na nią z góry martwymi patrzył oczami. Śmiechy jej wielce usta otworzone. Usiłowały w nie kamyk wrzucić wprawiając w ten sposób ręce i serca do służenia kiedyś pożytecznie państwu, którego były obywatelami przyszłymi. Kir-Kosta nie wziął kija i nie rozpędził tej zgrai szczeniąt w ludzkiej postaci, pomimo że widok głowy bakalina wydarł mu z piersi westchnienie.

Kir-Kosta westchnął.

Jakżeżbyśmy radzi byli, gdybyśmy mogli westchnienie to na rachunek zgryzoty sumienia zapisać!...

Niestety! nie zgryzota sumienia wydobyła je z piersi dragomana. Pod względem tym w duszy kir-Kosty panował spokój jak najzupełniejszy. Lecz żal mu się za bakalinem zrobiło, albowiem taka mu w głowie strzeliła myśl:

– Ktokolwiek więźnia z ciemnicy wyprowadził, to Jewta o tym wiedział... Gdyby żył, można by od niego wiadomość tę wydobyć... A tak?... Hm! stało się...

Pomyślał przez chwilę.

– A bakalinica? Może z niej coś wyciągnąć się da?... Przeszedł powoli przez rynek, zbliżył się do domu nieboszczyka, zatrzymał się i ucho nadstawił. We wnętrzu domu brzmiał przeciągły, nieustający lament:

– Jau! jau!... kuku meni!... kuku lele!

– Co za głupia baba!... – rzekł do siebie i uśmiechnął się. – Tłukł ją za życia, tłukł od rana do wieczora, a ona za nim po śmierci jego kuka!... Kukajże sobie, aż się wykukasz...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NA PRZEPRAWIE

Jeżeli dowiedzieć się chcemy, co się z bohaterem naszym stało, opuścić musimy Jagodynę. Wyszedł on – chodźmyż za nim i my.

Wyszedł – ale gdyby go się kto spytał, dokąd i po co byłoby mu odpowiedzieć trudno. Znajdował się w usposobieniu umysłu nader dziwnym. Chwilami przejmowała go na wskroś jakaś rzewność niepojęta – na płacz mu się zbierało; chwilami znów owładnął go gniew wielki – chciało mu się coś mieć pod ręką do łamania, tłuczenia, bicia.

Szedł – dokąd? i po co? wszystko mu tam było jedno. Szedł, bo widział przed sobą postać barczystą i wyniosłą, za którą ruszył spod czereśni i raz ruszywszy, już się jej trzymał, nie zdając sobie sprawy, dlaczego czyni tak, a nie inaczej. Dlaczego zaś sobie sprawy nie zdawał? Nie miał na to czasu. Potrzebowałby zastanowić się, pomyśleć. Pomyśleć? Stało się to niepodobieństwem. W głowie Marka taki panował odmęt, iż dla wprowadzenia w odmęt ten porządku jakiego takiego musiałby wypocząć i umysł uspokoić.

Milenko postępował przodem, Marko za nim, niby cień. Szli zrazu śpiesznie, następnie wolniej, trzymając się manowców, na których plątały się ścieżki co chwila ginące. Milenko jednak o drogę nie pytał. Na manowcach kierował się, jakby na trakcie bitym. Snadź okolica znana mu była doskonale, bo dla zorientowania się potrzebował tylko głowę podnieść i okiem rzucić.

Ruszyli w drogę o zmroku porankowym i byli widzami narodzin dnia. W oczach ich niebo na wschodzie zarumieniło się jutrzenką, zrazu bladoróżową, dalej coraz to czerwienią; w oczach ich gwiazdy bladły i gasły, ciemności nikły stopniowo, dzień się przebijał, tumany się z dolin podnosiły, jutrzienka traciła kolory i spoza niej wydobywało się powoli słońce, aż się wytoczyło wielkie, wspaniałe, powitane hymnem przyrody, który się rozdzwonił w powietrzu. W górze szczebiotał skowronek, niżej brzmiały owady, na polach były przepiórki, na łąkach odzywały się koniki polne. Wszystko to śpiewało, zda się, chórem:

– Witaj, słońce!...

A skowronek, zdawało się, zapytywał Milenka i Marka:

– A dokąd-to wy?... czy nie do pracy?...

Marko na zapytania te nie zważał wcale. Milenko jednak, zdaje się, zważał, bo razy kilka oczy na skowronka zwracał przenosząc je następnie w lewo i wodząc nimi, jakby czegoś na widnokręgu szukał.

Szukał snadź, bo znalazł. Zatrzymał się na wzgórzu i zwracając się nagle do Marka, rękę wyciągnął, i rzekł:

– Patrz!...

Marko popatrzył, lecz hajdukowi w oczy.

– Patrz, nie na mnie, ale tam!... widzisz?...

W kierunku, w którym szedł Milenka palec-ukaziciel, zarysowywało się w dali kilka wież smukłych, w górę wystrzelonych i błyszczących. Promienie wschodzącego słońca odbijały się od blaszanego ich pobicia, czyniąc z nich niby płomyki opromienione. Spodem widniały bryły białe, mające kształty podłużne, kwadratowe.

– Widzisz?... – zapytał Milenko.
 – Co?... – odparł Marko.
 – Jagodynę... Przypatrz się jej z daleka, może po raz ostatni...
 – Ostatni? – zapytał Marko tonem, w którym dzwoniło zdziwienie.
 – Tak, Boga mi!... – podchwycił Hajduk z przyciskiem. – Patrzyłbyś już na nią oczami trupimi... przebiłbym ci piersi nożem na wylot... gdyby nie... nie... Serbia!...
 Marko nie rozumiał znaczenia wyrazów tych.
 Milenka oczy gniewem się iskrzyły.
 – Tyś mi wszedł w drogę, a ja nie lubię, gdy mi kto w drogę wchodzi... Jeżeli to Turczyn, posyłam mu kulę i koniec... Takiego zaś junaka jak ty miałbym ochotę wyzwać na rękę i spróbować się z nim w boju samowtórny... Z tobą jednak nie mogę...
 Pomyślał przez chwilę i powtórzył dobitnie:
 – Nie mogę!...
 I zaklął ciężką klątwą w trzeciej osobie.
 Marko, wzrok na jagodyńskich zawiesiwszy minaretach, słuchał mówienia i klątw Milenka z obojętnością jak najzupełniejszą, pochodzącą stąd, że nie wiedział, iż słowa hajduka do niego się odnosiły. To zachowanie się Marka drażniło Milenka. Widać było na nim, że się powściąga od jakiegoś czynu gwałtownego. Zmarszczył brwi, targnął wąsy, mruczał i po chwili, jakby nagle coś sobie przypomniał, sięgnął ręką w zanadrze, wydobywając zza pazuchy chustkę kolorową, w czworograniasty zwitek starannie złożoną.
 – Gadałbym ja z tobą inaczej, gdyby nie to... – rzekł pokazując Markowi zwitek.
 Rozwinął. W chustce był papier, złożony w kształcie listu, czerwonym zapieczętowanego lakiem.
 – Masz!...
 Marko list z rąk hajduka wziął, na pieczęć okiem rzucił i w jednym oka mgnieniu się zmienił. Niecierpliwie rozłamał pieczęć, szybko rozwinął ćwiartkę i chciwie przebiegł ją oczyma.
 Na twarzy jego widać było odzyskanie.
 Odczytał i na Milenka spojrzął.
 – Cóż?... – zapytał ten ostatni.
 – Mamy na koniec wojnę...
 – To dobrze... To ja już o tym wiem... A także i o tym, że ja, harambasza, pan Gór Pekskich i Omolijskich, obowiązany jestem być posłuszny rozkazom twoim...
 – Wiesz więc, bracie, o wszystkim – podchwycił Marko – o czym ci wiedzieć potrzeba... Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko śpieszyć... Chodźmy!
 – O!... pss... – zawołał Milenko na Marka, który, wymówiwszy wyraz ostatni, zwrócił się i ruszył.
 Marko patrzył mu w oczy wzrokiem pytającym.
 – Co innego śpieszyć, a co innego Turkom w ręce leżać... Zobowiązałem się słowem hajduckim naprzód oddać ci pismo do rąk, a następnie przeprowadzić cię całego i żywego.
 – Więc prowadź!...
 – Poprowadzę, ale trochę poczekawsz... Mamy się przeprowadzić przez Morawę...
 – Więc cóż?
 – Na wszystkich przeprawach Turcy czuwają.
 – Musimy jednak Morawę przebyć.
 – Musimy i przebędziemy, ale nie w dzień... Poczekajmy do wieczora i w nocy...
 Gestem dokończył frazesu, a gest ów oznaczał pływanie.
 – Ażeby do brzegu Morawy dojść, trzeba przez otwarte przechodzić pole; przepłynąwszy potrzeba znów iść polem otwartym... Rzeczy takich pod okiem Turków robić nie można przy

świetle słonecznym... Turcy byliby radzi, gdyby dostali ciebie i mnie za jednym zamachem... Mieliby dwie w sieci jednej grube ryby... Musimy więc poczekać do zmroku.

Marko brwi zmarszczył i westchnął. Zmarszczenia brwi powodem była zapewne zwłoka; westchnienie musiało mieć inny jakiś powód. Milenko, nie spuszczać z bohatera naszego oka, dostrzegł jedno i drugie.

Powiedzieć trzeba, że od chwili odczytania listu przez Marka i zmiany, jaką list ten w nim sprawił, hajduk uczuł wyższość towarzysza swego nad sobą. Póki pierwszy był roztargniony i jakiś nieswój, póty ten drugi zajmował względem niego stanowisko dominujące. Lecz dość było jednego wejrzenia, ażeby ich role wnet się zmieniły. Stanowisko panujące przeszło na stronę Marka. Z tego jednak bynajmniej nie wynikało, ażeby w sercu Milenka wygasnąć miał żal, jaki się w nim urodził, gdy w przełożonym swoim znalazł współzawodnika. Żal swoją istniał drogą obok posłuszeństwa, do którego się czuł obowiązany. Można nawet przypuszczać, że tłumiony był tym silniejszy! Wyrażał się w ponurym wejrzeniu i w pewnym mruczeniu, spólnym drapieżnym zwierzętom i ludziom, co jak Milenko wyzwolili się z wędzidła praw wszelkich.

– Możemy tu sobie pospać do wieczora... Nie mamy nic do roboty lepszego...

I dając z siebie przykład, legł na trawie.

Marko nie od razu dobry ten naśladował przykład. Cos nim, że się tak wyrażę, kręciło. Chodził, myślał, zatrzymywał się, ku Jagodynie spoglądał, znów chodził.

Milenkiem także coś kręciło. Legł, lecz nie od razu zasnął, pomimo że należał do tego rodzaju śmiertelników, co to sen mają na zawołanie. Byle kułak pod głowę, natychmiast śpią. Tak bywało zawsze. Tym razem jednak wyciągnął się na wznak, twarzą do słońca, powieki mrużył i zasnąć ani weź. Przewracał się z boku na bok, podkładając pod głowę kułak raz jeden, znów drugi i kłął:

– Tfu!... majka niegowa...

Zauważył Marko ten towarzysza kłopot.

– Przespałeś noc, dlatego spać nie możesz...

– Niby mi to kiedy przeszkadza!... Jak chcę, spać mogę z rzędu trzy noce i trzy dni...

Nie przesadzał. Zdarzają się takie natury szczęśliwe. Koło południa jednak ziewnął razy parę i zachrapał. Chrapanie Milenka w zaraźliwy na bohatera naszego podziałało sposób Jeden zasnął przed południem, drugi po południu i do koncertu koników polnych, którym łąka brzmiała, przyłączył się duet, w którym za instrumenta służyły gardziele dwóch ludzi silnych. Nie zapominajmy o tym, że Marko noc spędził na rozprawianiu się z cudami, co go setnie zmęczyło, i z powodu tego nie dziwmy się, że wspomnienie Anki nic zdołało przemóc potrzeby natury.

Zasnął nie opodal od Milenka, zwrócony twarzą do słońca, które szło sobie dalej drogą swoją codzienną. Owady zleciały się i brzęczącą chmurą zawisły nad uśpionymi. Wężyki, zielone z wierzchu, pstre spodem, prześlizgiwały się i podnosząc łebki ciekawie przypatrywały się obliczom, wydającym sapanie, podobne do sapania miechów kowalskich. Gdyby te owady i te wężyki zrobiły donos Turkom, Turcy mogliby przyjść z rozjazdem jak na przepiórki, nakryć w trawie i złapać dwóch ludzi, których głowy figurować by mogły na palach z wielkim dla triumfu ottomańskiego władania pożytkiem.

Lecz muszki i płazy donosu nie zrobiły, bohater więc nasz i Milenko przez nikogo niepokojeni nie byli. Hajduk ocknął się pierwszy. Zerwał się, przetarł dłonią oczy i na słońce spojrział. Tarcza słoneczna zapadała już na siniejące na zachodzie lasy, a na ziemi, od wyskakujących w górę przedmiotów, stały się cienie długie.

– Hej!... a no!... – krzyknął. – Dosyć spania! Marko się zerwał także; także oczy przetarł i spojrział, ale nie na słońce, lecz na minarety jagodyńskie. Milenko brwi zmarszczył.

– Pora nam w drogę...

Marko wciąż na minaretach oczy trzymał.

– Czego tam patrzysz?... Nie patrz... Tyś mi czetowożą do wojny, ale poza wojną, co moje, to moje; i gdybyś ty był nie kapetanem, ale padyszachem, to... daremne by było twoje na Jagodynę spoglądanie... Dziewojka jest moją narzeczoną; trzeba, żebyś wiedział o tym...

Marko w chwili tej przypomniał sobie, że przy pierwszym z Milenkiem spotkaniu była o dziewczynie mowa.

– Twoją narzeczoną?... – rzekł tonem zapytania.

– Boga mi... – odparł hajduk. – Hadzi-Petar przyrzekł ją dla mnie Hadzi-Wukowi na poświęceniu śmiertelnej.

– Któż to był Hadzi-Wuk?...

– Zapytaj o niego w Jagodynie, a dowiesz się czy mu przyrzeczenia nie dotrzymać można... Jam ją na rękach wynosił... Ja ją kocham!

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

– I ja ją kocham... – podchwycił Marko żywo, ale tonem spokojnym i naturalnym.

Kto widział lwa podrażnionego, gdy mu się nagle grzywa zjeża i oczy pioruny gniewu ciśkają, ten może mieć wyobrażenie o Milenku, gdy wyraz „kocham”, wymówiony przez Marka, o słuch jego trącił. Czoło mu się w głębokie sfałdowało bruzdy, włosy najeżyły, oczy spod brwi groźnie nasuniętych wściekłością strzeliły, kułaki ścisnął, zębami zgrzytnął i... westchnął. Nie było to jednak westchnienie zwyczajne, ale raczej krótkie, urwane ryknięcie, podobne do ryku byka rozjuszonego. Szczęściem, przebrany za sielaka, nie miał przy sobie broń żadnej, z którą by mógł natychmiast na przeciwnika się rzucić. Szczęściem również, przeciwnik ów zachować umiał taką zimną krew, umiał mu z takim wyrazem spokoju i wyższości w oczy spojrzeć, że Milenko, w nasrożonej postawie i z zaciśniętymi kułakami, pozostał na miejscu jak wkopany.

Głową wstrząsnął, przez szeroko rozwarte nozdrza z głębi piersi odsapnął.

– Mmmm!...

Po chwili się odwrócił i odetchnął.

I uspokoił się.

– To tak – rzekł. – Nas dwóch pozostawać przy życiu nie może. Ja ją kocham i ty ją kochasz... Ja bym się śmiał z twego kochania, gdyby nie... gdyby... hm... hm...

Nie umiał wyrazić myśli, wiszącej mu na końcu języka. Nie chciał może wypowiedzieć domysłu, który w chwili tej w głowie jego się urodził: że ta, co wyprowadziła współzawodnika jego z więzienia, wyprowadziła go zapewne dlatego, że jej serce lgnie do niego. Nie znał szczegółów zdarzenia tego, stało mu jednak ono nagle w oczach i zmieszało go. Miał jakiś na języku wyraz, a nie mógł wymówić jego. Nie wymówił więc wyrazu tego.

– Tak – rzekł. – Świat szeroki, lecz dla nas dwóch miejsca na nim za mało... Pomiędzy nami stoi Anka i my jej rozdrzeć na dwoje nie możemy... To darmo. Jeden drugiemu ustąpić musi. Ciebie, bracie, nieszczęście pod dach Hadzi-Petara sprowadziło. Jakie lichy cię tam powiodło?...

– Jakie?... – zapytał Marko.

Bywają zapytania, zawierające w sobie odpowiedź. Takim właśnie było to, które zadał nasz bohater. Hajduk zaklął.

– Ha!... Pomiędzy nami stoi Anka i dzieli nas... Pomiędzy nami stoi Serbia i łączy nas... Komu tu pierwszeństwo należy?... Popatrzył Markowi w oczy.

– Ha!... Chodźmy... Pora nam w drogę... Popatrzył na słońce, które już się za lasy chowało.

– Nad brzeg Morawy przyjdziemy w sam czas... Ruszył przodem, Marko za nim. Spuścił się w dolinę, której środkiem płynął ruczaj i szli w milczeniu brzegiem ruczaju brnąc w trawie po kolana. W poprzek kierunku ich drogi przechodził trakt bity. Milenko się zatrzymał, ucha nastawił i przykląkł, dając znak ręką towarzyszowi swemu, ażeby to samo uczynił. Przyległ następnie i dał w trawę nurka. Zielona łąka zwarła się nad dwoma zbrodniarzami stanu i niebawem na trakcie słyszeć się dał tętent szłapią idących koni i ukazało się jeźdźców trzech.

Turbany na głowach, bogata odzież i pistolety z za pasów sterczące znamionowały wyznawców proroka. Milenko podniósł ostrożnie z trawy głowę. Usta hajduckie cichą, ale dobitną uroniły klątwę, po której nastąpiło westchnienie. Po westchnieniu, gdyby kto ucha nastawił, następujące usłyszałby wyrazy:

– Ach! gdybyż mi tu puszka moja... puszka srebrem nabijana... tożto bym spuścił z konia tego, co przodem jedzie!... Zawój tyftykowy, odzież nowiutka, złotem szyta, pistolety perłami wysadzane... O! puszka moja!...

Dla zrobienia sobie jakiej takiej satysfakcji wyciągnął ręce, jakby w nich strzelbę trzymał, i mierzył do Turka na przedzie jadącego, przymrużywszy oko lewe. Mierzył; prowadził za nim, niby lufą strzelby – Turek przejechał, Milenko zaklął klątwą największą i na nogi skoczył.

– Jak nie potrzeba, to sami człowiekowi w ręce leżą!... A jak potrzeba, to zasiadasz tydzień, dwa i nic... i nic!... Majka niegowa!...

A do Marka się zwracając, krótko i sucho rzucił mu wyraz:

– Chodźmy...

Przekroczyli trakt w poprzek i weszli na wzgórze, na pola zbożem zasiane. Szli czas jakiś polami, aż dostali się pomiędzy krzaki, które ich doprowadziły do lasku. Za laskiem odkrył się przed nimi widok doliny obszernej, z połyskującą w dali srebrzyście szarą.

Słońce zaszło. Ziemię spowijał zmrok wieczorny, coraz to bardziej gęstniejący.

– Widzisz tę smugę jasną?... – rzekł Milenko do Marka.

– No?... – odrzekł ten ostatni.

– To nasza Morawa...

„Nasza”, z przyciskiem wymówione, miało znaczenie swoje. Jest bowiem Morawa serbska i Morawa bułgarska. Schodzą się one razem powyżej małego miasteczka, zwanego Warwarin, i geografia zna dalej jedną już tylko Morawę. Lecz Serbowie mają sobie za punkt honoru stwierdzać przy sposobności każdej, że rzeka, płynąca po połączeniu wód, jest Morawą nie bułgarską, ale serbską, tak jak niektórzy tego są przekonania, że po zlaniu się wód Sawy z wodami Dunaju, dalej ku morzu płynie nie Dunaj, ale Sawa, i mają na to dowody, które może kiedy hydrografia pod rozpatrzenie weźmie. Być może, iż dowody te dowodzą tylko żywości patriotyzmu nieokrzesanego. Nie jest to jednak kwestia do powieściowego nadająca się traktowania. Zaznaczam ją i do opowiadania powracam.

Już ciemno było zupełnie, kiedy bohater nasz i Milenko nad brzegiem rzeki stanęli.

– No... – rzekł ten ostatni. – Za jednym zamachem będziemy mieli i kąpiel, i przeprawę...

I rozbierać się począł.

Marko jednak nie rozbierał się.

– Cóż ty myślisz sobie, kapetanie Marku?...

– Myślę, co to będzie za przeprawa...

– A no... Pójdziemy wplaw... Z odzieży robi się turban i haj...

– Ty umiesz pływać, ale ja nie umiem...

– Uha!... Masz tobie!...

– Nie umiem... – powtórzył Marko.

– A jakżeś ty chciał, ażebyśmy się przeprawili?...

– Łódką... czołnem...

– Ho, ho! to dobre dla ludzi, co chodzą po dniu drogami prostymi, jak się to mówi. Ale dla takich jak ja i ty...

– Ja całe życie moje chodziłem po dniu drogami prostymi... – podchwycił Marko tonem, w którym żartobliwość brzmiała.

– To to i źle... – odparł Milenko. w głowę się drapiąc, jak czynić zwykli ludzie frasunku doznający. – Ale nie każdemu dano umieć pływać... Nie każdy pies to potrafi, a nie dopieroż

człowiek. Cóż tu robić teraz?... Iść na przeprawę do Głodowca albo do Cziuprii?... i daleko, i niebezpiecznie... Hm... hm...

Zamyślił się na chwilę.

– No?... – rzekł, jakby postanowienie jakieś powziąwszy.

– Cóż?... – zapytał Marko.

– Rozbieraj się...

– Ale ja pływać nie umiem...

– To nic. Rozbieraj no się...

– Ale cóż będzie?...

– Nie pytaj... Wiem ja, co będzie... W tym już głowa moja... Rozbieraj się tylko prędko, bo czas uchodzi, a mamy przed sobą szmat drogi do zrobienia...

– Chybaż tę drogę beze mnie będziesz robił, bo ja pójdę na dno jak kamień, skoro tylko na głębie się dostanę...

– To znaczy, że masz głowę ciężką... Z takimi głowami bywają konie, ale na to jest rada... Takiego konia uwiązuje się krótko do ogona takim, co ma głowę lekką i płynie... Popłyniesz i ty... Morawa ma prąd silny przy tamtym dopiero brzegu... Rozbieraj się i daj mi odzież swoją...

Przekonany argumentami tymi, Marko zrzucił z siebie wszystko, co miał na sobie i znalazł się wkrótce w stroju takim samym, w jakim chodził praojciec nasz, Adam, w raj, przedtem nim Ewa pokosztowała owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Milenko ze swoich i jego rzeczy przy pomocy pasa sformował rodzaj czapy ogromnej, którą sobie na głowie uwiązał. Skończywszy tę robotę, wziął Marka za rękę i w wodę go wprowadził. Kiedy webrnęli wyżej pasa, przywiązał go do siebie plecami do pleców, a gdy Marko zapytał, czemu go raczej piersiami do swoich pleców nie obraca, taką mu dał odpowiedź:

– Żebyś rękami po wodzie nie chlapał i mnie za ręce nie chwycił.

Przeszedł jeszcze kroków kilkanaście i spłynął. Marko leżał na wznak, twarzą do nieba zwrócony. Na niebie świeciły miliardy gwiazd. Księżyc był jeszcze nie zszedł, więc się iskrzyły na szafirowym tle całą siłą promieni, mieniąc się i migocąc jak mrugające oczęta swawolnej dziewczyny. W powietrzu panowała cisza jakaś poważna, przerywana niekiedy świstem skrzydeł kaczek przelatujących lub gęganiem dzikich gęsi w sitowiacz nadbrzeżnych. Zresztą żaden się nie odzywał głos. Gwiazdy świeciły, niebo szafirowe, wspaniałe, poważne, zdawało się, że duma nad zjętą snem ziemią; przez Morawę płynęli dwaj rywale.

Zrazu Markowi położenie jego wydało się dziwne. Wyobraźmy sobie w podobnym położeniu siebie. Na wznak dobrze leżeć na przestrzeni, dającej punkta oporu na prawo i na lewo, ale nie na krawędzi, z tą świadomością, że na prawo głębia i na lewo głębia. Umiejącym pływać woda daje punkt oporu; lecz dla naszego Marka była ona mokrą bezdnią, w której doznałby tego samego losu, jak gdyby był do suchej wrzucony studni. Musiałby pójść na dno, z mniejszym tylko pędem. Skutek byłby ten sam, z tą różnicą, że w studni byłby się zabił, tu zaśby się zalał. Ta świadomość uczyniła go drażliwym w pierwszej chwili, gdy Milenko na wodzie się położył i ręce wyciągnął.

Ruszył się, jakby równowagi szukając. Lecz hajduk go upomniał:

– Leż cicho!... nie kręć się tam!... Patrz sobie na gwiazdy... i nie zważaj na to, choć ci się woda w uszy naleje... A nie pij wody!... Wolisz się napić winca po kąpieli... Wodę zostaw dla gęsi... Oprzyj mi głowę na karku i leż cicho...

Marko wyciągnął się, ręce złożył i gwiazdom się przypatrywał.

Gwiazdom się przypatrywał, ale nie o gwiazdach myślał. Zastanowił go ten hajduk, ten pół-dziki człowiek, który przed chwilą powiedział, że świat jest szeroki, ale dla nich dwóch miejsca na nim nie ma i który w chwili tej służył mu osobą swoją za statek przewozowy. Zastanowiła go osobliwość ta; lecz nie był w stanie myśleniem głębiej w nią wnikać, czując toń wodną, łechcącą mu ramiona i boki. Marko był odważny; sensacja jednak, jakiej doznawał,

należała do tego rodzaju, iżby go można o bojaźń pomówić – o bojaźń nie śmierci, ale wywrotu. Pochodziło to z nerwów, drażnionych nienaturalnością położenia. Gdyby leżał pierśmi, byłby spokojny zupełnie. Umiał jednak panować nad sobą. Zęby zacisnął, ręce złożył, w gwiazdy patrzył i leżał bacząc na to tylko, aby się nie ruszać.

Płynęli.

Gdyby się kto przypatrywał z brzegu, widziałby na zwierciadlanej powierzchni rzeki, nad odbitym w jej głębi niebem i drżącymi gwiazdami, przesuający się jakiś przedmiot czarny, niekształtny, bryłowaty. Zdawało się, że bryłę tę woda unosi.

Morawa, w miejscu zwłaszcza przeprawy podróżnych naszych, nie jest nader szeroka. Z szerokością atoli rzeki dzieje się tak jak z odległością przedmiotu na stepie widzianego. Wydaje się bliski, a potrzeba iść długo, ażeby do niego dojść. To samo i z Morawą. Stanąwszy na jednym brzegu, zdaje się, że dość kilku ręki rzutów, ażeby się na drugi dostać. Lecz to złudzenie. Płynąć, płynąć potrzeba długo, tym bardziej że unoszący ukośnie prąd czyni drogę wodną dłuższą dla przebywających rzekę wpław.

Rozgartywał Milenko silnym ramieniem wody Morawy, sapiąc i parskając. W miejscu, gdzie przepływał, woda wydawała głuchy szum, połączony z cichym pluskaniem. Pluskanie pochodziło stąd, że nie był to pływak w szkole pływania uczony i nie trzymał rąk pod wodą, jak metoda każe, lecz je kolejno na wierzch jedną po drugiej wydobywał, garnąc mokry żywioł pod siebie. To go męczyło. Lecz Milenko należał do tego rodzaju ludzi, których zmęczyć nie łatwo. Utrzymywał się więc na wodzie doskonale pomimo ciężaru, jaki dźwigał na sobie i posuwał się wciąż naprzód, przestrzegając od czasu do czasu towarzysza:

– Leż równo i spokojnie... nie ruszaj się!...

Aż dopłynął do prądu głównego. Uczuł go pod sobą. Pozwolił mu nieść się przez jakiś czas, myśląc, że go do brzegu zbliży; lecz spostrzegłszy, iż się ku środkowi rzeki zagina, krzyknął na Marka:

– Trzymaj się cicho i pochyl się trochę na lewo! Odsapnął z siły całej, natężył się, ramię daleko przed siebie wyrzucił, starał się pod siebie dłonią zagarnąć masę wody jak największą, zmienił nieco kierunek – woda go uniosła: podniósł głowę wyżej i znów się natężył – jeszcze nurt panował nad nim: pasował się z nim długo nadaremnie; Zawadzał mu Marko, który go do dna tłoczył: Gdyby go zrzucił, wypłynąłby natychmiast. Lecz myśl podobna ani mu w głowie powstała. Płynął, walczył, parł się i... wypłynął.

– Uuuch!... – odetchnął z głębi piersi. W chwilę potem dna nogami dostał i Marka odwiązał. Na brzegu przeciwnym bohater nasz dłoń mu na podziękowanie uścisnął.

– I!... – rzekł hajduk ubierając się. – Jeżeli komu dziękować masz, to nie mnie... Pomiędzy nami stoi dziewczyna, która nas dzieli i Serbia, która nas łączy... Dla dziewczynki bym cię utopił... Ale Serbia więcej warta... Jej więc za to podziękuj...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

FRAJKURY

Rozpoczęła się tedy wojna pomiędzy cesarstwem niemieckim a państwem ottomańskim.

Z historii wiadomo, jaki ona obrót wzięła. Zrazu górą byli Turcy. Przekroczyli Dunaj, weszli do Banatu i parli przed sobą cofające się na wszystkich punktach wojska cesarskie. Lecz następnie szczęście opuściło zwycięzców. Cesarscy przrzucili ich na lewy brzeg Dunaju; marszałek Laudon obległ i zdobył Belgrad; Serbia cała prawie od Turków oczyszczona została.

Taki był przebieg działań wojennych, rozpatrywanych z tego punktu wysokiego, z którego na podobne rzeczy zapatruje się oficjalizm dziejowy, mający zwyczaj po odegraniu dramatu krwawego, zwanego wojną, spuszczać kurtynę i pokazywać publiczności i potomstwu samą tylko... kurtynę – same tylko rezultaty sumaryczne, opromienione sztucznym światłem teatralnym. Na kurtynie owej występuje sława z wielkimi skrzydłami i wielką trąbą, zasłaniając sobą szczegóły bolesne, które pokazane w nagości ich całej, zdolne by były sławie skrzydła połamać i trąbę rozbić.

Turcy odznaczali się zawsze w prowadzeniu wojny bezwzględnością. Jak tylko do boju występują, natychmiast tracą do szczytu pojęcie o tym, co się godzi, a co się nie godzi. Godzi się wszystko! Armia pozwala sobie na wszystko bez względu, czy się znajduje w kraju swoim, czy w nieprzyjacielskim.

I kraj cały okrywa się jednym smutku całunem, dzwoni jednym chóralnym boleści jękiem.

Wsie się wyludniają. Mieszkańcy uciekają w lasy. Żołnierz w opuszczonych osadach gospodarzy, rozwała i pali.

Biada mieszkańcom, których władze zachwycić zdołały! Idą oni na posługi armii i służą nie wedle własnej możności fizycznej, lecz stosownie do wymogów zastępów wojujących, to jest do ostatka tchu. Wzgląd na to, żeć to przecie ludzie, ustaje w żołnierzu tureckim; wzgląd na to nawet, że to zwierzęta, nie ma wartości najmniejszej. Zwierzęciu daje się jeść i pić. Rai nie daje się nic, a używa się go do wszystkiego. Raję w czasie wojny uważa się za coś od zwierzęcia podlejszego.

Władze tureckie jednak przestrzegają różnic pewnych. Inaczej traktują sielaków, inaczej mieszczan. Ci ostatni używają względów niejakich; rozciąga się nad nimi pewna opieka, a to z tej przyczyny, że po miastach i miasteczkach koncentrują się rzemiosła wojsku przydatne. Turcy mają rozwagi tyle, iż nie zabijają kury, która jaja niesie. Z przyczyny tej miasta nie wyludniają się w tym stopniu, co wsie, te zwłaszcza, które los rzucił w pobliżu traktów, na których odbywają się główne ruchy wojenne.

Z tym wszystkim, tak po wsiach jak po miastach, tak w pobliżu traktów jak dalej, ludność na pierwszą o wojnie wieść przedsięwzięła natychmiast środki ostrożności, biorąc – że się tak wyrażę – czucie do gór i lasów. Trzody się odpędzają jak najdalej, produkta odwożą i w ziemi kryją: rodziny upatrują sobie miejsca odludne a bezpieczne, w których przysposabiają wszystko do złych czasów przeczekania.

W Jagodynie po przejściu trwogi pierwszej, jaką rzuciła wieść o wojnie, powstał ruch, podobny do wewnętrznego wrzenia wody, póki kipiątek nie zburzy jej powierzchni. Pozornie

niby to panował spokój. Raje kłaniali się Turkom pokornie i udawali o niczym nie wiedzących, niczego się nie domyślających. Pod pokrywką jednak pokory tej czynnie i skrzętnie zajmowali się zabezpieczeniem osób własnych i wynosili się cichaczem, wyprawiając za miasto sprzęty kosztowniejsze, pieniądze i zapasy żywności. Każda rodzina posiadała kryjówkę swoją. Promieniem półtoramilowym dokoła miasteczka zakreśliwszy krąg, na przestrzeni kręgu tego odbywały się w różnych miejscach roboty, które by przyrównać można do tych, jakim oddają się krety lub bobry. Tu na sposób kreci ryto się w ziemi; tam na wzór bobrów wznoszono tymczasowe budowle z kamieni lub drzewa. A wszystko to szło cicho i szybko – tak, że po upływie dni kilku powrócił do miasteczka spokój rzeczywisty. Już się nie lękano o bezpieczeństwo własne, a przynajmniej obawy zmniejszyły się znacznie.

Turcy zaś tymczasem jawnie i otwarcie do wojny się przysposabiali. Spahisy montowali się, zbroili i wyciągali.

Upłynęło tygodni parę i poczęły przeciągać wojska, nad Dunaj podążające. Szły albo raczej płynęły, niby rzeka wezbrana: piechota, jazda, artyleria, wlokąc za sobą długie, bez końca niemal, szeregi wozów, koni jucznych, mułów i wielbłądów i tłumy biednej rai, przeznaczonej do poganiania wołów i bawołów, do dźwigania ciężarów, do kopania rowów, do sypiania grobli, do rąbania drzewa, do urządzania przepraw, do poprawiania dróg i do usług tym podobnych. Jeżeli sprzężaju przy jakiej harabie, wiozącej efektu wojenne, zabrakło, w razie takim bez ceremonii zaprzągano rajów. Rajów również obowiązkiem było noszenie lektyk z paszami. Toż z przyczyny tej osobliwie ludzie młodszy mieli się na baczości, chwytno ich bowiem wszędzie, gdzie się chwycić dało, po wsiach i po miastach.

Z Jagodyny młodzież znikła wraz z pierwszym pojawieniem się czoła kolumn tureckich.

Pod dachem Hadzi-Petara pozostały tylko dzieci, kobiety i Hadzi-Petar. Synowie, którzy byli mężami dojrzałymi i wnuki, pomiędzy którymi paru mogłoby się już kwalifikować do posług wojennych, wynieśli się i zabrali ze sobą strzelby pod połami. Każda niemal rodzina serbska miała zbiegów podobnych. Była to jednak prosta ostrożność. Zbiegowie ci bowiem, niezorganizowani i nieprowadzeni, nie mieli żadnych zamiarów zaczepnych ani też wyraźnie nieprzyjaznych. Wielu z nich nawet nie umiało, jak należy, z bronią się obchodzić. Wynieśli się zaś ze strzelbami dlatego jedynie, ażeby nie dać się w razie wypadku wziąć pierwszemu lepszemu Turkowi, ażeby mieć się czym obronić jednemu, dwom, trzem napastnikom. Zresztą nie odbiegali oni zbyt daleko. W pobliżu Jagodyny można ich było znaleźć wszędzie, rozsypanych niby zajęte pod miedzami. Jeden miał norę, w której siedział, drugi ukrywał się pod skałą, trzeci w gąszczach, czwarty w rozdołach, ten za schronienie obrał sobie górę, ów – dół, a byli i tacy, co, w otwartym trzymając się polu, śledzili obroty kolumn i oddziałów tureckich i do takowych się stosowali – słowem, każdy ze zbiegów kierował się własnym instynktem samozachowawczym, bacząc na to, ażeby nie wpaść w ręce władzy, mianującej się nie nieprzyjacielską, lecz prawowitą i urządzającą od czasu do czasu oblawy w celu schwytania poddanych, nie mających ochoty pełnić funkcji mułów i ginąć śmiercią głodową.

Od czasu do czasu w tej lub owej stronie miasta występował szereg jeźdźców, rozsypanych na sposób flankierów i przetrząsał okolicę. Niekiedy zamiast jeźdźców wychodzili piesi na ekspedycje tego rodzaju. Zwykle powracali z niczym; lecz bywały wypadki, że przyprowadzali z sobą jednego, dwóch rajów, pędzonych na postronku. Bywało tak, że przynosili głowę, przy siodle przytroczoną. Zdarzało się to wówczas, jeżeli zoczony uciekał i nie było sposobu doścignąć go inaczej jak przy pomocy kuli z janczarki, w pogoń za nim posłanej. Bywało jednak i tak, że raja na wystrzał wystrzałem odpowiadał i Turek się z konia zwinął. Turcy jednak sami tego unikali, nie przez tchórzostwo, którego im zarzucić nie można, lecz dlatego, ażeby nie zachęcić rai do prowadzenia oporu podobnego na skalę szerszą nieco. Z przyczyny tej z jednej strony w dokuczaniu mieszkańcom przestrzegano pewnej powściągliwości, z drugiej – w oblawach na zbiegów zachowywano pewną ostrożność. Robiono oblawy wówczas

tylko, kiedy się spodziewano rezultatu pomyślnego i kiedy były po temu siły rozporządzalne. To ostatnie zdarzało się dość rzadko. Wojska tureckie przewaliły się za Dunaj i po przejściu onych kiedy niekiedy tylko nadciągały oddziały pomniejszych bądź śpieszące za armią główną, bądź też konwojujące transporty amunicji lub efektów wojskowych.

Po przejściu wojsk i po wyciągnięciu w pole spahisów pod rozkazami kajmakana jagodyńskiego pozostawały siły bardzo niedostateczne do grożenia rai skutecznie. Siły te jednak dostatecznymi były z tego względu, że raju w tej swojej części, która by władzom ambaras sprawić mogła, zachowywała się biernie.

Bywała o tym często na posiedzeniach mezliszu mowa, zawsze jednak kwestia rozstrzygała się w sposób jednakowy.

Kir-Kosta oznajmił, że niebezpieczeństwo nie zagraża żadne.

Kawedzi tłumaczył, że od czasu jak świat światem nigdy jeszcze nie widziano, ażeby zające wojowały z myśliwymi. Tłumaczenie to tak było naturalne i taką dla Turków miało w sobie siłę przekonania, że kajmakan, członkowie mezliszu i wszyscy wyznawcy proroka, których wiek lub urząd w Jagodynie zatrzymywały, byli jak najzupełniej pod względem zbiegłych rajów spokojni.

Nawet umknięcie Marka spokoju im nie mąciło. Kajmakan wytłumaczył sobie wypadek ten w sposób nader prosty i naturalny, a przy tym czysto turecki:

– Umknął? tak przeznaczenie chciało... Na miejsce jego, głową Jewta nałożył? tak chciało przeznaczenie.

Z wolą jednak przeznaczenia nie zgadzała się Fatma-hanem, niecierpliwiła się, rzucała, lecz się wszystko to na nic nie przydało. Kir-Kosta przekonał się, że Marko znikł i słuch o nim zaginął i udzielił wiadomości tej kobiecie rozdrażnionej.

– Pójdę za nim! – krzyknęła.

– Hanem!... – odpowiedział Kir-Kosta, patrząc na nią wzrokiem znaczącym.

Turczynka w płacz uderzyła i włosy sobie na głowie targała.

Nie było jednak rady. O Marku słuch zaginął.

– Pójdę za nim!.. – krzyknęła w Jagodynie kobieta jeszcze jedna; lecz kobiety tej krzyk był wewnętrzny – żadne ucho go nie słyszało i dlatego zapewne więcej miał w sobie szczerości i decyzji.

I ten jednak krzyk przebrzmiał bez skutku, rozbił się o szkopuł niepodobieństwa.

– Iść za nim?... – w którą stronę?... dokąd?... Skończyć się więc musiało na tym, że się nieobecnego widywało... oczami duszy: to pochylonego nad pisaniem na czerdaku, to siedzącego w trawie i odpowiadającego na zapytania Stany i ciotek Anki, to stojącego w apsie w oświeceniu kaganka Turczynki, to nareszcie znikającego w tumanach mgły przedporankowej, w towarzystwie hajduka.

– Gdzież ty, miły mój, gdzie?... – jęczał głos jakiś w piersi dziewczyny rozkochanej, przyniatanej troskami i drobiazgami życia powszedniego, pędzonego w warunkach niepowszednich.

Ojciec się ukrywał; ukrywali się stryjowie i bracia.

Zdarzały się wypadki, w których cała Hadzi-Petara rodzina wynosić się musiała na dni kilka i pędzić żywot koczujący.

Śród okoliczności takich można było myśleć o opuszczeniu ojca i matki, dziadka i babki, braci i sióstr i o gonieniu w świat za zgubą więcej niż prawdopodobną? A nużby Turcy gdzie ujęli!

Dziewczynę ogarniała niekiedy rozpacz jakaś bezimienna. Wiedziała bowiem tylko o rzeczy jednej: o tym, że kocha... – wszystko zaś zresztą było dla niej tajemnicą i zagadką – zagadką, której rozwiązania na próżno czekała od babki. Znajdowała u niej jednak pocieszenia trochę. Staruszka w jasnowidzeniu swoim przewidywała lepsze dla Serbii czasy i mówiła o nich.

– Bóg miłosierny... – powiadała – On się nad nami zlituje. Synowie, do domu się niekiedy wkradając, przynosili złe wieści o pomyślnych oręża tureckiego postępach. Staruszka głową kiwała i mówiła:

– Bóg dopuszcza, w końcu się jednak zlituje. Hadzi-Petar nie mówił nic. Uwolnienie Marka za sprawą kobiety jego wywarło na jego umysł wrażenie silne. Miał Milewę za istotę zostającą pod błogosławieństwem łaski Bożej i wiedzącą o rzeczach, o których zwyczajnym śmiertelnikom wiedzieć nie jest dano. Według wskazówek jej Anka drogę do apsu znalazła.

– Bóg się zlituje nad Serbią.

Anka wysnuwała z tego wniosek następujący:

– Jeżeli się Bóg nad Serbią zlituje, to zachowa Marka, który się gdzieś za Serbię bije.

O Marku jednak słuchu ani wieści nie było przez miesiąc, przez dwa miesiące, przez trzy, przez cztery – przez całą połowę roku, w ciągu której tak rodzina Hadzi-Petara jak Jagodyna cała żyły w ciągłym oczekiwaniu, w ciągłym niepokoju i w ciągłym rozdwojeniu: połowa słaba, stara, niewinna i dziecinna pod strzechami domów swoich, połowa silna, męska na wygnaniu w zajęczym rozproszeniu.

Wojna wrzała wciąż... za Dunajem, pomyślna dla zastępów tureckich, a zatem smutkiem przejmująca Serbów. Aż razu pewnego nagle smutek ten rozjaśnił się błyskawicą radości i nadziei, które się wzięły nie wiedzieć skąd.

Czy wiatr je z nieba przywiał?

Brzęknął w powietrzu wyraz jeden:

– Frajkury...

Był to wyraz cudzoziemski, znaczenia którego nie rozumiał z Serbów żaden, a każdy go sobie po cichu powtarzał lękając się, ażeby nie doszedł do uszu tureckich. Wkradł się on do Jagodyny nie wiedzieć jak i napęłnił serca otuchą, może dlatego, że niezrozumiał był. Starcy rozpogodzili oblicza stroskane, kobiety uczuły w piersiach ulgę jakąś. Ci, co w mieście byli, zapragnęli podzielić się radością z tymi, co się za miastem ukrywali.

Cóż się jednak stało?

Rzecz dziwna i nadzwyczajna! Ci ostatni posłyszeli wyraz ten w tymże samym czasie, co i tamci.

– Czy wiecie?

– Wiemy...

– O czym?...

– Frajkury...

– O! teraz dopiero będzie z Turkami źle.

I tak to przez czas jakiś pozostało. Przepowiednia nie sprawdziła się, a wyraz wciąż brzmiał, niby rodzaj pobudki, budzącej nadzieję. Brzmiał i czynił rajów zuchwalszymi – zuchwalszymi o tyle, że ten i ów odważył się przenocować w domu, że ten i ów nie schował się przed spotkanymi muzułmanami. Zuchwalstwo takie nie mogło władzy w oczy nie wpaść. Kir-Kosta słuchał i patrzył. Stary kajmakan głową kręcił. Członkowie mezliszu pod nosem klątwy na giaurów szeptali. Kawedzi powiadał:

– Teraz by oblawę zarządzić.

Nadciągnął oddział jazdy.

– Teraz by oblawę zarządzić – powtórzył kawedzi z naciskiem.

Oddział miał w Jagodynie dniówkę. Kilkudziesięciu jeźdźców pod dowództwem jus-baszy wybrało się na wyprawę. Wyruszyli, rozjechali się, rozwinęli łańcuch flankierski, zajężdżali w prawo i w lewo, przetrząsając zarośla i krzaki i długo nic nie upatrzyli, aż nagle jeden, wyciągając rękę, krzyknął:

– Bak-sana! (patrzcie).

Palec-ukaziciel jeźdźca szedł w kierunku lasu, oderwanego od lasu większego. Przed laskiem widać było gromadkę ludzi dziesięciu, może piętnastu. Jeźdźcy zoczyli ich. Jus-baszi

dał ręką znak. Zatrzymali się. Chodziło o to, ażeby ludzi tych zabrać, ale jak? Od lasku dzieliła ich przestrzeń niewielka – uciec mogli. Przedstawiały się więc dwa sposoby, jeden z drugiego wypływające: natrzeć szybko i zachwycić ich, nim do lasu dobiegną, a jeżeliby szybkość koni tureckich okazała się niedostateczna, lasek otoczyć i nie wypuścić ich z niego. W celu tym jus-baszi ściągnął do kupy jeźdźców, uszykował ich w szereg jeden i z siebie przykład dając, krzyknął:

– Naprzód!...

Turcy ruszyli z miejsca z kopyta. Ziemia pod kopytami zadudniła.

W upatrzonej pod lasem gromadce znajdował się jeden ze znajomych naszych, Żiwko, syn Hadzi-Petara, mąż Stany, a ojciec Anki. Z nim był jeden z braci jego, reszta jagodynianie, którzy w powieści naszej żadnej nie odgrywali roli, i nieznajomy jakiś. Ten ostatni był powodem takiego ze strony zgromadzonych zacierzwienia się, że nic ani słyszeli, ani wiedzieli, co się około nich działo. Nieznajomy przybywał zza Morawy, z gór i przybywał z wyrazem „frajkury” na ustach – wyrazem, który był dla niego kartą bezpieczeństwa i listem polecającym wśród Serbów. Zwołali się, przybysza otoczyli, on zaś rozpowiadał im:

„O frajkurach...”

Rozpowiadał dziwne dziwa.

– Z Turczynem źle... – mówił. – Posunął się był za Dunaj, póki frajkury siedzieli cicho. A siedzieli oni cicho, bo pisali drobnym pismem list do Carogrodu do sułtana, i napisali w tym liście: „Oj, ty, sułtanie-padyszachu, rozkaż ty janczarom swoim i spahiom, swoim białym Arabom i czarnym Arabom, swoim wezyrom i paszom, i czauszom, ażeby oni wojska twoje wyprowadzili z serbskiej ziemi. Rozkaż im to i niech oni ciebie posłuchają. Bo jeżeli ty im nie rozkażesz, albo jeżeli oni ciebie nie posłuchają, to my, frajkury, zabierzemy puszki i pistolety, i miecze, i dzidy, i jatagany, i noże, pójdziemy na nich i będziemy strzelali, siekli, kłuli, rąbali, aż wszystkich wystrzelamy, wykojemy, wysieczemy i wyrąbiemy, że się nie zostanie ani jeden, co by tobie, sułtanie-padyszachu, zanieść mógł do Carogrodu wiadomość, że nie ma już wojska twego, którego było tyle, co liścia na drzewach...” Tak pisali do sułtana-padyszacha i na odpowiedź czekali. Czekali miesiąc, czekali dwa miesiące, czekali trzy miesiące.

Nieznajomy w guście tym rozpowiadał jeszcze dalej Serbom zasłuchanym, gdy nagle rozległ się na polu tętent koni tureckich.

Serbowie zrazu struchleli i do lasu się rzucili. Lecz znalazł się pomiędzy nimi jeden, odważniejszy czy też przytomniejszy, który krzyknął:

– Puszki!

Zatrzymali się więc, zwrócili, wzięli na cel jeźdźców, którzy w biegu zbili się w kupę, i z kilkunastu rusznic zabrzmiały wystrzały.

Jeźdźcy rozprysli się w prawo i w lewo.

Serbowie dalej do lasu.

– Nabijaj! nabijaj!– krzyczał jeden, drugi.

W lasku znów się zatrzymali, broń ponabijali i znów biec poczęli przebierając się do wielkiego lasu, do którego mieli kroków paręset czystego pola. Na polu spotkali się powtórnie z kupą jeźdźców, znacznie jednak mniejszą niż poprzednio. Jeźdźcy atoli pierzchli, jak tylko ujrzeli podnoszące się przeciwko nim strzelby rajów.

Turcy powrócili do Jagodyny, unosząc ze sobą czterech zabitych i siedmiu ciężko rannych. Pomiedzy zabitymi znajdował się jus-baszi. Śmierć naczelnika rzuciła zapewne między Turków popłoch i przeszkodziła im korzystać z chwili, w której Serbowie po wystrzeleniu po raz pierwszy ze wszystkich rusznic znaleźli się w stanie bezbronności. Zamiast co by mieli natrzeć na nich, odskoczyli; następnie zamiast otoczyć lasek objechali go, niektórzy zaś konie zawrócili i wstecz się ponieśli.

Žiwko i przypadkowi towarzysze jego nie wiedzieli ani się domyślali, że zwycięstwo odnieśli. Dowiedzieli się jednak o jednej rzeczy, która dotychczas była dla nich tajemnicą, o tym mianowicie, że trzymając się razem, silniejsi są i bezpieczniejsi aniżeli w rozsypaności.

Turcy porażką się nie chwalili. Zabitych pogrzebano cichaczem, rannych pomieszczono po domach muzułmańskich, i na mezziszu uradzono, ażeby przed rają nic nie mówić o wypadku, który – tak się poważnym radcom wydawało – na obrót wojny wpływu żadnego nie ma i mieć nie może. Kawedzi jednak zrobił uwagę:

– Zające?... hm... zające.

Żadnej atoli z uwagi tej konkluzji wyciągnąć nie umiał. Serbowie w Jagodynie salwę słyszeli. Wiatr z pola ku miastu ciągnący, przyniósł echo huku wystrzałów tak wyraźnie, że pod dachem Hadzi-Petara siedząca za warsztatem tkackim Stana aż podskoczyła na siedzeniu i przeżegnała się, a dzieci mówiły otwierając oczy szeroko:

– Pucają.

I garnęły się do matek i babki.

Mimowolne przerażenie jakieś wszystkich ogarnęło. Jedna tylko Milewa uśmiech na ustach miała i kiwała z lekka głową, jakby chciała przez to wyrazić, że się nie stało nic nadzwyczajnego.

Słyszane jednak echo salwy ciążyło na myślach, niby zagadkowe jakieś przecucie, prędzej smutne niż wesołe.

– Co to się stać mogło?

Zagadka rozwiązana została nazajutrz dopiero wieczorem, kiedy odszedł oddział jeźdźców, co dniówkę miał w Jagodynie. Przyszedł ukradkiem Žiwko, zasiadł w gronie rodziny i opowiedział, co zaszło. Opowiadanie jego nie było dokładne. Grzeszyło skromnością, różniąc się pod względem tym od sprawozdań biuletynowych o czynach wojennych, podających zazwyczaj obroty nieprzyjacielskie w powiększeniu niepomiarkowanym. Žiwko podał tylko rezultat ostateczny:

– Uciekaliśmy, a uciekając strzelali.

– Więc to strzały wasze w Jagodynie słyhać było? – zapytał Hadzi Petar.

– Zapewne.

– Czy Turcy byli daleko?

– Kroków trzydzieści... czterdzieści.

– Toć musieliście zabić choć jednego.

– Zdaje się.. Nie oglądaliśmy się... Uciekaliśmy...

Milewa dłonią po oczach potarła, jakby sobie coś przypomniała, i wtrąciła:

– Za dawnych czasów Serbowie nie uciekali.

Hadzi-Petar westchnął.

– I my już więcej uciekać nie będziemy... – odparł Žiwko.

– Posłaliśmy do frajkurów dowiedzieć się.

I powtórzył opowiadanie nieznanego, opowiadanie, które w stopniu wysokim zajęło i zaciekało kobiety. Najsilniejsze wrażenie wywarł ów list do sułtana-padyszacha pisany, stawiający ultimatum tak stanowcze, wyraźne i tak dla Serbii korzystne.

Kobiety, z obliczami uśmiechniętymi, patrzyły Žiwkowi w oczy.

Hadzi-Petar ciągnął energicznie dym z cybucha. Milewa wzniosła do góry wzrok i westchnęła. Anka, na wzmiankę o liście, drobnym pismem pisany, przypomniała sobie tego, co pisał niegdyś na czerdaku.

– Posłaliśmy więc do frajkurów – ciągnął Žiwko – z pokłonem i z zawiadomieniem, że i my mamy puszkę i noże, a tymczasem uradziliśmy pomiędzy sobą trzymać się gromadą i stać jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego...

– Tak bywało za czasów dawnych... – wtrącił Hadzi-Petar.

– Tak, Boga mi... – dodała Milewa kiwając głową.

– Zbierała się czeta – ciągnął starzec – wybierała sobie czetowożę i Turkom spokoju nie dawała.

Były to rzeczy dla Żiwka niezrozumiałe, pomimo że wyrazy nie zawierały w sobie dwuznaczności najmniejszej. Jemu się wydawało, że tu właśnie chodzić powinno o dawanie nieprzyjacielowi spokoju, czyli mówiąc inaczej, o niezaczepianie licha. Nic w tym nie było dziwnego. Żiwko należał do pokolenia, któremu tradycję walk z Turkami podawali nie ojcowie, lecz echa z przeszłości odległej, przechowane częścią w pieśniach, częścią w ustnych o dziadach, o pradziadach opowiadaniach. Hadzi- Petar powiedzieć mu nie mógł:

– Robiłem tak a tak... Mówię ci to z doświadczenia własnego.

Mógł powiedzieć tylko:

– Słyszałem o tym od ojca... Tak bywało za czasów dawnych.

A to różnica wielka. Tradycji zabrakło praktyki, bez której była ona martwa jak wiara bez uczynków. Gdyby Hadzi-Petar sam był za młodu walczył, to byłby osobiście stanął i młodym pokazał – byłby dał im z siebie przykład, którego oni potrzebowali koniecznie. Wypadek sprowadził ich w kupę i kupa ta bezwiednie zwycięstwa się dopuściła nie wiedząc, co poczynać dalej. Przekonali się tylko niechęcący, że trzymanie się razem jest rękojmą bezpieczeństwa; a dowiedziawszy się zaś o możliwości skomunikowania się z frajkurami, których podsycana wypadkami wyobraźnia podniosła do znaczenia bohaterów legendowych, postanowili pod ich skrzydła oddać się. Rozumowanie, z którego postanowienie to Serbowie wysnuwali, było nader proste.

– Jeżeli frajkury tacy silni, że się podejmują wojska sułtańskie co do nogi wytepić, to z nami będą jeszcze silniejsi, za naszym spółdziałaniem wytepienie tym pewniej skutecznią i bezpieczeństwo nasze pod opieką ich będzie tym większe...

Posłali przeto człowieka pewnego z poleceniem przebrania się za Morawę, a jeźliby się potrzeba okazała, i za Dunaj, wyszukania tych, o których tyle było mowy, a których nikt nie widział, i oddania jagodyńców pod opiekę ich i rozkazy. Sami zaś trzymali się razem. Gromadka z piętnastu ludzi, którzy ją pierwotnie składali, powiększała się, rosła. Przybywało po dwóch, po trzech. W przeciągu dni kilku z piętnastu zrobiło się trzydziestu, a następnie z trzydziestu sześćdziesięciu. Wałęsali się po lasach i wertepach, obozując dziś tu, jutro owdzie i wysyłając ludzi pojedynczych na zwiady, które szły nie koleją, lecz na ochotnika, i powracały z wiadomościami o stanie rzeczy w Jagodynie, Głównie chodziło im o to:

– Czy są w mieście wojska tureckie, czy nie ma?

W pierwszym razie drużyna usuwała się, jak można najdalej, w miejsca jak najbardziej niedostępne; w drugim razie zbliżała się do miasta, skąd wynoszono im zapasy żywności i bielizny do zmiany. Mężowie widywali się z niewiastami, ojcowie z dziećmi, synowie z rodzicami.

A wszyscy z niecierpliwością na odpowiedź od frajkurów czekali.

A wiadomości o wojnie były coraz to bardziej dla Turków niepomysłne. Serbowie głowy podnosili. Kajmakan, członkowie mezliszu, kir-Kosta i kawedzi chodzili z minami rzadkimi, milczący i bardziej niż zwykle zadumani.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZPRAWA POMIĘDZY RYWAŁAMI

Jagodynianie, czekając na powrót posłańca swego, doczekali się pierwszej wiadomości, z których każda nową była pociechą. Tym razem były to nazwiska ludzi pojedynczych. Wyskakiwały one niespodzianie, niby race, puszczane w powietrze ręką ogniomistrza zręcznego, i sypały skrami i gwiazdami. Jednym z nazwisk takich było naprzód: Michajlewicz.

– Michajlewicz... pułkownik... – mówili Serbowie jedni drugim do ucha – Michajlewicz...

– Cóż przecie?...

– Biję Turka... bije!...

Starce uśmiechali się.

Drugim podobnym imieniem było: Koczi.

– Cóż on?...

– Dźwignął Krainę... idzie na Turka jak chmura z piorunami... i bije... i bije!

Kułakami obcierali oczy i dłońmi piersi przyciskali, jakby na to, ażeby z onych nie powyskakiwały serca.

Trzecim w podobnym rodzaju imieniem było imię: kapetan Marko.

Hadzi-Petarowi wpadło ono w ucho na czarszii. Przynieśli je sielacy. Starzec udał, że imię to po raz pierwszy słyszy; lecz się odwrócił i ujrzał za sobą kir-Kostę – i strzeliła mu w głowie myśl złośliwa sprawienia chytremu Grekowi zmartwienia. Pozdrowił go więc uprzejmie i po pozdrowieniu przemówił:

– Cóż, kir-Kosto?...

Grek głową rzucił i językiem cmoknął, następnie głos zniżył i odrzekł:

– Nasi górą...

– Chwała Bogu... – odparł starzec ze spokojem udanym.

– Kiedy nasi górą, to teraz by pora ująć włóczęgę tego, na któregoś na mój dom Turków naprowadził i za którego Jewta-bakalin gardło dał.

Kir-Kosta zrozumiał, że starzec nie to mówił, co myśli, zrobił gest zapytania.

– Czyż nie pamiętasz, kir-Kosto?... włóczęga... ten włóczęga, co to z Milanowca przybył, kiedym po sól chodził...

– Ten, co powiadał, że owce i świnki kupuje?

– Ten sam, co z apsu uciekł...

– Więc cóż?...

– Więc by go teraz ująć była pora, kiedy Turkom dobrze idzie, a on się na czele czety złoćców uwija.

– Eh, Hadzi-Petarze!... Ty wiesz przecie, że ja chrześcijanin i chrześcijanom dobrze życzę... (Oglądnał się dokoła): – Turków biją...

– E?... – bąknął starzec z niedowierzaniem udanym.

– Boga mi... Turków biją... nasi górą...

Hadzi-Petar westchnął, usta skrzywił i głową pokiwał.

– Ta to się jeszcze zmieni może.

– Może... – rzekł kir-Kosta tonem szczeroci nieudanej.

– Dlatego też nie szkodziłoby kapetana Marka bodaj na zastawnika dostać.

Kir-Kosta bohatera naszego imienia nie znał. Dlatego imię przez Hadzi-Petara wyrzeczone zafrapowało go.

– Jakiego to kapetana Marka?

– No... tegoż włóczęgę.

Kir-Kosta zrobił gest, który by się dało tłumaczyć rozmaicie, który jednak wyrazistości i znaczenia nabierał od bladej lekkiej, jaką się oblicze jego powlekło. Dostrzegł tego przenikliwy starzec, uśmiechnął się i pożegnał dragomana.

Rozeszli się.

Kir-Kosta udał się do Fatmy-hanem, której za pomocą znaków umówionych naznaczył u Ormianina schadzke.

Hadzi-Petar udał się do domu.

W izdebce Ormianina i pod dachem domu Hadzi-Petara odbyły się dwie sceny równocześnie prawie, podobne a różne.

Turczynka wiadomość o Marku przyjęła z obojętnością pewną, takimi błyskawicami oczów podszyta, że przed nimi kir-Kosta cofnął się w przerażeniu.

Kobieta zaśmiała się głośno.

– Hanem, ty się śmiejesz?... – rzekł Grek tonem napomnienia.

– Czyż chcesz, żebym płakała?...

– Nie... ale i śmiać się nie ma czego... A nuż do Jagodyny przyjdzie!...

– Więc cóż!... Mam złoto, klejnoty i drogie kamienie... oddam mu wszystko... wszystko... i siebie...

– Ale ja!... – podchwycił Grek tonem zafrasowania.

– Ty?... O!... ty się nie lękaj... Ja ciebie schowam, że będziesz jak najzupełniej spokojny i... bezpieczny...

Kir-Kosta westchnął. Turczynka po chwili zamyślenia, jakby przedrzeźniając echo myśli własnej, powtórzyła:

– Będiesz spokojny i... bezpieczny...

I uśmiechnęła się do siebie.

Na tym scenę tę urywamy. Śpieszno nam pod dach, pod którym uczucia z czystszych płynęły źródła.

Hadzi-Petar popełnił nieostrożność. Przyszedł i wiadomość o Marku pomiędzy kobiety rzucił, jak się rzuca bukiet na scenę lub granat do nieprzyjacielskiego obozu. Wiadomość ta bukietem padła dla wszystkich, granatem dla Anki. Pękła przed nią i poraziła ją zbyt wielką radością. Dziewczyna doznała uniesienia, jakby ją z ziemi co w górę rwało, ręce wyciągnęła, nagle krzyknęła, bladej śmiertelną pobladła i na ziemię runęła. Matka, ciotki poskoczyły do niej. Bryznięto jej zimną wodą na twarz.

Otworzyła oczy, westchnęła – matka i ciotki zarzuciły ją zapytaniami.

– Co ci było?... czegoś zemdląca?... co twój krzyk znaczył? Dziewczyna zamiast odpowiedzi błagalnym patrzyła na nie wzrokiem.

– Nic pytajcie jej... – rzekł Hadzi-Petar po chwili baczego wpatrzenia się we wnuczkę.

A kiedy wnuczka zupełną odzyskała przytomność, przemówił do niej tonem dobrotliwym, w którym sentencjonalnego czuć było:

– Wiedz, moje dziecko, że dziewczka nie jednej na świecie biedy powodem się stała.

Synowym zaś szepnął do ucha, ażeby się starała jak najmniej przy Ance o Marku mówić.

W sposób ten wydała się tajemnica serca bohaterki naszej, tajemnica, o której dotychczas sam tylko Hadzi-Petar wiedział, będąc świadkiem spotkania się Milenka z Markiem pod czerśnią, kiedy ten ostatni z apsu przez Ankę wyprowadzony został. I rozpoczęły się dla biednej dziewczyny dni iście krzyżowe; rozpoczęła się dla niej ciągła męczarnia, zadawana jej w drobnych dozach półsłówkami, westchnieniami i spojrzeniami jej najbliższych, tych, co ją

szczerze kochali i szczerze dla niej wszelakiego dobra pragnęli: matki rodzonej i ciotek. Kobiety wstrzymywały się od mówienia przy niej o Marku; lecz za to wytrzymać nie mogły, ażeby nie mówić o Milenku.

O! języki niewieście!..

Jeszcze jak na toż Milewa, dowiedziawszy się, że Marko jest jednym z wodzów w toczącej się wojnie, i przypomniawszy sobie wypadki, jakich osoba jego powodem się stała, i zajęcie, jakie w niej wzbudziła, poczęła się o nim odzywać często. Na to rady nie było. Nikt nie śmiał staruszce milczenia nakazać. Z tego wytwarzały się fałszywe manewra w ich konwersacjach. Staruszka o Marku mówiła, synowe zaś starały się zagadywać ją i każde z zagadywania tego słówko zmieniało się w sztylet raniący serce bohaterki naszej.

Szczęściem dla niej, wkrótce po przyniesieniu przez Hadzi-Petara wiadomości o Marku, nastąpiła pora dystrykcji wielkiej. W Jagodynie czuć się dało zbliżanie działań wojennych. Kolony tureckie wykonywały te obroty, jakie wykonują zazwyczaj wojska nie będące panami ruchów własnych. Snuły się, jakby w labiryncie dróg nitkę przewodnią straciły. Maszerowały to w tył, to naprzód, to w prawo, to w lewo: przeciągały przez Jagodynę do Cziuprii lub Kruszewca, lub Kragujewca, to znów z Cziuprii, Kruszewca i Kragujewca ciągnęły w górę do Hassan-Pasza-Polanki i po nie jakimś czasie wracały. To snucie się wojsk, ta płatanina marszów i kontrmarszów, ta wrzawa tłumów wojennych, przewalających się przez miasteczko, sprawiały roztargnienie nieustające, odwracające uwagę od Marka, Anki i Milenka, a zwracające ją na obozy tureckie, które co dni parę pod Jagodyną to zakładano, to zdejmowano, na mosty, które stawiano na Lewaczce i Morawie, na szańce przedmostowe i reduty, które dla obrony przepraw i pozycji sypano. Wszystkie te szczegóły, niezrozumiałe dla profanów, nie mających o sztuce wojennej wyobrażenia, odbijały się w sercach mieszkańców Jagodyny, utrzymując ich w stanie ciągłej gorączki, nieustannego przyływu i odpływu uczuć, zmieniających się kilkakrotnie w ciągu jednego nieraz dnia. Nadzieja i rozpacz, radość i smutek przelewały się kolejną, stosownie do tego, jak wojska tureckie cofały się lub szły naprzód.

Gorączka, zmiana uczuć tym silniej działały, że podsyciała je okoliczność jedna, spodziewana wprawdzie, niemniej przeto żywo do serc przyjęta. Zbiegowie jagodyńscy, o których w poprzednim rozdziale mowa była, doczekali się nareszcie zażądanej przez posłańca umyślnego odpowiedzi od frajkurów. Odpowiedź przyszła pod postacią młodzieńca, przybyłego wraz z posłańcem, młodzieńca roztropnego i rezolutnego, któremu spod odzieży sielaka serbskiego wyglądały багаńcze węgierskie i który mówiąc po serbsku płynnie, zarywał akcentem niekoniernie takim, jakim mówią nad serbską Morawą.

– Człowiek ten odpowiedź przynosi... – tymi słowy przedstawił go jagodynianom posłaniec.

Jagodynianie otoczyli przybysza kołem. A pierwsze ust jego otworzenie było zapytaniem treści następującej:

– Czy chcecie się do frajkurów zaciągnąć?

Jagodynianie spojrzeli po sobie, ociągając się z odpowiedzią na pytanie ciśnięte niespodziewanie.

– Chcecie czy nie?...

– Ta... że... – odparł jeden, ramionami ściskając i głową ruszając – to... my... chcemy...

– Chcemy... – podchwycił drugi.

– Oczniemo... – odezwał się chór, poparty kilku głosami pojedynczymi, które spóźniły się z odpowiedzią zbiorową.

– Wszyscy?... – zapytał młodzieniec prowadząc oczami dokoła.

– Zdaje się wszyscy... – odpowiedział jeden po chwili milczenia.

– Kto nie chce, niech na stronę odejdzie.

Nie odszedł ani jeden.

– Kiedy tak więc, to ja wam czetowoża... Oto rozkaz, podpisany przez pułkownika Michajlewicza i kapetana Marka.

Wyjął z zanadru papier, rozłożył i pokazał. Jagodynianie ciekawie popatrzyli na sznurczki wierszy, biegnące w poprzek ćwiartki i głowami pokiwali poważnie, jakby, nie umiejąc czytać, wyczytali, co tam napisane stało.

– Macie zatem rozkazów moich słuchać ślepo...

– Dobrze... – odezwali się chórem

– Stańcie więc w szereg...

Serbowie nie zrozumieli od razu, o co właściwie spadłemu niby z nieba wodzowi chodzi, lecz wnet zrozumieli. Młodzieniec ustawił ich podług wzrostu, odliczył od prawego, rozdzielił szereg na połowę, połowę jedną za drugą wprowadził i sformował dwa szeregi. Następnie podzielił na dziesiątki, ponumerował: pierwszy, drugi, trzeci itd. W końcu wydobył z zanadru książeczkę z ołówkiem i stając przed dziesiątkiem pierwszym od prawego, zapytał prawoskrzydłowego w pierwszym szeregu:

– Jak się nazywasz?...

– A na co to tobie?... – była zapytanego odpowiedź.

– Zapiszę ciebie...

Prawoskrzydłowy cmoknął i głową na znak przeczenia rzucił.

– No... jak się nazywasz?...

– Jak się nazywam, tak się nazywam, a nazywam się nie na to, ażebyś mnie zapisywać miał.

– Potrzebaż, dla porządku.

– Porządek być musi i bez zapisywania.

– Nas nikt nie zapisywał nigdy... – sprzeciwił się inny.

– My się zapisywać nie pozwolimy... – dorzucił głosem podniesionym jeden z przeciwnego skrzydła.

– Ojców naszych nikt nie zapisywał, to i nas zapisywać nie będzie... – odezwał się ktoś ze środka.

– Muszę przecież wiedzieć, jak się który nazywa... – zawołał młodzieniec, zmieszany nieco nieposłuszeństwem tym, jakie podwładni jego na pierwszym okazali kroku.

– To my tobie powiemy, ale nie do zapisania.

– Przyrzekliście mi posłuszeństwo.

– Słuchać ciebie będziemy.

Nie było na upór rady. Czetowoża do kieszeni schował książeczkę i ołówek i każdemu dziesiątkowi dziesiątnika wybrać kazał.

Rozkaz ten spełniony został natychmiast, równie jak i wszystkie inne, odnoszące się do przerobienia kupy ludzi na oddział wojska. Młodzieniec uczył Serbów obrotów ciała i szkoły plutonu, ograniczając się na rzeczach najpotrzebniejszych i tłumacząc znaczenie ruchu każdego. Nauka szła dobrze. Ludzie okazali pojętność. Pod względem tym posłuszeństwo było zupełne. Ale o zapisywaniu ani sobie mówić dali.

– Od rodu, od czasu jak świat światem, nie zapisywał nas nikt.

Szczegół więc ten pominąć trzeba było.

Młodzieniec musztrował i ćwiczył oddział swój gorliwie, powtarzając naukę na dzień po kilka razy; manewrował, obracał, rozpraszał, zbierał, rozsyłał dziesiątki w różne strony, potem je w kolumnę szykował, stawiał obozem, rozprowadzał warty i czaty, wprawiał do ostrożności i podsłuchów i po kilku dniach usilnej pracy miał już pod dowództwem swoim kompanię piechoty, posiadającą jeden z najważniejszych rzemiosła wojskowego warunków: spoistość. Po kilku też dniach oddział ten wykonał wyprawę pierwszą: napadł na transport efektów wojskowych, z kilkunastu składający się wozów, eskortę do ucieczki zmusił, wozy zabrał i uprowadził. Przy okazji tej wpadła Serbom w ręce zdobycz rozmaita: broń, amunicja,

żywność, odzież. Co też to za radość była!... jaki triumf!... Chcieli zabrać wszystko, lecz czetowoża wydzielić kazał broń i amunicję, resztę spalić.

– Szkoda!... grzech!... – wołali improwizowani żołnierze. – Wozy, odzież... praca ludzka!... chleb... dar Boży!

– Ale gdy się tą pracą i tym darem obciążysz – odparł wódz – to cię Turczyn dopędzi, zdobycz odbierze i ciebie zabije.

Po wyprawie tej nastąpiła niebawem inna, po tej znów inna i jeszcze inna. Oddział jagodyński uwijał się po okolicy, pojawiając się nagle w tych miejscach, gdzie się go najmniej spodziewano. Jagodynianom się to podobało, słuchali naczelnika swego i opowiadali o nim:

– Patrzcie, co to jednak frajkurem być!

Nie mieli za frajkurów siebie, ale tylko przysłanego im dowódcę i brali wyraz „fajkur” w znaczeniu urzędu, stopnia wojskowego, tego będąc przekonania, że niejednemu z nich przyjdzie kiedyś, za odznaczenie, na frajkura awansować. Z tego powodu starali się przyswoić sobie tajemnice rzemiosła wojskowego i tak dalece pod względem tym korzystali, że po upływie tygodni kilku ćwiczeń i wypraw formowali wcale niezłą jednostkę bojową.

Śród wypraw dowiedzieli się, że oddziałów takich jak ich więcej jest. Przy okazji pewnej spotkali się z kragujewaczanami, przy innej znów ze swilajniczanami i wespół z nimi napady wykonywali. Dowiedzieli się także, iż stojący na czele ich młodzieniec stosuje się do rozkazów, przysyłanych mu przez gońców, którzy, przybywając z okolic dalszych, znają hasła i odzewy jakie im frajkur ich każdego daje poranku.

– Te frajkury!... majka ich!... słyszą, jak trawa rośnie...

Wszystko szło dobrze i pomyślnie, tylko nie Turkom, którzy od czasu wystąpienia oddziałów partyzanckich wykonywali ruchy i obroty, podobne do kręcenia się muchy w ukropie. Było im niedogodnie i ciasno. Uwijające się oddziały serbskie nie tylko zabierały im transporty, psuły komunikacje, alarmowały obozy i rozbijały kolumny furajujące, lecz także podchwytywały gońców z rozkazami, co obroty wojenne narażało na zamieszanie, Odwracając nieraz wojska w kierunki przeciwne tym, jakie im wodzowie nadać zamierzali. Jednym słowem, rwały się im końce, które oni ścigali, jak mogli, chwytając się środka, który w dawniejszym systemie prowadzenia wojen uważany był w razach podobnych za skuteczny: fortyfikując się po miastach i obsadzając takowe załogami silnymi.

I przed Jagodyną usypano okopy, a w tych postawiono około dwóch tysięcy ludzi. Okopy te broniły przystępu do mostów i dlatego otwarte były z tyłu. Kilkanaście paszcz działowych wyglądało ze strzelnic, patrząc na drogę, która z Hassan-Pasza-Polanki prowadziła.

Załoga w okopach stale przebywała. Zadanie jej na tym polegało, aby bronić miasta i pozakładanych w nim magazynów. Ważność punktu tego była niemała, a to z tej przyczyny, że w nim schodziły się dwa trakty belgradzkie i że poza nim znajdowała się główna przez Morawę przeprawa, a za przeprawą tą miasteczko Cziupria, będące jednym z ważniejszych punktów strategicznych.

W ciągu wojny, służącej powieści naszej za ramy, okopy jagodyńskie oddały tę Turkom przysługę, że jeden z korpusów ich, party z przodu przez wojska cesarskie, znalazł w nich punkt oparcia. Cofnął się, zatrzymał i nie był nawet atakowany. Cesarscy nie ośmielili się zaczepiać go. Korpus powstał przez dni kilka, wypoczął, dopełnił ubytki, doczekał się posiłków i znów ruszył naprzód, zmuszając cesarskich do ruchu wstecznego.

Gdy korpus, o którym mówimy, poszedł naprzód, w tropy za nim rzuciły się oddziały partyzanckie, a pomiędzy nimi i nasz jagodyński. Turcy szli bitym traktem; Serbowie konwojowali ich manowcami. Boczne tureckie straże miały z tymi ostatnimi parę w ciągu pierwszego dnia starć, wskutek których korpus cały zatrzymać się musiał. Przyszedł wieczór. Przeciwnicy obozami stanęli gotując się na spoczynek, w celu nabrania sił do zniesienia trudów dnia następnego.

Jagodynianie tego byli przekonania, że nazajutrz pójdą za Turkami dalej. W przekonaniu tym utwierdziło ich przybycie z wieczora gońca, który „fajkurowi” ich rozkaz na piśmie przywiózł. Młodzieniec rozkaz przy ognisku przeczytał i przeczytawszy krzyknął:

– Spać ludzie!... Nim zaświta, ruszemy! Układając się przy ogniskach do snu Jagodynianie tłumaczyli sobie, że ruszą Turkom na przelaj.

Jakże zdziwieni byli, gdy nazajutrz spostrzegli się, że pochód ich odwrotny przyjął kierunek!

– A dokądże to my idziemy?... – pytali wodza.

– Zobaczycie... – była odpowiedź.

Poszli naprzód w pagórki ku Kragujewcu się ciągnące, zwane Crni Wrch; przenocowali; nazajutrz nad wieczorem znaleźli się nie opodal od wsi Gławczice, odpoczęli i szli do rana; nad rankiem zatrzymali się i przespali w gąszczach dzień cały; gdy noc nadeszła, ruszyli, z manowców na drogę wyszli i na drodze spotkali oddział inny, który na nich czekał. Od tego innego oddziału zbliżył się do nich człowiek, którego strój wspaniały i uzbrojenie pyszne rozpoznać się dawały po nocy. Zbliżył się i przemówił:

– Jak się macie, Jagodynianie!...

– Chwała Bogu!... – odpowiedziało mu kilku głośno, a najgłośniej trzech ludzi: Żiwko i dwaj bracia jego.

– O!... – odezwał się człowiek. – Wszakże tu jest i potomstwo Hadzi-Petara!... Po głosie poznaję!

– I jam ciebie po głosie poznał! – była Żiwka odpowiedź.

– I jam ciebie poznał!... i ja!... i ja... – odzywały się głosy jeden po drugim.

– No, widzicie... jak też się to człowiek ani na trochę nie odmienił, od czasu jakem Turczyna w Jagodynie przy czesmie⁴⁵ uduślił.

Łatwo domyśleć się, że owym przez jagodynian po głosie poznanym był nie kto inny, jeno harambasza Milenko. Wszedł pomiędzy nich jak pomiędzy rodzinę, pozostał i rozmawiał, podczas kiedy oddziały szły drogą dalej.

– Skądże się ty tu wziął, Milenku, he?... – zapytał Żiwko.

– Skąd?... o toż pytasz!...

– Słuch o tobie zaginał. Myślałem, żeś ty w górach...

– A słyszałeś ty co o kapetanie Marku?... – podchwycił hajduk.

– O nim to ludzie gadają.

– Dlatego nie gadają o mnie... Jam, bracie, z harambaszą moją w kąć poszedł... Gdyby nie kapetan Marko, to siedziałbym w górach jak niedźwiedź i pukał z za kamieni do Turków, czym zrobiłbym im złego tyle, co kiedy komar człowieka ukąsi... Zastrzeliłbym dla halin⁴⁶ i nowców jednego, drugiego i na tym koniec... Serbii by to się nie przydało na nic... Kapetan Marko rozumu mnie nauczył. To człowiek!... To, bracie, człowiek!

– On nam „fajkura” na czetowoża przysłał... – wtrącił Żiwko.

– On to zrobił, że Turków tłuczemy... Zebrał, uporządkował, prowadzi, a jak o wszystkim wie, majka niegowa!... hi... hi... A jak w ogień lezie!

Szli i rozmawiali, Milenko ze szczegółami opowiadał o organizacji oddziałów ochotniczych, zwanych Freicorps (skąd „fajkury”), które, jak z dziejów wiadomo, przyczyniły się głównie do pomyślnego niepomyślnie rozpoczętej wojny obrotu, i o czynach wojennych, w których bohater nasz odznaczył się odwagą, przytomnością umysłu i znajomością rzeczy.

– Majka niegowa!... – mówił. – On, niby ta matka, co dziecko chodzić uczy, nauczył nas Turczyna bić... Bez niego zakiślibyśmy, ja w górach, ty w jakiejś tam pod Jagodyną norze i odżylibyśmy po wojnie na nowo, ja hajdukiem, ty rają pokornym... A tak... zobaczymy... Hukniemy dziś rano, na dzień dobry, żywiła Serbia! w Jagodynie...

⁴⁵ Czesma – studnia

⁴⁶ Halina – odzież

– W Jagodynie!... – krzyknął Żiwko zdumiony.
– A gdzież!... toć przecie do Jagodyny idziemy wprost... a z nami idzie czet co niemiarą...
Zobaczysz, co to za taniec będzie!... Zobaczysz i kapetana Marka...

– Toć ja go przecie znam... – wsunął Żiwko.

– A prawda...

Przy wyrazie tym hajduk westchnął.

– Eh!... Ręką machnął.

– Co ci? – zapytał ojciec Anki, widząc, że Milenka nagle zły humor napadł.

– Nic, bracie!... We mnie, widzisz, diabeł siedzi i ja go za rogi muszę z całej trzymać siły, ażeby licha nie narobił...

Świtać poczynało. Nagle w stronie północno-wschodniej, na nieboskłonie, niby się błyskawica zapaliła i wnet potem odezwały się huki wystrzałów. Zawarczał ogień rusznicowy, podobny do, dalekiego, drapieźnego zwierzęcia mrużenia; w chwil kilka później grubym głosem zagrzmiały działa. Strzał po strzale następowały szybko.

– Bacność!... – krzyknęli dowódcy czet.

Czety zatrzymali, uszykowali, broń ludziom opatrzeć kazali i z drogi ich na pole sprowadzili.

– Krok zdwojony... marsz! Oddziały pobiegły kierując się na huk bitwy. Strzelanina, która się z początku w północno-wschodniej stronie miasta ogłosiła była, odezwała się następnie w południowej, a potem w południowo-wschodniej, w końcu w zachodniej. Wyraźnie Jagodyna ze wszystkich naraz stron, znienacka zaatakowana została. Turcy rzucili się naprzód do okopów, myśląc snadź, że nieprzyjaciel od frontu ich zaczepia; Wnet się jednak rozdzielili i połową jedną uszykowali się frontem w tył, spostrzegłszy zaczepkę ze strony wprost przeciwnej. Napadnięci jednak z boku, zmieszali się; napadnięci z drugiego boku, głowy potracili. Bitwa rozpoczęła się o mroku porankowym. Dzień zastał hufce tureckie cofające się w nieładzie największym z miasta do okopów, które, otwarte z tyłu, nie dawały schronienia pewnego, tym bardziej że największa siła atakujących nacierała z tej właśnie strony, z której szanse tureckie otwarte były. Pierwsze, czety serbskie, do miasta wkraczające, wsiadły Turkom na pięty i opanowały most, którego zerwanie mogło być środkiem, jeżeli nie ratunku, to przynajmniej przewleczenia boju. Po utracie środka tego nie pozostawało wyznawcom proroka nic innego jak poddać się przeznaczeniu.

Aman!... Turcy broń złożyli i ręce do więzów wyciągnęli.

Miasto, magazyny, dwa tysiące niewolnika, kilkanaście dział, sporo broni i amunicji wpadły zwycięzcom w ręce. Cóż to za radość była!... cóż to za triumf!... Z pistoletów strzelano, a okrzyki „Żiwila Serbia!” brzmieć w powietrzu nie, ustawały.

Środkowym objawów radości i triumfu punktem była czesma na rynku przed konakiem, ta właśnie czesma, przy której przed laty Milenko mojżeszowego dopuścił się czynu. Przy czesmie tej stał naczelnik, co wyprawę na Jagodynę zarządził i poprowadził a naczelnikiem tym był znajomy nasz – nasz bohater – kapetan Marko. Czety przeciągały przed nim z okrzykami:

–Żiwila Serbia!... żiwio kapetan!... Nic od czasu, jakeśmy go widzieli, nie zmienił się, chyba pod tym tylko względem, że miał na sobie odzież inną. Ubrany był w mundur oficera od Granicznarów, okryty płaszczem wojskowym.

Czety przed nim przeciągały i mieszkańcy Jagodyny około niego się cisnęli. Pomiędzy tymi ostatnimi oczami kogoś szukał i znalazł – i powitał z daleka. Był to Hadzi-Petar.

Starzec przez tłum się przecisnął. Marko rękę mu podał i w te do niego odezwał się słowa:

– Rozejdźcie się i siedźcie cicho... Jeszcze to nie wszystko z Turkami skończone... Jeszcze oni do Jagodyny powrócą... Nie trzeba więc, ażebyście się na ich wystawiali zemstę.

Słowa te niemile w uchu starca zabrzmiały; lecz biła z nich prawda, której niesposób było nie uznać. Chciał Hadzi-Petar coś na nie odpowiedzieć, gdy wtem na rynku słyszeć się dał krzyk, tak silny i tak wysoki, że pokrył sobą okrzyki i strzelanie z 'pistoletów, a przy tym tak

tonem dzikiej jakiejś radości przeraźliwy, że wszyscy mimowolnie zwrócili uwagę w stronę, w której zadzwonił. Ton okrzyku tego był kobiecy. Przeplatał go śmiech spazmatyczny; przetręcały go wywoływania wyrazów następujących:

– Puszczajcie mnie!... puszczajcie!... do niego!... On mój!... mój rycerz!... mój pan!... Niosę mu podarek!... Puszczajcie mnie!...

Tłum się w dwie rozchyłał strony i otwierał do chesmy drogę kobiecie, która postępowala powoli i oglądała się obłąkanymi, zaiskrzonymi oczami, prawą rękę do góry podniosła, i potrząsała nią, i w ręce tej za włosy trzymała... głowę ludzką.

Był to widok przerażający. Snadź głowa tylko co od tułowia oddzieloną została, co się pokazywało z bogatej, złocistej niewiasty odzieży, krwią zwałanej, ze smugów krwi świeżej, płynącej po kobiecie ramieniu nagim.

– Puszczajcie mnie!... podarek mu niosę!...

Przed Marka przyszła i stanęła. Oczy w niego wlepiała.

– Cha, cha, cha!... Widzisz?...

Głowę mu pokazała.

– Widzisz?... Chciał kir-Kosta, ażebym go przed tobą schowała... Schowałam... Jest spokojny i bezpieczny... Wzięłam tylko głowę jego, ażeby się pokłonił tobie... Masz!...

To mówiąc głowę Markowi pod nogi cisnęła i zaśmiała się chichotem dzikim.

– A teraz mnie bierz!... Oddaję się tobie, już nie w ciemnicy, skąd mi cię duch jakiś wydarł, ale w dzień jasny, przy wszystkich... Bierz mnie!...

Pod boki się wzięła, okrwawiona, dzika i dokoła wyzywającym powiodła wzrokiem.

– Obłąkana... – rzekł Marko do bliżej stojących. – Trzeba ją zabrać i schować...

– Kilku ludzi do kobiety podeszło i po krótkim z nią szamotaniu się z rynku ją odciągnęło. Odprowadzona co sił krzyczała:

– Marku, nie daj!... Marku, ja twoja!...

Sceny tej, w rodzaju swoim dziwnej, wstrętnej i przerażającej, świadkami byli jagodynianie wszyscy, którzy w kobiecie poznali małżonkę kajmakana, a pomiędzy innymi Hadzi-Petar, Żiwko i Milenko. Wywarła ona wrażenie i na Marku. Lecz na zastanawianie się nad rzeczami podobnymi czasu nie było. Marko raz jeszcze Hadzi-Petarowi daną poprzednio przestrogę powtórzył i natychmiast zajął się rzeczą rzemiosłową – wyciąganiem korzyści ze zwycięstwa odniesionego.

Żołnierz z niego był dobry. Wiedział, że zwycięstwo, jeżeli się z niego nie korzysta, staje się podobne do fajerwerku, rozsypującego się bezużytecznie w iskier tysiące.

Kazał więc jak najspieszniej okopy rozrzucić, magazyny poniszczyć, broń i amunicję zabrać, działa, których się uwieźć nie dało, popsuć i jeńców odprowadzić. A gdy to wszystko dokonane zostało, ruszył wnet w pochód do Cziuprii, dokąd go wzywał rozkazem pułkownik Michajlewicz. Dodać należy, iż w pochód ten zabrał z sobą czety wszystkie, które w zdobyciu Jagodyni udział brały, zostawiając w mieście dziesiątek tylko jeden, z poleceniem cofnięcia się w razie, gdyby się Turcy pokazali.

W pochodzie do Cziuprii zbliżył się do bohatera naszego Milenko.

– Kapetanie Marku – rzekł – widzę, że Serbia u ciebie na najpierwszym stoi miejscu.

Marka powiedzenie to zdziwiło nieco.

– Miałem ciebie na oku przez cały pobytu w Jagodynie czas... Myślałem, że pójdziesz... do...

Zająknął się.

– Dokąd?... – zapytał Marko.

– Do... hm!... eh!... – ręką machnął. – Alem i ja nie chodził...

Marko westchnął z lekka.

Wezwanie pułkownika Michajlewicza, który na prawym brzegu Morawy operował i pod którego rozkazami bohater nasz się znajdował, miało na celu opanowanie przeprawy na Mo-

rawie i zdobycie Cziuprii. Dopięcie celu tego znacznie ułatwione zostało przez zdobycie Jagodyny. Cziupria znalazła się w odosobnieniu. Turcy, załogą w niej stojący, mocno zagrożeni, cofnęli się po parudniowym oporze do Aleksinca. Turcy zaś, których powrót do Jagodyny Marko przepowiedział, a którymi był ów korpus, co się posunął był naprzód, powrócili w samej rzeczy; lecz znalazłszy w Jagodynie okopy zburzone, na Morawie przeprawę zajętą i Cziuprię zdobytą, musieli co rychlej miasto opuścić i szukać sobie drogi odwrotu na traktach kruszewackim i karanowickim. W czasie tym marszałek Laudon zdobył Belgrad. Wojska cesarskie posuwały się w głąb kraju serbskiego, lecz znajdowały go już z nieprzyjaciela oczyszczonym, albowiem korpusy ochotnicze, zabiegając cofającym się ottomańskim kolumnom na przełaj, zniewalały je cofać się szybko z obawy nieutrącenia najkrótszych linii operacyjnych, jak się to w Jagodynie i w Czuprii stało.

Jagodyna przeto pewnego poranku pięknego (pięknego!... zaiste) znalazła się nagle bez pana. Turcy opuścili ją... bez pożegnania. Szczęściem, nie podpalili jej z czterech rogów. Snadź w pośpiechu zapomnieli o zostawieniu po sobie tej ostatniej panowania swego pamiątki; wynieśli się i wprawili mieszkańców w osłupienie.

– Nie ma Turczyna!... – powtarzali Serbowie, zamyślając się i sami nie wierząc wymówionym przez siebie wyrazom.

– Nie ma... No, nie ma....

– Nie ma... – jedni szeptali, drudzy głos nieco podnosili.

– Cóż tu robić?

Co robić?... – było to zapytanie, tkwiące każdemu mieszkańcowi Jagodyny w myśli nieustannie i wychodzące z ust co chwila.

Tylko pod Hadzi-Petara dachem o tym nie myślano.

Myślano tam bowiem o czym innym. Kiedy wyrazy „nie ma Turczyna” o uszy Milewy się obily, staruszka podniosła do góry oczy i ręce, oblicze jej zajaśniało blaskiem radości, jakby się uczuła z ziemi w niebo braną i zawołała:

– Boże!... doczekałam się... Niczego już więcej nie chcę... Panie, wierzyłam, ufałam, że tak będzie i wiarą moją, i ufnością dzieliłam się z innymi... Panie! bierz mnie, zdmuchnij jak świecę, której blask niepotrzebny już przy blasku słońca... Dla Serbii słońce wzeszło... już ono nie zgaśnie... Boże, przyjm duszę moją grzeszną!...

Bóg ją wysłuchał. Osunęła się na pościel... poprosiła o księdza.

Przygotowała się na drogę żywota wiecznego, konała i skończyła w opromienieniu aureoli wiary, która na ustach jej po śmierci uśmiech zostawiła. Czysta dusza do Boga odeszła. Pod dachem Hadzi-Petara zapanował smutek poważny, który w końcu ustąpić musiał miejsca troskom i kłopotom, jakie się zrodziły w Jagodynie po wyjściu Turków.

Hadzi-Petar był osobistością zanadto poważną i nazbyt poważną, aby pominąć go miano przy rozwiązaniu zagadki: co robić?

Historia zagadkę tę rozwiązuje. Wiadomo, że wyswobodzenie Serbii nie nastąpiło jeszcze tym razem. Pokój w Sistowie zawarty zwrócił ją Turcji na powrót, z tym jedynie na korzyść jej zastrzeżeniem, że Wysoka Porta zobowiązała się nie pociągać do odpowiedzialności rąjów, którzy przeciwko niej w szeregach ochotniczych korpusów walczyli.

Historia jeszcze jeden, nader ciekawy zapisuje szczegół. Kiedy komisarze tureccy, przysłani do odbierania kraju, widzieli, jak z pewnego grodu, który im oddawano, czeta serbska pod bronią wyszła i musztrę całą jak wojska cesarskie odbyła, zdziwili się i zdumieli wielce, co z tego wyniknąć może. „Sąsiedzi! – rzekł do Niemców jeden z nich – i co to wy z naszej zrobili rai?”

Dawny przeto porządek, zmodyfikowany nieco koniecznymi w pierwszych chwilach po świeżym podpisaniu traktatu folgami, powrócił. Powrócił w Jagodynie do konaku kajmakan, lecz nie Ali-aga – ten umarł podobno; powrócili członkowie mezliszu; powrócił kady; powrócili muftowie; powrócił kawedzi; powrócił poborca; powrócili spahie; powrócił, jednym słowem, cały skład władzy, cały instrument panowania tureckiego, z wyjątkiem osobistości kilku, które zawierucha porwała i z rządu żywych wyrzuciła. Powrócili także synowie Hadzi-Petara z frajkurów i wszyscy, którzy z nimi razem byli a na polach bitew śmierci nie znaleźli. Powrócił pod dachem Hadzi-Petara dawny życia tryb, który się zmienił o tyle tylko że ubyła Milewa, i zmienić się miał jeszcze przez ubycie dziewczynki na wydaniu.

Dziewczynka na wydaniu była; za mąż iść musiała – tak porządek kazał; za mąż iść, ale – za kogo?

Ojciec, matka, stryjowie i ciotki z niepokojem spoglądali na nią, niepokój bowiem wzbudzało zachowanie się jej dziwne, świadczące, że w sercu jej odbywa się walka sroga. Wydawała się ona jakaś ustawicznie czy przełęczona, czy zdziwiona na przemian zaś raz smutna, znów wesoła. Wyzwolenie Serbii, śmierć babki, wstrząśnienia, przez jakie przechodzili wszyscy oddziaływać na nią musiały z siłą nie mniejszą jak pojawienie się w Jagodynie Marka. Marko w mieście był, odszedł i ani się zatroszczył o nią.

– Zapomniał!...

Wyraz ten burzą wył, boleścią zawodził, rozpaczą dzwonił.

– Och!...

Ojciec, matka, stryjowie, ciotki mówili pomiędzy sobą po cichu:

– Na Milenka czekać trzeba... Wszak wolno mu teraz w Jagodynie zamieszkać... Przybyć by i ze słowa wywiązać się powinien.

Hadzi-Petar milczał: wnuczkę niekiedy hołubił, jakby jej żałował lub pocieszać chciał.

Ojciec, matka, stryjowie, ciotki i o kapetanie Marku niekiedy myśleli, ale nic o nim nie mówili, raz dlatego, że Milenko słowo miał – Anka narzeczoną jego była – po wtóre dlatego, że kapetan wydawał się im osobą nazbyt wysoko postawioną w hierarchii społecznej

Na Milenka więc czekali – i doczekali się. Przybył, ale nie sam. Przyprowadził ze sobą... kapetana Marka.

Niesposób opisać wrażenia, jakiego Anka doznała, gdy ich razem ujrzała.

Jeden narzeczony, drugi kochany!

Przybyli razem, a przybywali tak, że patrząc na nich wydawało się, iż Marko ociąga się, a Milenko go prowadzi. W samejbo rzeczy prowadził go i to za rękę. Hadzi-Petar na spotkanie ich powstał, za Hadzi-Petarem poszli synowie jego i synowe, wnuki i wnuczki, z wyjątkiem Anki, która, zdawało się, skamieniała na miejscu.

Milenko, Marka za rękę trzymając, starcowi się pokłonił.

– Przychodzę do ciebie, babo, po narzeczoną moją... dla niego... I palcem z ukosa na Marka ukazał.

– Milenku!... – krzyknął ten ostatni, rękę mu wydzierając i od stóp do głowy z wyrazem zdumienia w oczach go mierząc.

– Tak, dla ciebie!... Dla ciebie Serbia pierwsza była niż ona i dla mnie także; ale tyś Serbii usłużył lepiej aniżeli ja... Chciałem się z tobą o dziewczynkę orężem rozprawić... Rozprawę pomiędzy nami zrobiła Serbia orężna.

Anka w głąb domu uciekła. Staremu Hadzi-Petarowi w oczach łzy się zakręciły. Chciał coś przemówić. Na chceniu jednak skończyło się tym razem.

Co się zaś stało dalej? – niech czytelnik sam sobie w wyobraźni swej dosnuje. Ze strony mojej dodam jeszcze to tylko, że w trzydzieści lat później Serbia o siłach własnych na nogach stanęła, postawiona przez uczniów tych, co jej, wzorem Marka, służyli – o czym... z historii dowiedzieć się można dokładniej aniżeli z powieści.

OBJAŚNIENIA

opracował Adam Lewak

A

Ablucja (łac.) – obmywanie
Akcja (łac.) – czynność.
Akompaniament (fr.) – wtórowanie, wtór
Alabastrowy – alabaster: śnieżnobiały minerał
Ałlach (ar.) – w religii mahometańskiej nazwa Boga
Aman (ar.) – dosł.: ochrona; muzułmanie tym wyrazem błagają o darowanie życia
Ambra (ar.) – rodzaj kadzidła i pachnidła
Analizowanie (gr.) – roztrząsanie, zgłębianie
Anatolia – turecka nazwa Azji Mniejszej
Antagonizm (gr.) – nieprzyjaźń, wrogość
Apostrofa (gr.) – zwrócenie mowy do kogoś
Archiwum (gr.) – miejsce przechowywania dawnych akt
Atleta (gr.) – siłacz
Aureola (łac.) – krąg świetlny, otaczający na obrazach głowy świętych

B

Baczka – południowa część Banatu
Bagańcze (słow.) – duże, stare buty
Bakalin (ar.) – kupiec kolonialny
Bakalinica (ar.) – żona kupca kolonialnego
Balustrada (fr.) – poręcz
Banał – część Węgier między rzekami Maroszem, Cisą i Dunajem
Bej (tur.) – pan, tytuł nadawany przez Turków osobom zajmującym wyższe stanowisko
Bejlik (tur.) – danina
Berdysz (śr. łac.) – kij z siekierą w kształcie halabardy
Bezmian – rodzaj wagi bez szal.
Białogród – Belgrad, stolica Serbii
Biesagi (śr. łac.) – wory skórzane
Biuletyn (fr.) – urzędowy komunikat
Błędny rycerz – w średniowieczu rycerz, który szukać w świecie przygód, bronił uciśnionych i walczył o cześć swej damy
Boa – wąż dusiciel, żyjący w Ameryce Południowej
Bre... bre... (tur.) – no, no
Business (ang.) – interes
Byron Jerzy (1788-1824) największy poeta angielski XIX wieku

C

Carogród (słow.) – Konstantynopol
Carte blanche (fr.) – dosł.: biała karta; tu: nieograniczone pełnomocnictwo
Chronologiczny (gr.) – uporządkowany wg czasu

Cicerone (wł.) – przewodnik
Corpus delicti (łac.) – dowód rzeczowy przestępstwa
Crkwa (serb.) – cerkiew, ckrwu gradi serbski car Stapan. crkwu gradi Džuro neimare.
Cerkiew buduje serbski car Stefan, cerkiew buduje Džuro budowniczy.
Czausz (tur.) – goniec rządowy
Czerdak (tur.) – krużganek pod dachem w domach tureckich
Czeta (węg.) – oddział wojska złożony z około stu ludzi
Czetowoża (serb.) – naczelnik oddziału partyzanckiego
Cziupria (serb. Czuprija) – miasto handlowe nad rzeką Morawą
Czok ji! czok gizel! (tur.) – bardzo dobrze, bardzo pięknie!
Czorba (tur.) – rodzaj czerniny
Czubuk (tur.) – fajka
Czutry (tur.) – rodzaj płaskiej flaszki drewnianej

D

Dante (1265-1321), największy poeta włoski, autor „Boskiej komedii”
Decorum (łac.) – pozory
Decyzja (łac.) – postanowienie
Dedykacja (łac.) – poświęcenie komuś swego dzieła, przedmowa
Dekret (łac.) – rozporządzenie, orzeczenie
Deli (tur.) – obłąkany
Delikwent (łac.) – skazaniec
Demonstracja (łac.) – akcja publiczna w celu wyrażenia opinii
Denuncjacja (łac.) – doniesienie
Depozyt (łac.) – przedmiot oddany na przechowanie
Derwiz (pers.) – mnich mahometański.
Diewojka (serb.) – dziewczyna
Dobro wecze (serb.) – dobry wieczór
Dominujący (łac.) – panujący, górujący
Doza – dawka, porcja
Drawa – prawy dopływ Dunaju
Duet (wł.) – śpiew na dwa głosy
Duszan Silny (serb. Dusan), król serbski (1331-1340) a od 1346-1355 car
Duszman (serb.) – ciemiężca
Dyplomacja (łac.) – nauka o wzajemnych stosunkach między narodami i państwami
Dyplomatyczny (łac.) – tu: urzędowy
Dysproporcjonalność (łac.) – niezgodność
Dystrakcja (łac.) – roztargnienie
Dywersja (łac.) – działanie wojenne, mające na celu odwrócenie uwagi przeciwnika

E

Efekta wojenne (łac.) – przybory wojskowe
Ekspedycja (łac.) – wyprawa
Eksperyment (łac.) – doświadczenie
Eksplikacja (łac.) – wytłumaczenie
Ekstaza (łac.) – najwyższy stopień zachwyty
Epilog (gr.) – zakończenie utworu, koniec
Eskorta (fr.) – straż, osłona

Etykieta (fr.) – ustalone formy towarzyskie
Eugeniusz Sabaudzki (1663-1736), znakomity wódz austriacki, odniósł zwycięstwo nad Turkami w r. 1716
Eureka! (gr.) – triumfujący okrzyk, dosł.: znalazłem!

F

Fajerwerk (niem.) – ogień sztuczny
Fakir (ar.) – mnich – pustelnik mahometański
Fanatyzm (n. łac.) – zbyt gorliwe wyznawanie przekonania i gwałtowne zwalczanie przeciwnych opinii
Feniks (gr.) – święty ptak egipski, który wg podania spalał się i odradzał z popiołów. Symbol nieśmiertelności
Fenomen (gr.) – zjawisko
Feudalny (śr. łac.) – lenniczy
Fez (tur.) – niski, czerwony kołpaczek z czarnym chwastem
Fikcja (łac.) – urojenie, zmyślenie
Firman (pers.) – rozkaz Wielkiego Wezyra
Fiskalny (n. łac.) – skarbowy, podatkowy
Fizjonomia (gr.) – oblicze
Flankier (fr.) – żołnierz nacierający z boku na nieprzyjaciela
Flegma (gr.) – tu: spokój, obojętność
Formalny (łac.) – przepisowy
Frajkury (niem. Freikorps) – ochotnicze oddziały
Frazes (gr.) – zdanie
Frenkowie (tur.) – Francuzi; na Wschodzie nazwa mieszkańca Europy zachodniej
Fryderyk Wielki, król pruski (1712-1786), zwyciężył Austrię w wojnie siedmioletniej (1756-1763)
Funkcja (łac.) – czynność
Furaż (fr.) – pasza dla koni

G

Galwaniczne uderzenie – wstrząs wywołany przez prąd elektryczny, po raz pierwszy zaobserwowany w doświadczeniu przez włoskiego fizyka Galvaniego (1737-1798); tu: nagłe wzruszenie
Giaur (tur.) – niewierny, nazwa obelżywa, nadawana chrześcijanom przez mahometan
Gogoman (tur.) – oszust
Gordyjski węzeł – zagmatwany węzeł, który wg legendy starożytnej Aleksander Macedoński rozciął zamiast go rozplatać; tu: zagmatwana, zawikłana sprawa
Graniczary – tak nazywano w Serbii austriackie formacje wojskowe rozmieszczone na pograniczu, złożone w większości z południowych Słowian

H

Hadzi (tur.) – honorowy tytuł mahometanina po odbytej pielgrzymce do Mekki; u chrześcijan również oznacza pielgrzymę, który odbył pielgrzymkę do miejsc świętych
Hajduk (węg.) – żołnierz piechoty węgierskiej; w Serbii rozbójnik, który miał charakter bohatera, mściciela krzywd na Turkach

Hannibal, wódz Kartagińczyków (247-183 przed nar. Chr.), złożył jako dziecko przysięgę, że będzie walczył z Rzymianami.

Haraba – wóz turecki

Haracz (ar.) – danina

Harambasza (ar.) – dowódca hajduków w Serbii

Harap (niem.) – bicz myśliwski

Harem (ar.) – zamknięte pomieszczenie dla kobiet u mahometan

Haszysz (ar.) – narkotyk używany na Wschodzie

Haust (łac.) – łyk

Herezja (gr.) – odstępianie od dogmatu religijnego; w przenośni: błędne twierdzenie

Herkules – postać z mitologii greckiej, półbóg odznaczający się niezwykłą siłą

Heroizm (gr.) – bohaterstwo

Hierarchia (gr.) – ustrój, w którym przedstawiciele władzy stopniowo podlegają jedni drugim

Hydrografia (gr.) – dział geografii zajmujący się badaniem wód

I

Idée fixe (fr.) – myśl, która nieustannie powraca

Imaginacja (łac.) – wyobraźnia

Indagacja (łac.) – badanie

Inkaust – atrament

Inkrustowany (łac.) – ozdobiony przy pomocy wprawiania w drzewo metali itp

Interwencja (łac.) – mieszanie się

Intonacja (łac.) – brzmienie

Islamizm – religia mahometańska

J

Jadrańskie Morze – Adriatyk

Jagodyna (serb. Jagodina) – miasto nad rzeką Belicą w Serbii

Janczar (tur.) – żołnierz z piechoty tureckiej, wychowany z dziecka chrześcijańskiego

Janczarka (tur.) – strzelba turecka

Jatagan (tur.) – krzywa szabla turecka

Józef II, cesarz austriacki (1741-1790)

Juki (tur.) – torby skórzane, ładowane na konie

Jus-basza (tur.) – setnik

K

Kadi (ar.) – sędzia u ludów mahometańskich

Kajmakan (tur.) – naczelnik prowincji

Kaługier (serb.) – mnich

Kameleon (gr.) – rodzaj jaszczurki, której skóra zmienia barwę; w przenośni: człowiek zmienny

Kapciuch (tur.) – woreczek na tytoń

Karawana (pers.) – grupa ludzi, odbywających zbiorowo podróż

Katarzyna II, cesarzowa rosyjska (1729-1796)

Kawas (tur.) – sługa

Kawedzi (tur.) – służący podający kawę

Kiebaba (tur.) – pieczeń z jagnięcia
 „Kiedy zaraza Litwę”... z poematu Mickiewicza „Konrad Wallenrod”
 Kief (tur. keyif) – pozdrowienie, poczęstunek
 Kindżał (tur.) – zakrzywiony nóż turecki
 Kirylica – alfabet starosłowiański
 Kitabdzi (tur.) – pisarz
 Kitajka – rodzaj materii jedwabnej
 Koczi – Koca Andelković, kupiec z zawodu, jeden z twórców serbskich oddziałów ochotniczych w wojnie 1787-1789. zginął w bitwie z Turkami
 Komela – koszula
 Komentarz (łac.) – objaśnienie
 Komfort (ang.) – wygoda
 Komitywa (łac.) – porozumienie
 Koncentrować (łac.) – skupiać
 Kondycja (łac.) – położenie, stanowisko
 Konfiskata (łac.) – zabranie przez władze niedozwolonego przedmiotu
 Konkluzja (łac.) – wniosek
 Kontenans (fr.) – pewność siebie
 Kontrybuent (łac.) – płatnik
 Konwencjonalny (łac.) – umowny
 Konwojować (fr.) – towarzyszyć dla obrony
 Kosowe Pole – równina w Serbii, na której Serbowie w bitwie z Turkami w r. 1389 ponieśli klęskę tracąc niepodległość
 Kraińskie wino – wino pochodzące z Krainy, prowincji serbskiej
 Kuku lele! kuku meni! (serb.) – biada mi!
 Kulminacyjny (łac.) – najwyższy
 Kwalifikować (łac.) – nadawać się

L

Labirynt (gr.) – w starożytności budowla o tak zagmatwanym planie, że obce osoby musiały błądzić. W przenośni: kręte drogi
 Lamus (niem.) – skład rupieci, magazyn
 Laudon, słynny wódz austriacki (1717-1790), odznaczył się w wojnach z Prusami i Turcją
 Lektyka (łac) – rodzaj noszy z siedzeniem
 Lewaczka – rzeka pod Jagodyną, dopływ Belicy

Ł

Łazarz (serb. Lazar Hrebeljanović), książę serbski (1329-1389), poległ w bitwie na Kosowym Polu

M

Mahala (ar.) – dzielnica miasta
 Majka (serb.) – matka
 Marko, królewicz serbski, bohater wslawiony w pieśni ludowej (XIV w.)
 Mehana (ar.) – więzienie
 Mezlisz (tur.) – rada miejska

Michajlewić (serb. Mihail Michajlewić), oficer austriacki, jeden z przywódców ochotników serbskich w wojnie 1787-1789

Mimika (gr.) – wyrażenie uczuć i myśli za pomocą gestów i wyrazu twarzy

Minaret (ar.) – wysmukła wieża przy meczecie muzułmańskim

Miniatura (łac.) – zmniejszenie.

Misja (łac.) – zlecenie

Mława – rzeka, dopływ Dunaju.

„Młodości, ty nad poziomy” ... z „Ody do młodości” Mickiewicza

Mojżeszowy czyn – wg Pisma św. Mojżesz widząc Egipcjanina, który bił Izraelitę, zabił wroga, a sam musiał się potem ukrywać

Mołodycia choć kudy (ukr.) – powabna kobieta

Momek (serb.) – wyrostek

Monaster (gr.) – klasztor

Monstrualny (łac.) – potworny

Morawa – rzeka, prawy dopływ Dunaju

Motywować (łac.) – uzasadniać

Mozaika – (śr. łac.) – technika zdobnicza, polegająca na wykonaniu ozdoby z drobnych kostek kamiennych, marmurowych lub szkła kolorowego

Muezzin (ar.) – duchowny mahometański, zwołujący na modlitwę

Mufta (ar.) – uczony, teolog i prawnik na Bliskim Wschodzie

N

Nahia (tur.) – okręg sądowniczy

Namaz (pers.) – modlitwa muzułmańska, odprawiana 5 razy na dobę

Namitka – rodzaj chusty na głowę

Nazarejka – chrześcijanka, od Nazaretu

Nebaba – ataman Kozaków dworskich w Kaniowie, postać z utworu Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski”

Negotyn – miasto w Serbii

Neimare (serb.) – budowniczy

Niemania (serb. Nemanja) Stefan, założyciel dynastii królów serbskich w XII w.

Niszan (pers.) – order

O

Ocziamo (serb.) – chcemy

Odaliska (tur.) – niewolnica w haremie sułtańskim

Oficjalizm (łac.) – urzędowy pogląd na sprawy

Ogertasz – okrycie ze skóry końskiej lub wołowej

Ojcowie Kościoła – tytuł nadawany pisarzom kościelnym, żyjącym w pierwszych wiekach chrześcijaństwa

Omolje – pasmo gór serbskich, część Karsu

Onbasza (tur.) – dziesiętnik

Opium (gr.) – narkotyk często nadużywany na Wschodzie

Ostrzeszek – okap dokoła strzechy.

Otaczбина (serb.) – ojczyzna.

Ottomańskie państwo – dawna nazwa Turcji

P

- Padyszach (pers.) – tytuł sułtana tureckiego
Panorama (gr.) – rozległy widok roztaczający się z góry
Papucze (tur.) – lekkie pantofle
Parafraza (gr.) – przeróbka
Parlamentaryzm (fr.) – ustrój oparty na rządach przedstawicielstwa narodowego Partylarne (fr.) – szczególne.
Pasza (tur.) – wielkorządca
Paszalik (tur.) – prowincja rządzona przez paszę
Patriarchat konstantynopolski (łac.) – władza kościoła prawosławnego w państwie tureckim.
Pekskie Góry – góry nad rzeką tej samej nazwy, dopływem Dunaju
Perswazja (łac.) – przekonywanie
Pezewenk (tur.) – stręczyciel, obelga turecka
„Pieśń nad pieśniami”, autorem jej miał być król Salomon, syn Dawida
Piędź – miara wynosząca około 2 cm.
Pilaf (tur.) – potrawa: baranina z ryżem
Pneumatyczny dzwon – dzwon oparty na właściwościach, zgęszczonego lub rozrzedzonego powietrza
Polip (gr.) – choroba, rodzaj rozgałęzionego guza
Populacja (łac.) – ludność
Porękawicze – wynagrodzenie
Pozarewacki pokój (1718) – pokój zawarty pomiędzy Austrią, Turcją i Wenecją, w którym Turcja odstąpiła Austrii północną Serbię
Prerogatywa (łac.) – przywilej
Pretekst (łac.) – pozór
Profan (łac.) – niewtajemniczony, ignorant; tu: człowiek nie znający się na nauce i sztuce
Prognostyk (łac.) – przepowiednia

R

- Rachatlukum (tur.) – pasta owocowa
Raja (ar.) – poddany turecki, nie mahometanin
Ramazan (tur.) – miesiąc postu i największego święta u mahometan
Reguła (łac.) – prawo
Rekonesans (fr.) – podjazd wojskowy, tu: wywiad
Rekrutować się (łac.) – pochodzić, składać się
Replika (łac.) – odpowiedź
Reprymenda (łac.) – nagana
Reputacja (łac.) – opinia
Ressawa – rzeka w Serbii, dopływ Morawy
Resurs (fr.) – pomoc
Rogożyna – mata upleciona z łyka
Romeo i Julia, postacie z tragedii Szekspira pod tym samym tytułem
Rubryka (łac.) – rozdział
Rum (niem. Raum) – miejsce, wolna przestrzeń
Rusznica (czes.) – ręczna broń palna (XIV-XVIII w.)

S

- Sahajdaczny.– godność wojskowa u Kozaków, odpowiadająca hetmanowi polnemu
Sais-basza (tur.) – przewodnik w karawanie
Salamalelke (ar.) – pokój z tobą, pozdrowienie tureckie
Salamandra (gr.) – rodzaj jaszczurki
Salus imperii suprema lex esto (łac.) – dobro państwa niech będzie najwyższym prawem
Sandżak (tur.) – obszar administracyjny
Sankcja (łac.) –kara za nieposzanowanie prawa; tu utwierdzenie prawem
Sarmal (tur.) – pasztet
Satysfakcja (łac.) –przyjemność, zadowolenie
Sawa św. – pierwszy arcybiskup serbski (1174-1235)
Sawa – rzeka, prawy dopływ Dunaju
Sawałachajresem (tur.) – dzień dobry, pozdrowienie tureckie
Sążeń – miara długości około 2 m.
Sensacja (łac.) – odczucie, wrażenie
Sentencjonalność (n. łac.) – ton umoralniający
Seraskierat (tur.) – ministerstwo wojny w dawnej Turcji
Similis simili gaudet (łac.) – podobny cieszy się z podobnego sobie
Sistowski pokój (1791) – pokój zawarty między Austrią i Turcją; zapewnił amnestię ochotnikom serbskim
Skonfundowany (łac.) – zmieszany, zakłopotany
Skonstatować (tac.) – stwierdzić
Sładko (serb.) – konfitury
Spahi (tur.) – nieregularna jazda turecka
Statua (łac.) – posąg
Status in statu (łac.) – państwo w państwie
Strategia (gr.) – sztuka prowadzenia wojny
Sułtan – cesarz Turcji
Sumaryczny (n. łac.) – ogólny
Sybaryta (gr.) – wygodniś
Szalwary (tur.) – szarawary, obszerne spodnie
Szarac (serb.) – koń szarej maści
Szejtan (ar.) – szatan
Szekspir, poeta angielski (1564-1616), najwybitniejszy dramaturg ,w literaturze światowej
Szerbet (tur.) – mrożony napój owocowy
Szłapia – ociężały chód koński

Ś

Śmillańska Puszcza– puszcza na Ukrainie, w pobliżu miasta Śmiły

T

- Terra incognita (łac.) – ziemia nieznaną
Timok – rzeka, prawy dopływ Dunaju
Topografia (gr.) – szczegółowe opisanie miejscowości
Tradycja (łac.) – podania z przeszłości
Trzęzła – uzda
Tunika (łac.) – rodzaj koszuli noszonej przez rzymian

Turban (tur.) – zawój na głowę z jednego kawałka tkaniny
Tyftyk (ar.) – tkanina

U

Ultimatum (łac.) – nota określająca ostateczny termin zastosowania się do żądań w niej zawartych

W

Wegetować (łac.) – żyć biernie z dnia na dzień
Wezyr (ar.) – tytuł ministra tureckiego
Wiaroszanin (serb.) – mieszczanin
Wiatyk (łac.) – komunia św. przyjmowana na łożu śmierci
Wila – wg wierzeń Słowian pogańskich bogini czarownic
Wizjoner (łac.) – jasnowidz
Władyka (serb.) – tytuł dostojnika
Włastelin (serb.) – właściciel
Wraczar (serb.) – uroczysko, miejsce, na którym zbierały się czarownice
Wysoka Porta – rząd turecki

Z

Zachwycić – spostrzec, pochwycić
Zafrapować (fr.) – zdziwić
Zaimprovizowany (łac.) – naprędce zrobiony
Zajczar – miasto nad rzeką Czarny Timok
Zakwefione (fr.) – zasłonięte
„Zamek kaniowski” – poemat Seweryna Goszczyńskiego (1801-1876)
Zarucznicza (serb.) – naręczona
Zdefiniować (łac.) – określić
Zeta – góry Zeta, część Czarnogórza
Zmodyfikować (gr.) – zmienić
Zmonopolizować (gr.) – stworzyć prawo wyłączności

Ż

Żywila! (serb.) – niech żyje!